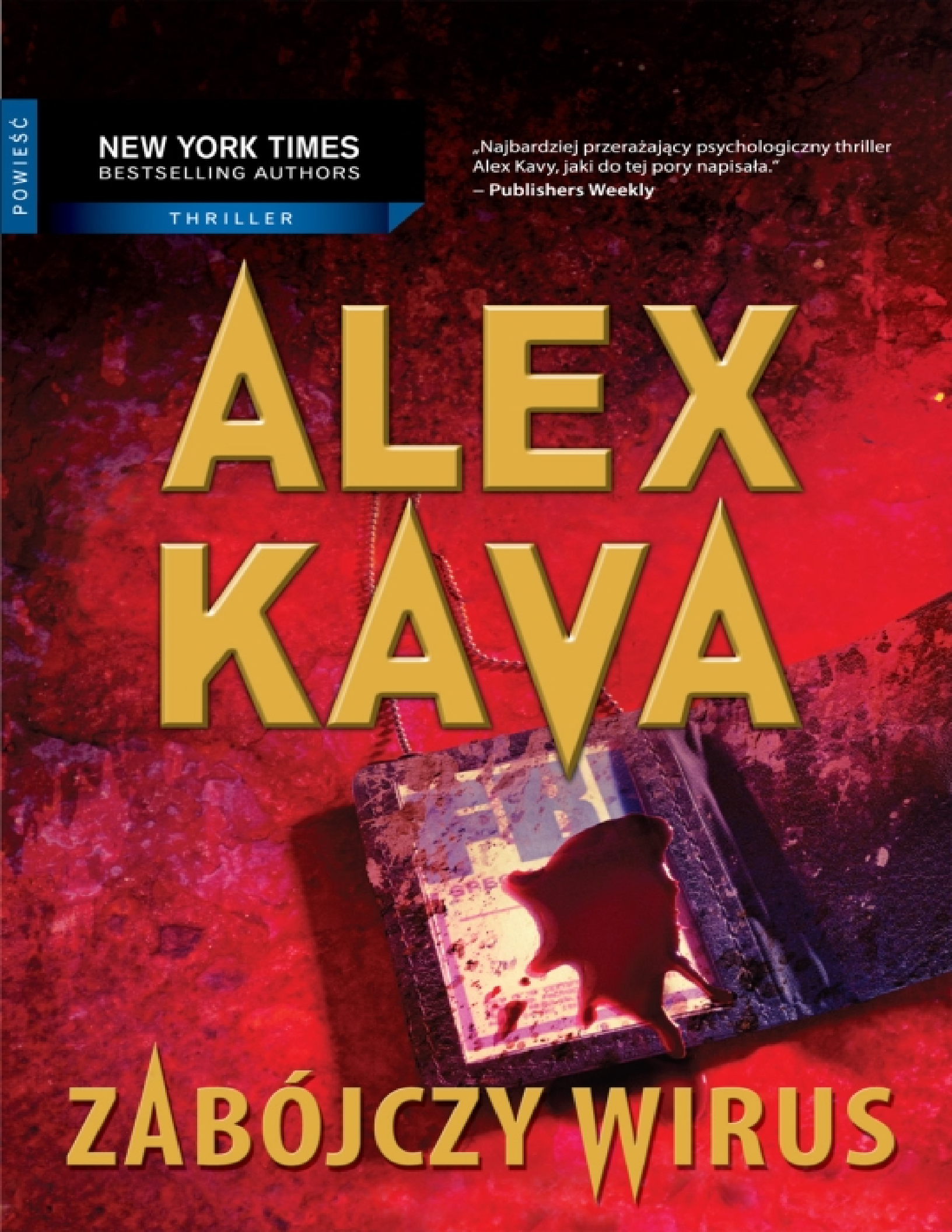
POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

THRILLER

„Najbardziej przerażający psychologiczny thriller Alex Kavy, jaki do tej pory napisała."
– **Publishers Weekly**

ALEX KAVA



ZABÓJCZY WIRUS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Zabójczy wirus

Tłumaczyła
Katarzyna Ciążyńska

PODZIĘKOWANIA

Już nieraz dostało mi się za moje długie podziękowania, całe strony pełne słów wdzięczności dla wspaniałych ekspertów, którzy odpowiadają na moje pytania, poprawiają moje błędy i nie mają mi za złe, że się im naprzykrzam. Tym razem obawiałabym się, że kogoś pominę, tak długa byłaby to lista. Postanowiłam zatem ją uprościć. W roku, w którym pojawiło się więcej pytań niż odpowiedzi, na wyróżnienie zasługują szczególnie trzy osoby.

Deb Carlin, najlepszej przyjaciółce i świetnej menedżerce dziękuję za to, że dbała, bym skupiała się na pracy, stała twardo na ziemi, a także, by ta literacka podróż była samą przyjemnością.

Amy Moore-Benson, przyjaciółce i agentce – przeszłyśmy razem piekło – dziękuję, że była nie tylko moim adwokatem, ale także mistrzem.

Lindzie McFall – nowej członkini naszej drużyny – dziękuję za cierpliwość, profesjonalizm, oddanie i poczucie humoru. To wielka radość mieć takiego wydawcę.

ROZDZIAŁ 1

Jezioro Wiktorii
Uganda, Afryka

Waheem nie czuł się dobrze, gdy wchodził na pokład zatłoczonej łodzi motorowej. Przyciskał do nosa zakrwawioną szmatkę z nadzieją, że współpasażerowie niczego nie zauważą. Właściciel łodzi, zwany przez mieszkańców wyspy pastorem Royem, pomógł mu załadować zardzewiałą klatkę z małpami i upchnąć ją na ostatnim wolnym skrawku pokładu. Nie odpłynęli nawet półtora kilometra od brzegu, kiedy Waheem spostrzegł, że pastor Roy przenosi wzrok z zaciśniętych warg swojej żony na krew, która skapywała na koszulę Waheema. Sprawiał wrażenie, jakby żałował, że zaoferował mu ostatnie wolne miejsce.

– Na tych wyspach krwawienie z nosa zdarza się dość często – powiedział pastor Roy takim tonem, jakby oczekiwał wyjaśnienia.

Waheem tylko skinął głową. Udawał, że nie zna angielskiego, choć rozumiał ten język dość dobrze. Przez kolejne dwa dni nie spodziewano się żadnego statku z węglem czy bananami, więc cieszył się, że szczęście mu dopisało. Był wdzięczny pastorowi Royowi i jego małżonce, że wzięli go na pokład, i to razem z klatką. Ale Waheem

wiedział też, że przeprawa z wyspy Buvuma do portu Jinja potrwa czterdzieści minut i wolałby spędzić je w ciszy niż słuchać, jak pastor peroruje o Jezusie. Wsiadł na pokład ostatni, a zatem tkwił ściśnięty na samym przodzie, w zasięgu głosu nawracającego maluczkich duchownego. Nie chciał w żaden sposób podsuwać pastorowi myśli, że podczas podróży przez jezioro zdoła uratować jeszcze jedną duszę.

Zresztą pozostali pasażerowie – smętna grupa kobiet i bosych dzieci oraz ślepy starzec – już na pierwszy rzut oka o wiele bardziej potrzebowali zbawienia. Poza krwawiącym nosem i nagłym pulsującym bólem głowy Waheemowi nic nie dolegało – był młody i silny. Jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, on i jego rodzina będą bogaci i kupią sobie kawałek ziemi, zamiast zaharowywać się dla innych.

– Bóg jest z wami! – zawołał pastor, który najwyraźniej nie potrzebował żadnej zachęty, by zająć się nawracaniem niewiernych. Jedną ręką trzymał ster, drugą zaś wymachiwał w stronę otaczających go mieszkańców wyspy, rozpoczynając kazanie.

Pasażerowie niemal mimowolnie pochylili głowy, słysząc głos duchownego. Zapewne uważali, że należy mu się ten gest szacunku za to, że wpuścił ich na pokład. Waheem także skłonił głowę, ale zerkał zza nasiąkniętej krwią szmatki i udawał, że słucha. Starał się ignorować smród małpiej uryny i krople krwi, od czasu do czasu spływające mu po brodzie. Oczy ślepca, mlecznobiałe i przymglone gałki, poruszały się, a z jego starczych warg wydobywał się

jakiś pomruk, przypuszczalnie modlitwa. Kobieta skulona obok Waheema mocno ściskała torbę z grubego płótna, w której coś się ruszało. Czuć z niej było zapach mokrych kurzych piór. Wszyscy poza trzema małymi dziewczynkami na tyle łodzi, które uśmiechały się i kołysały, siedzieli w milczeniu. Dziewczynki cicho śpiewały, z radością, a jednocześnie ze świadomością, że nie powinny przeszkadzać pastorowi.

– Bóg o was nie zapomniał – ciągnął pastor. – Ja też nigdy was nie zapomnę.

Waheem spojrzał na żonę pastora, która zdawała się nie słuchać męża. Siedziała obok niego na przodzie i nacierała nagie blade ramiona przezroczystym płynem z plastikowej butelki, co parę sekund przerywając tę czynność, by strącić muchę tse-tse ze swoich jedwabistych długich włosów.

– Wszystkie wyspy na Jeziorze Wiktorii są pełne wyrzutków, biednych, przestępców i chorych – pastor urwał i kiwnął głową w stronę Waheema, jakby chciał wyróżnić jego przypadek – ale ja widzę w nich tylko dzieci Jezusa, które czekają na zbawienie.

Waheem nie poprawił pastora, mimo że nie uważał się za schorowanego wyrzutka, chociaż rzeczywiście było ich mnóstwo. Wyspy stanowiły dla wielu ostatnią deskę ratunku, ale nie dotyczyło to Waheema. Nigdy nie chorował, wczoraj wieczorem po raz pierwszy w życiu dostał silnych torsji.

Trwało to i trwało. Na samo wspomnienie rozbolał go żołądek. Nie chciał nawet myśleć o czarnych wymiocinach

zabarwionych krwią. Bał się, że pozbawi się wnętrzności. Teraz głowa mu pękała, a krew z nosa nie przestawała lecieć. Poprawił szmatkę, sprawdził, czy jest jeszcze na niej jakieś suche miejsce. Krew kapała na jego brudne stopy. Spojrzał na błyszczące skórzane buty duchownego i zadał sobie pytanie, jak pastor spodziewa się kogokolwiek zbawić, nie brudząc sobie butów.

Zresztą to bez znaczenia. Waheema obchodziło tylko to, by dowieźć małpy do Jinji i nie spóźnić się na spotkanie z tym Amerykaninem, biznesmenem, który nosi takie same błyszczące skórzane buty jak pastor Roy. Ten człowiek obiecał mu fortunę. W każdym razie dla Waheema była to fortuna. Zobowiązał się zapłacić mu za każdą małpę więcej, niż Waheem i jego ojciec zarabiali przez cały rok.

Żałował, że nie złapał więcej małp, ale schwytanie tych trzech, które upchnął do metalowej klatki, zajęło mu dwa dni. Patrząc na nie w tej chwili, nikt by nie uwierzył, ile trudu go to kosztowało, jaką walkę musiał stoczyć. Wiedział z doświadczenia, że małpy mają ostre zęby, a jeśli owiną ogon wokół szyi człowieka, w ciągu paru minut potrafią zmasakrować mu twarz. Zdobył tę wiedzę podczas dwóch krótkich miesięcy, kiedy pracował dla Okbara, bogatego handlarza małpami z Kampali.

To była dobra praca. Okbar zaopatrywał ich w sieci i pociski ze środkiem uspokajającym, a Waheem zajmował się głównie chorymi małpami, usuniętymi z transportu przez brytyjskiego weterynarza. Wtedy to do laboratoriów

w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych przewieziono samolotami setki małp.

Weterynarz sądził, że Waheem zabiera chore małpy, by je później zabić, ale Okbar uważał to za „oburzające marnotrawstwo”. A zatem zamiast likwidować te biedne stworzenia, kazał Waheemowi zawozić je na wyspę na Jeziorze Wiktorii i puszczać wolno. Czasami, kiedy Okbarowi brakowało małp do transportu, wysyłał Waheema na wyspę z poleceniem schwytania kilku chorych zwierząt. Często weterynarz niczego nie zauważał.

Ale potem Okbar zniknął. Od miesięcy nikt go nie widział. Waheem nie miał pojęcia, dokąd jego szef się udał. Pewnego dnia jego małe zapyziałe biuro w Jinji opustoszało, zniknęły półki, metalowe biurko, strzelby i naboje ze środkiem uspokajającym, sieci, dosłownie wszystko. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało. Waheem został bez pracy. Nigdy nie zapomni rozczarowania w oczach ojca. Czekał ich powrót na cudze pola i harówka od świtu do nocy.

Później któregoś dnia pojawił się w Jinji ten Amerykanin i pytał o Waheema, a nie Okbara. Skądś wiedział o małpach, które zostały odesłane na wyspę, i właśnie te małpy chciał mieć. Obiecał sowitą zapłatę. „Ale to muszą być te małpy, które wywiozłeś na wyspę”, powiedział Waheemowi.

Waheem nie pojmował, po co komu chore małpy. Spojrzał na zwierzęta skulone w pordzewiałej klatce. Ich cieknące nosy pokrywała zakrzepła skorupa zielonego śluzu. Ich pyski były bez wyrazu. Nie przyjmowały wody ani pokarmu.

Waheem nie patrzył im w oczy. Doskonale wiedział, że małpa, nawet chora, świetnie trafia do celu, jeśli zechce napluć komuś w oko.

Małpy musiały wyczuć na sobie jego wzrok, gdyż nagle jedna z nich chwyciła pręty klatki i zaczęła wrzeszczeć. Hałas mu nie przeszkadzał, był do tego przyzwyczajony. To było normalne, w przeciwieństwie do upiornej ciszy. Kiedy druga małpa dołączyła do tej pierwszej, żona pastora wstała. Z jej idealnej twarzy zniknął chłodny uśmiech. Nie wyglądała na przestraszoną czy zaniepokojoną, raczej na zniesmaczoną. Waheem zmartwił się, że pastor każe mu wyrzucić klatkę za burtę, albo co gorsza, wyrzuci też jego samego. Jak większość mieszkańców wysp, Waheem nie potrafił pływać.

W głowie mu pulsowało w rytm małpiego jazgotu. Miał wrażenie, że łódź się zakołysała, żołądek podszedł mu do gardła. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że cały przód koszuli zamienił się w jedną wielką czarnoczerwoną plamę. A krwawienie nie ustawało. Czuł krew w ustach, wypełniała mu gardło. Przełknął i zakasłał ostrożnie, ale kropelki krwi i tak wylądowały na skórzanych butach kaznodziei.

Waheem starał się omijać wzrokiem pastora. Oczy współpasażerów zwróciły się na niego. Na pewno zechcą się go pozbyć. Widział, jak pochylali głowy, wsłuchani w słowa pastora. Na pewno zrobią, co im każe.

Nagle pastor wyciągnął rękę w jego stronę, a Waheem wzdrygnął się i uchylił. Kiedy usiadł znów prosto i podniósł

wzrok, przekonał się, że pastor nie zamierzał wypchnąć go za burtę. Duchowny trzymał białą płócienną chusteczkę z dekoracyjnym haftem w rogu.

– No, weź to – rzekł łagodnym głosem, bo nie było to kazanie. Waheem milczał, więc pastor dodał: – Twoja jest już mokra. – Wskazał na przemoczoną szmatkę. – No weź, tobie jest bardziej potrzebna niż mnie.

Waheem rozejrzał się po małej łodzi. Nadal wszystkie oczy były skierowane na niego, tylko twarz żony pastora wykrzywił grymas złości. Ona nie patrzyła na Waheema. Jej złość była skierowana na męża.

Do końca podróży panowała cisza, przerywana jedynie podśpiewywaniem dziewczynek. Ich głosy niemal go uśpiły. W pewnej chwili zdawało mu się, że z brzegu woła go matka. Obraz stracił ostrość, a uszy wypełniło bicie jego własnego serca.

Kiedy łódź dobiła do brzegu, Waheem czuł się słabo, kręciło mu się w głowie. Pastor musiał nieść jego klatkę, a Waheem szedł za nim chwiejnym krokiem, przeciskając się przez tłum kobiet z koszami i płóciennymi torbami, nagabujących mężczyzn i wszechobecnych rowerzystów.

Pastor postawił klatkę, a Waheem wydukał parę słów, które bardziej przypominały jęk i pomruk niż podziękowanie. Zanim pastor się odwrócił, Waheem padł na kolana, krztusząc się i wymiotując, spryskując błyszczące buty pastora czarnymi wymiocinami. Gdy chciał wytrzeć wargi, przekonał się, że krew kapie mu z uszu, a treść żołądka znów podchodzi do gardła. Na ramieniu poczuł

dłoń pastora, usłyszał wołający o pomoc głos. Spokojny, pewny siebie głos, który wygłaszał kazania, zamienił się w spanikowany pisk.

Ciałem Waheema wstrząsnęły drgawki. Machał rękami, uderzał nogami o ziemię. Z trudem łapał powietrze i dusił się, nie był już w stanie przełknąć. Potem poczuł jakiś ruch w głębi ciała, niemal słyszał, jakby ktoś rozdzierał mu wnętrzności. Krew lała się z niego wszelkimi możliwymi otworami. Nie czuł bólu, tylko szok. Szok na widok takiej ilości krwi, i to jego własnej, usunął w cień ból.

Wokół niego zebrał się tłum, ale Waheem widział ludzi jak przez mgłę. Nawet głos pastora wydawał się odległym brzęczeniem. Waheem już go nie widział. Nie był nawet świadomy tego, że amerykański biznesmen dłonią w rękawiczce chwycił za rączkę klatkę z małpami, a potem po prostu zniknął.

ROZDZIAŁ 2

Dwa miesiące później
8.25 rano
Piątek, 28 września 2007
Akademia FBI
Quantico, Wirginia

Maggie O’Dell patrzyła na swojego szefa, zastępcę dyrektora Cunninghama, który przesunął okulary na czoło i wpatrywał się w pudełko z pączkami w taki sposób, jakby od jego decyzji zależało czyjeś życie. Mówiąc szczerze, zawsze tak wyglądał, gdy podejmował decyzje, także gdy dotyczyły kierowanego przez niego Wydziału Badań Behawioralnych. Miał poważną twarz pokerzysty, na jego czole i wokół przenikliwych oczu zawsze pojawiały się te same zmarszczki, palcem wskazującym postukiwał w ledwie zarysowaną górną wargę.

Stał wyprostowany, ze stopami rozstawionymi tak jak wtedy, gdy strzelał z glocka. Kilka minut po ósmej rano już podciągnął rękawy świeżo wyprasowanej koszuli, lecz zrobił to z wielką starannością, podwijając mankiety pod spód. Szczupły i sprawny, był w stanie zjeść cały tuzin pączków i jego talia by na tym nie ucierpiała. Tylko przyprószone siwizną włosy świadczyły, że nie był już młodzieńcem. Maggie słyszała, że potrafił wycisnąć na

leżąco dwadzieścia pięć kilogramów więcej niż rekruci, choć był od nich o trzydzieści lat starszy.

Spuściła wzrok i spojrzała na siebie. Pod wieloma względami wzorowała się na szefie. Pogniecione spodnie, miedziany żakiet, który pasował do jej kasztanowych włosów i brązowych oczu, ale nie przyciągał uwagi, pozycja osoby gotowej do strzału, świadcząca o pewności siebie.

Czasami miała świadomość, że trochę nadrabia miną. Trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami. Dziesięć lat wcześniej, kiedy Maggie z eksperta medycyny sądowej zamieniła się w agenta specjalnego, jej powodzenie zależało od tego, czy zdoła odnaleźć się w męskim gronie. Żadnych fantazyjnych fryzur, makijaż ograniczony do minimum, spodniumy szyte na miarę, nie podkreślające figury. Oczywiście w FBI nie karano kobiet za urodę, ale Maggie wiedziała, że z pewnością nie spotyka ich za to nagroda.

Po jakimś czasie zauważyła, że spodniumy trochę na niej wiszą. Nie stało się tak z powodu owego nadrabiania miną, lecz raczej na skutek stresu. Od lipca coraz więcej czasu poświęcała zdobywaniu formy. Z początku biegała trzy kilometry, potem około pięciu, a teraz prawie osiem. Czasami chwytał ją skurcz w łydkach, ale się nie poddawała. Kilka obolałych mięśni to niezbyt wysoka cena za jasność umysłu.

Nie chodziło jednak tylko o stres. Nagromadziło się wiele różnych spraw, które wywołały zamęt w jej głowie. Biurko miała zawalone teczkami. Jedna z nich, z lipca, wciąż powracała na wierzch sterty. Dokumenty te dotyczyły

morderstwa w toalecie na międzynarodowym lotnisku O’Hare w Chicago. Ktoś zabił tam księdza, zadając mu cios nożem w serce. Ksiądz ten, ojciec Michael Keller, przez wiele lat zajmował sporo miejsca w myślach Maggie.

Keller był jednym z sześciu duchownych podejrzewanych o molestowanie chłopców. W ciągu czterech miesięcy wszyscy ci księża zostali zamordowani w identyczny sposób. Zabójstwo Kellera było ostatnim. Maggie wiedziała na sto procent, że morderca zaprzestał swojej zbrodniczej działalności, gdyż obiecał, że nie wróci do tego procederu. Mówiła sobie, że ktoś, kto podpisuje pakt z zabójcą, nie może oczekiwać spokoju ducha.

To była ciemna strona zamętu, jaki miała w głowie. Była też jasna, a w każdym razie druga strona. Ktoś za bardzo ją absorbował. Ten ktoś nazywał się Nick Morrelli.

Chwyciła oblanego czekoladą pączka sprzed nosa Cunninghama i ugryzła kęs.

– Zwykle przegrywam z Tullym, jeśli chodzi o te z czekoladą – powiedziała, kiedy Cunningham spojrzał na nią, unosząc brwi. Ale zaraz potem skinął głową, jakby to wyjaśnienie go satysfakcjonowało. – A przy okazji, gdzie on się podziewa? Za godzinę ma być w sądzie.

Zazwyczaj nie pilnowała swojego partnera, ale jeśli Tully nie złoży zeznań, będzie zmuszona to zrobić ona, a akurat dziś chciała wyjść wcześniej. Miała plany na weekend. Razem z detektyw Julią Racine zaplanowały wycieczkę do Connecticut. Julia chciała odwiedzić ojca, Maggie zaś spotkać się z pewnym antropologiem kryminalnym,

Adamem Bonzado. Liczyła na to, że dzięki Adamowi przestanie myśleć o e-mailach, wiadomościach głosowych, kwiatach i kartkach, którymi od pięciu tygodni zasypywał ją wyjątkowo uparty Nick Morrelli.

– Zmienili datę rozprawy – oświadczył Cunningham, kiedy Maggie już prawie zapomniała, o czym rozmawiali. Pewnie było to widać po jej minie, ponieważ Cunningham dodał: – Tully'ego zatrzymały jakieś sprawy rodzinne.

Cunningham wybrał pączka z lukrem i ze wzrokiem wlepionym w pudełko mruknął:

– Wie pani, jak to jest z nastolatkami.

Maggie kiwnęła głową, chociaż nie miała o tym zielonego pojęcia. Towarzyszem jej życia był biały labrador retriever o imieniu Harvey, któremu wystarczały dwa posiłki dziennie, drobne pieszczoty i miejsce w nogach jej wielkiego łóżka. Późnym popołudniem Harvey rozciągnie się na tylnym skórzanym siedzeniu saaba Julii Racine, szczęśliwy, że bierze udział w wyprawie.

Maggie zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę wie na ten temat Cunningham. Nie przypominała sobie, by szef kiedykolwiek spóźnił się z powodu problemów rodzinnych. Po dziesięciu latach wspólnej pracy nie wiedziała kompletnie nic o prywatnym życiu zastępcy dyrektora. Na jego zawalonym papierami biurku nie było rodzinnych zdjęć, w jego gabinecie nie znalazłoby się nic, co by cokolwiek sugerowało. Wiedziała, że Cunningham jest żonaty, chociaż nie poznała jego żony. Nie znała nawet jej imienia. Nie zapraszano ich na te same przyjęcia z okazji

Bożego Narodzenia. Zresztą Maggie nie uczestniczyła w podobnych imprezach.

Życie osobiste Cunninghama pozostało więc jego prywatną sprawą. Maggie brała z niego przykład także pod tym względem. Na jej biurku nie stały żadne fotografie, podczas sprawy rozwodowej ani razu nie wspomniała o niej w pracy. Niewielu kolegów wiedziało, że w ogóle była mężatką. Oddzielała życie prywatne od zawodowego. Nie mogło być inaczej. Jej były mąż, Greg, upierał się, że to właśnie jeden z powodów ich rozstania.

– Jak można twierdzić, że się kogoś kocha i ukrywać to przed światem?

Nie miała na to odpowiedzi. Nie potrafiłaby mu tego wyjaśnić. Czasami czuła, że nie jest nawet dobra w tym szeregowaniu i szufladkowaniu poszczególnych części składowych swojego życia. Wiedziała za to, że ktoś, kto przygotowuje analizy zachowań przestępców i ich portrety psychologiczne, ktoś, kto na co dzień walczy ze złem, kto godzinami przenika umysły morderców, musi odseparować te fragmenty swojego życia od pozostałych, żeby się nie rozpaść. Brzmiało to jak wygodny oksymoron. Separować i dzielić, by pozostać całością.

Była ciekawa, czy Cunningham musi tłumaczyć takie rzeczy swojej żonie. Najwyraźniej szło mu o wiele lepiej niż jej. Kolejny powód, by przyjąć za swój jego zwyczaj niemówienia o pewnych sprawach.

Nie, Maggie nie znała imienia żony Cunninghama, nie wiedziała, czy szef ma dzieci, jakiej drużynie piłkarskiej

kibicuje ani czy wierzy w Boga. I szczerze mówiąc, właśnie to w nim podziwiała. Im mniej ludzie o tobie wiedzą, tym mniejsze ryzyko, że cię zranią. To jeden ze sposobów na uniknięcie strat i zniszczeń. Maggie sporo ta wiedza kosztowała. Może nawet za dużo. Od rozwodu nikogo do siebie nie dopuszczała. Nie musiała oddzielać spraw prywatnych od zawodowych, jeśli prywatne nie istniały.

– Proszę zaczekać. – Cunningham złapał ją za nadgarstek, kiedy chciała ugryźć drugi kęs pączka.

Rzucił swojego pączka na blat biurka i wskazał na pudełko. Maggie spodziewała się zobaczyć karalucha czy coś równie obrzydliwego, tymczasem dojrzała róg białej koperty wsadzonej na dno pudełka. Przez otwór w pączku w kształcie obwarzanka widziała drukowane litery. Agenci mieli zwyczaj wysyłać sobie pączki z gratulacjami z rozmaitych okazji. A zatem w tej kopercie powinna znajdować się kartka, a koperta nie powinna wywołać tak nerwowej reakcji.

– Czy ktoś wie, od kogo są te pączki? – spytał głośno Cunningham, by wszyscy go słyszeli. W jego głosie nie było jednak niepokoju, który Maggie dostrzegła w jego oczach.

Kilka osób wzruszyło ramionami, kilka mruknęło, że nie wie. Wszyscy byli zajęci pracą. To nie byli ludzie nieśmiali, każdy z nich chętnie by się przyznał, gdyby chodziło o niego. Ale człowieka, który przyniósł pączki, już tam nie było. Lewa powieka Cunnighama zadrżała, kiedy sobie to uświadomił.

Wyjął pióro z górnej kieszonki i ostrożnie wysunął kopertę spod pączka. Maggie też wydało się podejrzane, że ktoś schował kopertę na samym dnie pudełka, gdzie można ją było znaleźć dopiero po zjedzeniu większości pączków. Poczuła w ustach kwaśny smak. Zjadła tylko kęs, powiedziała sobie. Potem natychmiast się zastanowiła, ilu z jej kolegów pochłonęło już pozostałe pączki.

– Czasami jakiś dział przysyła nam pudełko z kartką z gratulacjami – zauważyła z nadzieją, że jej wyjaśnienie okaże się prawdą.

– To nie wygląda jak zwykła kartka z gratulacjami.

Cunningham chwycił róg koperty kciukiem i palcem wskazującym. Znajdował się na niej napis: Dla Pana Agenta F.B.I., na samym środku, drukowanymi literami, które wyglądały, jakby napisał je uczeń pierwszej klasy.

Cunnigham położył kopertę delikatnie na biurku, a potem się odsunął i rozejrzał znów po pokoju. Kilku agentów czekało na windę. Sekretarka Cunninghama, Anita, podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu. Nikt nie zwrócił uwagi na zaniepokojony wzrok szefa. Kropelki potu nad jego górną wargą świadczyły o rosnącej panice.

– Wąglik? – spytała cicho Maggie.

Cunningham potrząsnął głową.

– Nie jest zaklejona.

Odezwał się dzwonek windy, przyciągając uwagę ich obojga. Ale tylko na moment.

– Za płaska, żeby był tam środek wybuchowy – zauważyła Maggie.

– Na pudełku też nic nie ma.

Zdała sobie sprawę, że zachowują się, jakby rozwiązywali niewinną krzyżówkę.

– A co z pączkami? – spytała w końcu Maggie. – Mogą być zatrute?

– Niewykluczone.

Wargi jej wyschły. Chciała wierzyć, że ich podejrzenia są nieuzasadnione. Może jacyś agenci spłatali im figla. Co zresztą jest bardziej prawdopodobne niż fakt, że terrorysta dostał się do Quantico, i to na dodatek aż do ich wydziału.

Cunningham otworzył kopertę, ledwie dotykając jej nożem. Chwytając znów za róg, wyjął ze środka kartkę. Złożono ją na pół, a potem założono jeszcze wzdłuż brzegów jakieś pół centymetra.

– Tak robią farmaceuci – powiedziała Maggie, a żołądek znowu podskoczył jej do gardła.

Cunningham skinął głową. Zanim pojawiły się zmyślne plastikowe opakowania, farmaceuci mieli zwyczaj pakować leki w biały papier, który odpowiednio składali i zaginali na brzegach, by tabletki czy proszek nie wypadły. Maggie dowiedziała się tego, rozpracowując sprawę wąglika. Teraz zastanawiała się, czy nie pospieszyli się z otwarciem koperty.

Cunningham podniósł złożoną kartkę, starając się dojrzeć, co jest w środku. Nie dopatrzyli się jednak żadnego proszku. Maggie widziała tylko te same drukowane litery, które znajdowały się na kopercie. Przypominały jej pismo dziecka.

Przy pomocy pióra Cunningham rozłożył kartkę. Zdania były krótkie i proste, po jednym w linijce. Duże drukowane litery krzyczały:

NAZWIJCIE MNIE BOGIEM
DZISIAJ NASTĄPI ATAK
NA ELK GROVE 13949
O 10 RANO
NIE CHCIAŁBYM ŻEBY WAS TO OMINĘŁO
JESTEM BOGIEM
PS. WASZE DZIECI NIGDY I NIGDZIE
NIE BĘDĄ BEZPIECZNE.

Cunningham spojrzał na zegarek, a potem przeniósł wzrok na Maggie i spokojnym głosem oświadczył:

– Potrzebujemy oddziału pirotechników i brygady antyterrorystycznej. Spotkamy się na zewnątrz za piętnaście minut. – Po czym odwrócił się i ruszył do gabinetu, jakby codziennie wydawał tego rodzaju polecenia.

ROZDZIAŁ 3

Reston, Wirginia

R.J. Tully nacisnął na hamulec, a wtedy za nim rozległ się pisk opon samochodów. Reakcja łańcuchowa. Kierowca yukona, który zajechał mu drogę, pokazał mu środkowy palec, zanim zdał sobie sprawę, że będzie musiał zatrzymać się na światłach.

– To nie moja wina – odezwała się Emma, córka Tully'ego, z siedzenia pasażera. Obiema rękami ściskała kubek cafe latte ze Starbucka, na szczęście zakryty pokrywką, więc nic się nie wylało.

Tully zerknął na kawę, którą zostawił w miejscu przeznaczonym na kubek, bez pokrywki, którą wcześniej zdjął, by nalać śmietankę. Zresztą nie znosił pić z kubków z pokrywkami. Ale może przekona się do nich, jak już wysprząta samochód. Wszystko wokół było zalane kawą, z jego spodniami włącznie.

– Czy ja mówię, że twoja? – spytał, nie spuszczając wzroku z kierowcy yukona, który obserwował go we wstecznym lusterku.

Czyżby prowokował Tully'ego do wyścigu? Któregoś dnia z wielką przyjemnością wyciągnie odznakę FBI i pomacha nią przed nosem takiemu idiocie jak ten. Zwłaszcza teraz

chętnie by to zrobił, kiedy facet utknął na światłach razem z samochodami, którym zajechał drogę.

Tully zerknął na Emmę, która siedziała w milczeniu. Patrzyła przez boczne okno, popijając kawę.

– Czemu tak powiedziałaś? – spytał.

– Spóźnisz się do pracy, bo musisz mnie podwieźć. – Wzruszyła ramionami, nie odwracając się. – Spieszysz się, ale to nie moja wina, że jesteś spóźniony.

– Ten palant zajechał mi drogę – rzekł Tully, o mały włos nie dodając, że nie ma to nic wspólnego z faktem, iż on się spieszy. No i, rzecz jasna, to nie jego wina.

Na szczęście ugryzł się w język. Kiedy znowu zaczęli się o wszystko obwiniać? On i jego była żona stale to robili, ale dopiero w tym momencie uprzytomnił sobie, że tę samą grę prowadzi z córką. Jakby mieli to zapisane w genach, tę odruchową reakcję na zewnętrzne bodźce.

– To nie twoja wina, Słodki Groszku – oznajmił Tully. – Wiesz, że chętnie podrzucę cię do szkoły. Ale cieszyłbym się też, gdybyś mnie wcześniej uprzedziła, że masz taką potrzebę.

– Andrea zachorowała. Wiedziałeś o tym tak jak ja. – Spojrzała na niego wyzywająco.

Tully nie połknął haczyka, nie dał się sprowokować. Emma zadowolona poprawiła długie jasne włosy, które wciąż wpadały jej do oczu. „Taka moda”, mówiła mu za każdym razem, kiedy zwracał jej uwagę. Miała piękne błękitne oczy, nie powinna ich zasłaniać. Nie powiedział

jednak ani słowa na ten temat, bo Emma przewróciłaby tylko oczami i westchnęła.

Zapaliło się zielone światło. Tully zdjął nogę z hamulca i powoli ruszył. Miał sztywny kark, ale może to wcale nie przez tego chamskiego kierowcę yukona. Nie układa im się z Emmą. Była w ostatniej klasie. Nieustannie mu przypominała, że żyje w wielkim stresie, ale Tully widział, że interesują ją tylko przyjemności, włóczenie się po centrum handlowym albo wypady do kina z koleżankami.

Irytował go jej niefrasobliwy stosunek do nauki, jej kiepskie oceny i podejście do dalszej edukacji. Kładł na jej biurku stosy katalogów z informacjami o rekrutacji do college'ów, ona zaś zakrywała je egzemplarzami „Bride" i „Glamour", bardziej przejęta faktem, że zostanie druhną na ślubie swojej matki niż zdobyciem stypendium do college'u.

Czasami bardzo przypominała mu Caroline. Na dodatek z wiekiem stawała się coraz bardziej podobna do matki: jasna karnacja, blond włosy, szafirowe oczy, które niemal instynktownie wiedziały, jak nim manipulować. Po Tullym odziedziczyła chyba tylko szczupłą figurę i wzrost.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie będzie po tym ślubie. Został tylko tydzień. Może jakoś to przeżyje. Podniecenie córki z powodu ślubu matki nie stawało mu ością w gardle wyłącznie dlatego, że Emma lekceważyła edukację. Wiedział to sam, bez pomocy Freuda.

Nie zazdrościł Caroline, że wychodzi za mąż. Nie chodziło też o ich rozwód, który miał miejsce tak dawno temu, że

musiał się porządnie zastanowić, by powiedzieć, ile to już lat. Nie, chodziło o dojmujące poczucie, że traci córkę, bardziej zainteresowaną nowym życiem Caroline.

Tuż po rozwodzie Caroline odesłała do niego Emmę, bo nie chciała, by cokolwiek przypominało jej o przeszłości. Tak w każdym razie Tully to zapamiętał. Teraz wszyscy żyli tym nieszczęsnym ślubem, oczekując, że Tully nadal będzie się wysilał, jako odwieczny gwarant stabilności. Złościło go, że był tak niezawodny i godny zaufania, iż nikomu nawet nie przyszło do głowy, by mogło być inaczej.

Zerknął nerwowo na zegarek. Niezawodny, godny zaufania i spóźniony. Ale tylko on się tym przejmował, w każdym razie jeśli chodzi o spóźnienie. Kiedy zadzwonił do szefa i uprzedził go, że się spóźni, wyczuł w głosie Cunninghama zniecierpliwienie, jakby uważał tę informację za zbędną.

– Nie musi tak być – powiedziała Emma, przywracając go do teraźniejszości.

Odgarnęła włosy z oczu, odwrócona do niego, i patrzyła na niego wzrokiem pełnym nadziei, jak mała dziewczynka, która chce, by wszystko dobrze się układało. W ciągu minionych czterech lat wiele razem przeszli. Emma miała rację, to nie musi się skończyć wzajemną niechęcią. I znowu to ona wykazuje się rozsądkiem. To ona sprowadza go na właściwą drogę i przypomina, co jest naprawdę ważne. Nie, nie muszą się kłócić ani oskarżać się nawzajem. Z radością zaakceptował pakt pojednania.

Westchnął i uśmiechnął się do niej, wjeżdżając na krawężnik przed budynkiem szkoły. Zanim jednak przyznał jej rację i powiedział, że ją kocha, Emma się odezwała:

– Nie musiałabym być uzależniona od Andrei, gdybyś kupił mi samochód. Wtedy byłoby mi o wiele łatwiej i wygodniej.

Więc o to chodzi. Tully starał się nie okazać rozczarowania, podczas gdy Emma wyciskała całusa na jego policzku. Wyskoczyła z samochodu jak strzała, z plecakiem w jednej ręce i latte w drugiej, przekreślając wszelkie nadzieje na pojednanie, jakie żywił.

ROZDZIAŁ 4

Elk Grove, Wirginia

Maggie nie podobało się to, co zobaczyła. Dom wskazany w liście znajdował się w samym środku spokojnej okolicy zadbanych bungalowów, otoczonych potężnymi dębami i starannie utrzymanymi podwórkami. Tak wygląda każde przedmieście w tym kraju. Dlaczego wybrał akurat to miejsce?

Na podjeździe stał czerwony rower z ozdobnymi chwastami na kierownicy. Dwa domy dalej siwowłosy mężczyzna grabił liście. Półciężarówka stała zaparkowana na końcu ulicy, gdzie jakaś kobieta szła chodnikiem i wskazywała drogę dwóm mężczyznom z sofą.

Nie, Maggie bardzo się to nie podobało.

Po co ktoś miałby podkładać bombę na tym sennym przedmieściu? I to o poranku, kiedy w domu są tylko dzieci w wieku przedszkolnym i ich opiekunowie, oraz emeryci?

Czy to właśnie miał na myśli, pisząc: Wasze dzieci nigdy i nigdzie nie będą bezpieczne?

Może terrorysta chce im coś powiedzieć, wybierając za cel niewinnych i bezbronnych? Czy pragnie dać im do zrozumienia, że nie zna żadnych ograniczeń, nie ma skrupułów? Że może zaatakować w każdym miejscu? W końcu są w stanie wzmocnić kontrole na lotniskach,

w metrze i na dworcach, ale nie mają możliwości patrolowania wszystkich zamieszkałych peryferii stolicy.

– Coś mi tu śmierdzi – oznajmił Cunningham.

Siedzieli w białej furgonetce z pomarańczowo-niebieskim logo firmy hydraulicznej, które wyglądało na autentyczne. W środku trzech techników FBI stukało w klawisze i obserwowało monitory zamontowane na ścianach, pokazujące interesujący ich dom z czterech różnych stron. Kamery przekazujące obrazy umieszczono na hełmach członków brygady antyterrorystycznej, którzy skierowali się właśnie w tamtą stronę. Z tyłu parkowała druga taka sama furgonetka. Przecznicę dalej stała furgonetka usług komunalnych, gdzie czekał oddział pirotechników.

Maggie obciągnęła żakiet w fioletowe kwiaty, pod którym świetnie mieściła się kamizelka kuloodporna. Znalazła go w jednej z szaf wydziału, gdzie wisiały rozmaite dziwaczne ubrania, przydatne w podobnych okolicznościach. Jej marynarka w kolorze miedzi mówiła: Uwaga, agent FBI puka do twoich drzwi, zaś ta kwiecista wzbudziłaby raczej przyjazne uczucia. O ile ktoś nie zauważyłby ukrytej pod nią broni.

Maggie poprawiła pas na ramieniu i smith wessona w kaburze. Inni agenci przed laty zamienili go na glocka, ale Maggie pozostała wierna swojemu pierwszemu rewolwerowi. W takich sytuacjach jak ta nie mogła uciec od myśli, że rodzaj broni kompletnie nie ma znaczenia. Kamizelka kuloodporna także nie robi wielkiej różnicy, zwłaszcza jeśli wdepnie się na materiał wybuchowy. Ktoś,

kto wysyła oficjalne zaproszenie oficerom służb bezpieczeństwa, robi to dlatego, że znajduje przyjemność w wysadzeniu kilku z nich w powietrze.

Cunningham przedsięwziął wszelkie możliwe środki ostrożności. Niestety ewakuacja wszystkich okolicznych domów nie wchodzi w rachubę. Poza tym czas ucieka.

Maggie zerknęła na zegarek: dziewiąta czterdzieści sześć. Raz jeszcze bacznie zlustrowała okolicę, a przynajmniej to, co widziała przez przyciemnioną szybę tylnego okna.

Pewnie gdzieś tu jest.

Obserwuje i czeka.

Przypuszczalnie ma przy sobie detonator.

– A ta ciężarówka do przewozu mebli? – spytała Maggie.

– To byłoby zbyt proste – stwierdził Cunningham, nie odrywając wzroku od monitorów.

– Czasami to, co wydaje się normalne, staje się niewidzialne.

Zerknął na nią. Przez sekundę myślała, że popełniła błąd, cytując mu jego własne słowa. Przeniósł spojrzenie z powrotem na monitory, ale dotknął palcem miniaturowego mikrofonu przypiętego do klapy i powiedział:

– Sprawdźcie ten samochód od przeprowadzek.

W ciągu kilku sekund agent ubrany w jasnobrązowy kombinezon z logo firmy hydraulicznej wysiadł ze stojącej za nimi furgonetki. Podszedł do meblowozu i porównywał numery na domach z tym, co miał zapisane na kartce w lewej ręce. Rozmawiał właśnie z kierowcą meblowozu, kiedy Cunningham wskazał na inny monitor, niczym

zniecierpliwiony szachista czekający na kolejny ruch przeciwnika.

– Czy widać już wnętrze domu? – spytał technika, który bez przerwy stukał w klawiaturę.

Maggie obserwowała ciężarówkę przewożącą meble, od czasu do czasu spoglądając na monitor, w który wpatrywał się Cunningham. Gdzieś za tym domem znajduje się jeden z członków brygady antyterrorystycznej, który ma na głowie hełm z kamerą termowizyjną. Detektor promieniowania podczerwieni wyczuwa ciepło ludzkiego ciała, potrafi odróżnić sofę od człowieka na sofie. Obiekty ciepłe pokazuje jako białe, zimne jako czarne. Wszystko o temperaturze powyżej dwustu stopni Celsjusza na obrazie jest czerwone. Straż pożarna używa takich kamer do odnalezienia ofiar pożarów w wypełnionych dymem budynkach. Tym razem liczyli na to, że dowiedzą się, ile osób – ofiar, zakładników czy terrorystów – czeka na nich w środku.

– Niewielkie źródło ciepła w pierwszym pokoju – rzekł technik, wskazując na ekran, gdy pierwsza plama zaświeciła na biało. Kilka sekund później wpisywał współrzędne drugiego źródła ciepła. – Może to sypialnia. Ta osoba leży.

Czekali. Cunningham wyglądał zza ramienia technika, przesuwając okulary na czoło. Maggie siedziała z tyłu, skąd widziała także pozostałe monitory i meblowóz. Agent pomachał do kierowcy na pożegnanie, ale jeszcze raz

obszedł samochód i zajrzał do otwartej części bagażowej, udając, że nadal sprawdza okoliczne adresy.

– To wszystko? – spytał w końcu Cunningham technika. – Tylko dwa źródła ciepła?

– Na to wygląda.

Cunningham wyjrzał przez okno, a potem, zapinając marynarkę, spojrzał na Maggie. Podniszczoną tweedową marynarkę wypożyczył z tej samej szafy, z której pochodził jej kwiecisty żakiet.

– Gotowa? – spytał, sięgając po plik ulotek i poprawiając glocka.

Maggie skinęła głową i po raz ostatni zlustrowała okolicę.

– Gotowa – odrzekła, po czym wysiadła z furgonetki.

ROZDZIAŁ 5

Waszyngton

Artie zostawił SUV-a na publicznym parkingu, gdzie rządowa rejestracja nie przyciągała uwagi. Szybko się uczył i nie chciał zawalić sprawy przez opłatę na parkingu czy wykroczenie drogowe. Jak Ted Bundy. Temu gościowi liczne morderstwa uszły na sucho, uciekł z więzienia, a wkrótce potem kazali mu zjechać na pobocze, kiedy po pierwszej w nocy pruł volkswagenem szosą w Pensacoli na Florydzie. Bystremu gliniarzowi pomarańczowy garbus wydał się podejrzany, a kiedy sprawdził numery rejestracyjne, okazało się, że samochód został skradziony w Tallahassee.

Artie wiedział już takie rzeczy. Znał te banały na temat morderców. Uczył się na ich błędach. Rozumiał, że nie należy zwracać na siebie uwagi. A zatem zaparkował SUV-a i dalej szedł piechotą. Nie miał nic przeciwko temu. Był w dobrej formie, chociaż wcale nie ćwiczył. Żywił się głównie jedzeniem z fast foodów, od czasu do czasu przerzucając się na coś nowego. Hotel znajdował się zaledwie parę przecznic dalej. Dotarł tam w momencie, kiedy pasażerowie wsiadali do autokaru wycieczkowego. Idealnie trafił.

Już dwa razy wybrał się na zwiedzanie autobusem parku stanowego Washington Monument. W ten prosty sposób

powiększał swą kolekcję. Podczas kilkunastokilometrowej wycieczki był w stanie uzyskać DNA od ludzi z całego kraju. Ostatnim razem udało mu się nawet zdobyć długi rudy włos należący do kobiety ubranej w koszulkę drużyny Seattle Seahawk.

Kierowca wziął od niego bilet, a Artie wybrał miejsce przy przejściu, naprzeciwko pary w średnim wieku. Kiedy go pozdrowili, natychmiast stwierdził, że są z północnego wschodu, może nawet z New Hampshire. Lubił się tak zabawiać, dopasowywać dialekt to konkretnego miejsca.

– Skąd jesteście? – spytał przyjaznym tonem, na który trudno nie odpowiedzieć.

– Z Hanoveru, w New Hampshire – odparła zgodnie para.

Uśmiechnął się i skinął głową zadowolony.

– A pan?

– Z Atlanty – odparł. Zawsze podawał nazwę jakiejś wielkiej metropolii, by nikt nie oczekiwał, że zna czyjąś ciotkę czy kuzyna. Potem otworzył swą broszurę i zakończył rozmowę. Zresztą tylko tyle chciał wiedzieć, zaspokoił ciekawość, by przekonać się, czy się nie myli.

Para naprzeciwko także zamilkła, chociaż dałby głowę, że mieliby ochotę na dłuższą pogawędkę. Potrafił wcielać się w rozmaite postaci. Kiedy chciał, był niezwykle ujmujący, a wtedy nie brakowało mu partnerów do rozmowy. To było dobre ćwiczenie. Czasami wymyślał kłamliwe odpowiedzi, zanim jeszcze usłyszał pytanie. Ale tego dnia nie był w nastroju. Inne sprawy wymagały jego uwagi.

Zerknął na zegarek. Za kilka minut FBI zaleje przedmieścia, spodziewając się bomby, a on będzie wiele kilometrów dalej. Artie uważał swój plan za doskonały, choć nie brał w nim bezpośredniego udziału. Wyobrażał sobie rutynowe działania, oddział antyterrorystyczny i pirotechników w akcji. Tyle że nie będą ani trochę przygotowani na to, co tam zastaną. Myślą tak schematycznie. Fakt, że nie dostrzegają swych słabości, jest dodatkowym smaczkiem tego, co się wydarzy.

Położył plecak na puste miejsce obok siebie. Zwykle to zniechęcało nieudaczników, którzy wybierali się na wycieczkę sami, by poderwać inną samotnie podróżującą ofiarę losu. A skoro mowa o ofiarach, właśnie jedna z nich szła przejściem między siedzeniami. Artie znał ten rozbiegany wzrok, szukający bliźniego, by szybko zająć miejsce. Kobieta miała na sobie fioletową koszulkę z wyhaftowanymi motylami i sprane niebieskie dżinsy. Niosła dużą czarną torbę, w zasadzie worek. Artie uniknął kontaktu wzrokowego, gdy spojrzała w jego kierunku, otworzył broszurę i udawał, że lektura go wciągnęła, chociaż znał ją na pamięć.

Kobieta usiadła na fotelu przed nim. W szybie widział, jak położyła torbę na kolanach i zaczęła w niej grzebać. Wkrótce usłyszał dźwięk obcinacza do paznokci i pomyślał, że musiała dać ujście rozgorączkowaniu, nad którym dotąd panowała.

Jakie to prostackie. Co się stało z dobrymi manierami? Ludzie czeszą włosy w miejscach publicznych, drapią się

w intymne miejsca, wycierają nos albo obcinają paznokcie. Oczywiście, on w istocie to lubił, gdyż uczył się wykorzystywać ich fatalne nawyki i obracać je na swoją korzyść. Wyjął chusteczkę z plecaka i przypadkiem upuścił broszurę. Kiedy ją podnosił jedną ręką, przetarł podłogę chusteczką, złożył ją i wcisnął do plecaka. Nikt niczego nie zauważył, nikt też się nie zorientował, że podniósł z podłogi obcięty czubek paznokcia. Potem usiadł prosto, zadowolony. Wycieczka się jeszcze nie zaczęła, a on już odniósł mały sukces, zdobywając pomoce naukowe. Po raz kolejny spojrzał na zegarek. Tak, to będzie dobry dzień. Bardzo udany.

ROZDZIAŁ 6

Elk Grove, Wirginia

Maggie trzymała rękę pod połą żakietu, ściskając smith wessona, kiedy drzwi się otworzyły. To musi być albo pomyłka, albo fantastyczna pułapka. Dziewczynka, która stała w progu, miała cztery, najwyżej pięć lat.

– Czy mama jest w domu? – spytał Cunningham.

Maggie nie usłyszała cienia zdziwienia w jego głosie. Mówił łagodnym tonem, jak mężczyzna, który miał kiedyś takie małe dzieci.

Tymczasem Maggie lustrowała wzrokiem wnętrze. Jej uwagę przyciągnął głośno grający telewizor, a poza tym poduszki, brudne talerze i rozrzucone zabawki. Panował tam bałagan, ale nie na skutek jakiegoś wrogiego działania, tylko niechlujstwa gospodarzy.

Dziewczynka też wyglądała na zaniedbaną. W kącikach jej warg widniały okruchy pieczywa z masłem orzechowym i marmoladą. Odgarnęła z oczu potargane włosy, by ich lepiej widzieć. Miała na sobie różową piżamę z postaciami z kreskówek, które teraz pokrywały plamy.

– Sprzedajecie coś?

Maggie była pewna, że dziewczynka często zadawała to pytanie. Pewny głos, na czole zmarszczka niezadowolenia.

– Nie, kochanie, niczego nie sprzedajemy – odparł Cunningham. – Chcielibyśmy tylko porozmawiać z twoją mamą.

Dziewczynka obejrzała się przez ramię, co świadczyło, że matka jest w domu.

– Jak ci na imię? – spytał Cunningham, podczas gdy Maggie zbliżyła się do wejścia.

Widziała teraz dwoje drzwi. Jedne były otwarte i prowadziły do łazienki. Drzwi na prawo były zamknięte. Pamiętała z ekranu monitora, że drugie źródło ciepła znajdowało się po przeciwnej stronie.

– Nazywam się Mary Louise, ale chyba nie wolno mi z wami rozmawiać.

Dziewczynka patrzyła na Maggie rozkojarzona. Maggie nie znajdowała z dziećmi wspólnego języka tak łatwo jak Cunningham, a dzieci to wyczuwają. Zupełnie jak psy. Pies zawsze potrafi wyczuć osobę, która go nie lubi, po czym zwraca się właśnie ku niej, jakby chciał zdobyć jej względy. Maggie dawała sobie radę z psami. O dzieciach nie miała zielonego pojęcia.

W mikrofonie w prawym uchu usłyszała szept jednego z techników FBI.

– Dziewięć minut.

Zerknęła na Cunninghama. Dotknął ucha, by dać jej znak, że on też to usłyszał. Czas uciekał. Instynkt podpowiadał Maggie, że powinna wziąć dziewczynkę na ręce i wyjść z domu.

– Czy mama śpi, Mary Louise? – Cunningham wskazał na zamknięte drzwi.

Wzrok Mary Louise powędrował za jego ręką. Maggie minęła ją i ruszyła do pokoju.

– Nie czuje się dobrze – wyznała dziewczynka. – Mnie też boli brzuszek.

– Och, tak mi przykro. – Cunningham położył rękę na głowie dziewczynki, odciągając jej uwagę od Maggie.

Maggie ostrożnie weszła do pokoju. Miała przed sobą egzemplarze magazynu „People” rozłożone na małym stoliku, drażetki M&M rozrzucone na dywanie, plastikowy krzyżyk na ścianie. Szukała kabli. Nadstawiała uszu, by w jazgocie telewizyjnej kreskówki usłyszeć jakikolwiek podejrzany dźwięk. Wciągnęła powietrze nosem, sprawdzając, czy nie wyczuje siarki.

– Może będę mógł pomóc tobie i twojej mamie – rzekł Cunningham do dziewczynki, która podniosła na niego wzrok i skinęła głową.

Maggie zauważyła, że dziewczynka za chwilę wybuchnie płaczem. Już przygryzała dolną wargę, powstrzymując łzy. Znała ten grymas z własnego dzieciństwa. I nie znosiła, kiedy dorośli stosowali ten głupi szantaż, mówiąc: „Duże dziewczynki nie płaczą”.

Tak czy owak, było jasne, że Cunningham zdobył zaufanie Mary Louise. Wzięła go nawet za rękę.

– Ona jest chyba bardzo chora – powiedziała Mary Louise, pociągając nosem i wycierając go ręką. Potem zaprowadziła Cunninghama do zamkniętych drzwi.

Wtedy Maggie usłyszała w uchu kolejny szept:
– Pięć minut.

ROZDZIAŁ 7

Quantico, Wirginia

R.J. Tully nie mógł uwierzyć, że spóźnił się do pracy tylko dlatego, że Emma nie miała jak dojechać do szkoły. Nie dopuszczał do siebie myśli, że zorganizowała to wszystko, by przekonać go, jak bardzo potrzebuje własnego samochodu. Nie chciałby, żeby jego siedemnastoletnia córka była taką manipulatorką. I oczywiście nie zamierzał jej ulec. Samochód to ogromna odpowiedzialność. Tully pracował przez trzy lata – zaczynając w wieku piętnastu lat – zanim mu pozwolono, a raczej nim go było stać na posiadanie własnych czterech kółek. Nie miał także ochoty darować Emmie sporej niezależności, jaką daje samochód. Powinna na to zasłużyć, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, czym miałaby się wykazać, jak mu udowodnić, że jest tego warta.

– Ile było tych pączków? – Monotonny głos Keitha Ganzy przerwał rozważania Tully'ego i przywrócił go do rzeczywistości, którą było w tej chwili laboratorium FBI.

Spóźnił się do pracy, więc na jego głowę spadło zajęcie się dowodami. Tak trafił do otoczonego szklanymi ścianami miejsca pracy Ganzy.

– Nie wiem – odparł Tully. – Co za różnica?

– Jest różnica, jeżeli przy nich majstrowano. – Kościsty przygarbiony Ganza stał pochylony nad środkowym blatem, rozprawiając się z lukrowanym pączkiem.

Może z Tullym było coś nie tak, bo niezależnie od tego, czy pączek czymś nafaszerowano, czy też nie, na jego widok ciekła mu ślinka. Na śniadanie wypił tylko kawę, zresztą większość tej kawy wylała się w samochodzie, a do lunchu pozostały jeszcze dwie godziny. Przeniósł wzrok na dwóch pracowników laboratorium w białych fartuchach, którzy siedzieli za oszkloną ścianą po drugiej stronie korytarza. Tully nie znosił swojego klaustrofobicznego pokoju, cztery piętra pod poziomem zero, a równocześnie miał świadomość, że nie potrafiłby pracować w pomieszczeniu, gdzie byłby stale na widoku. Laboratorium – zwane „bio-westybulem” – było tak naprawdę sterylną szklaną kabiną z metalowym ustrojstwem, probówkami na tacach i mikroskopami połączonymi z komputerami. Lukrowany pączek na tacy z nierdzewnej stali nie pasował do tego otoczenia.

– Pączków nie dostarczają, prawda? – spytał Tully, myśląc głośno.

Ganza spojrzał na niego jasnoniebieskimi oczami znad wąskich okularów, które zsunęły się na koniec jego orlego nosa. Przypominał Tully’emu przyjazną wersję szalonego naukowca albo wysokiego stracha na wróble w czapce bejsbolówce bostońskich Red Soxów. Rzedniejące siwe włosy Ganzy sterczały spod czapki nad jego słusznej wielkości uszami. Twarz miał pobrużdżoną i wymizerowaną,

czoło pomarszczone. Rzucił Tully’emu spojrzenie mówiące: „Chyba żartujesz”, ale nigdy by tego nie powiedział. Idiotyczne pytania nieraz pomogły rozwikłać jakąś sprawę.

– W mieście pewnie dostarczają, ale w Quantico? Raczej nie.

– Sprawdzamy wszystkich, którzy dzisiaj wchodzili do budynku i z niego wychodzili. Dotąd niczego nadzwyczajnego nie znaleźliśmy – rzekł Tully. Zauważył, że pudełko było z białego kartonu, bez żadnego znaku firmowego. – Z listu wynika, że pączki miały być tylko straszakiem, a nie prawdziwym zagrożeniem.

– Nigdy nie wiadomo. – Ganza wsypał do probówki okruchy pączka.

Ganza był niczym skomplikowana

maszyneria, więcej w nim było naukowca niż oficera służb. Nie mówił, co trzeba zrobić, tylko sam brał się do dzieła, nie biorąc pod uwagę przypadku, szczęścia czy hipotez. Dla Ganzy dowód mówił sam za siebie. Nie stanowił rekwizytu służącego udokumentowaniu jakiejś wcześniej rozwiniętej historii czy teorii.

Nalał przezroczysty płyn do probówki, zamknął ją gumowym korkiem i zaczął nią potrząsać. Tully przyglądał się Ganzie, który kołysał się do przodu i do tyłu, mieszając zawartość próbówki niemal tak, jak kołysze się do snu dziecko. Tully starał się nie myśleć o postaci Icaboda Crane’a, bo wybuchnąłby śmiechem. Ależ ranek!

Kiedy Tully’emu zaburczało w brzuchu, Ganza spojrzał na niego, unosząc brwi. Potem obaj przenieśli wzrok na blat,

gdzie leżały pozostałe w pudełku pączki.

– W lodówce jest kanapka z tuńczykiem. Możesz sobie wziąć połowę – zaproponował Ganza, kiwając głową w stronę lodówki w rogu, gdzie, jak wiedział Tully, przechowywano też rozmaite próbki i wycinki. Tkanki i krew. Oczywiście wszystko szczelnie zamknięte, pewnie nawet na osobnej półce, ale dla Tully'ego i tak za blisko.

– Nie, dzięki – odparł, starając się, żeby w jego głosie nie było słychać obrzydzenia.

Widział, jak Ganza i Maggie konsumowali coś w przerwie między różnymi testami. W jego obecności podczas autopsji Maggie jadła śniadanie. Tully nie przekroczyłby tej granicy, postrzegał ją jako ostatni bastion swoich dobrych manier. Już niewiele granic pozostało do przekroczenia w tej robocie, tak w każdym razie tłumaczył się kolegom. A przede wszystkim już sam pomysł spożywania posiłku, kiedy tuż obok znajduje się krew i wnętrzności ofiary zbrodni, przyprawiał go o dreszcze.

Wciąż myślał o swoim pustym żołądku, biorąc do ręki dwie foliowe torebki. W jednej znajdowała się kartka, w drugiej koperta. Biały gładki papier sprzedawano właściwie wszędzie, od sklepów z artykułami biurowymi po Wal-Mart. Atrament niewątpliwie okaże się tym samym atramentem, który znajduje się niemal w każdym piórze. Facet nie zakleił koperty, więc nie została na niej jego ślina, a tym samym nie ma szansy na zdobycie jego DNA.

Przed przyjściem do Ganzy Tully zadzwonił do George'a Sloane'a. Od czasu sprawy z wąglikiem z jesieni 2001 roku

Sloane był ulubionym specjalistą Cunninghama od analizy dokumentów. Tully reprezentował pogląd, że skuteczność kryminalistycznego badania dokumentów zależy przede wszystkim od szczęścia. Mimo to uznał, że nie zaszkodzi, jeśli Sloane użyje swojej magii. Jego zdaniem wkład Sloane'a w rozwiązanie sprawy da się porównać do działania wudu. Miał też świadomość, że wiele osób podobnie myśli o portrecie psychologicznym sprawcy. W obu przypadkach sukces zależy od rozpoznania umysłu zbrodniarza, który nigdy nie jest tak przewidywalny, jak by pragnęli.

Ganza odłożył probówkę i znów zaczął grzebać w pudełku. Długimi metalowymi szczypcami chwycił coś mikroskopijnej wielkości i włożył to do foliowej torebki na dowody rzeczowe. Przesunął wyżej okulary i ponownie zanurkował szczypcami w pudełku. Nagle coś go zaabsorbowało.

– To może być jego – rzekł, pokazując Tully'emu mniej więcej półcentymetrowy czarny włos ściśnięty w kleszczach.

Tully się skrzywił. Zupełnie stracił ochotę na pączki.

Ganza położył włos na szkiełku i wsunął je pod mikroskop.

– Jest dość korzenia, żeby określić DNA. – Zmienił ostrość, pochylony nad okularem. – Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że nie należy do rasy kaukaskiej.

– To może być włos jakiegoś klienta albo cukiernika – rzekł Tully.

Ponownie spojrzał na list i kopertę.

– Ile osób może wiedzieć, jak się zagina kartkę w taki sposób, jak robili to kiedyś farmaceuci, pakując leki?

– Mógł o tym gdzieś przeczytać. Chciał się popisać – odpowiedział Ganza.

Tully uniósł wyżej kopertę i kartkę, by prześwietlić je laboratoryjnym światłem fluorescencyjnym. I wtedy, w rogu tylnej części koperty, dostrzegł ledwo widoczny ślad. Czasami nie trzeba nawet technika kryminalistycznego, który zajmuje się dokumentami, by coś takiego wytropić.

– Chyba coś tu mamy – oznajmił, trzymając foliową torebkę pod światło.

Czekał, aż Ganza zostawi mikroskop i obejdzie stół.

– Sukinsyn – rzucił Ganza, zanim Tully wskazał delikatny ślad. – Ale na pewno nie chciał tego tu zostawić.

ROZDZIAŁ 8

Elk Grove, Wirginia

Maggie starała się, by Mary Louise nie zobaczyła smith wessona, którego ściskała w dłoni. Cunningham lekko pchnął dziewczynkę za siebie, osłaniając ją przed tym, co mogą znaleźć, cokolwiek by to było.

– Przy wejściu od frontu jest wsparcie – usłyszała Maggie przez słuchawkę w uchu. – Oddział pirotechników bada teren przed domem. Są gotowi do wejścia. Wychodzicie?

Maggie spojrzała na Cunninghama.

– Nie – rzekł ledwie słyszalnie, uśmiechając się równocześnie do Mary Louise. Dziewczynka właśnie mu opowiadała, że zjadła całą paczkę drażetek M&M, które bardzo lubi, i pewnie dlatego rozbolał ją brzuch.

Maggie wiedziała, że nie zostało im wiele czasu. Dlaczego Cunningham się waha? Raz po raz obejmował wzrokiem framugę drzwi. Trudno było tam dostrzec coś podejrzanego, w każdym razie po tej stronie drzwi. Cunningham przekrzywił głowę i nadstawił uszu. Trzymał się blisko ściany. Prawą rękę zacisnął na klamce, a lewą wyciągnął przed Mary Louise, jak policjant z drogówki, który powstrzymuje przechodnia.

Gdyby to była zasadzka, wyważyliby drzwi, wpadając do środka z wyciągniętą bronią. Ale podejrzenie, że istnieją

tam materiały wybuchowe i ukryte pułapki, nakazywało działać z rozwagą i powoli. Maggie miała świadomość, że w tym momencie powinni ich zastąpić pirotechnicy.

Cunningham ani drgnął.

– Gotowa? – spytał Maggie.

Skinęła głową, a on otworzył drzwi.

Nie usłyszeli żadnego kliknięcia. Żadnego skwierczenia. Żadnego huku. Kompletnie nic.

Nic poza działającym na nerwy charkotem. Ktoś w tym pokoju ma problem z oddychaniem.

Mary Louise przemknęła obok nich, Cunningham nie zdołał jej powstrzymać. Rzuciła się na łóżko, na którym leżało coś, co wyglądało na kłąb zwiniętej pościeli. W sąsiednim pokoju zaroiło się od antyterrorystów, którzy poruszali się tak cicho, że nawet Maggie ledwie ich zauważyła.

– Mamusiu, mamusiu, ktoś przyszedł ci pomóc – zawołała śpiewnie dziewczynka.

Cunningham szybkim krokiem podszedł do łóżka, wziął dziewczynkę na ręce i przytulił ją do piersi. Potem jednak zamarł w pół kroku i odwrócił się do Maggie. W jego oczach dojrzała błysk paniki, chociaż odezwał się głosem jak zawsze spokojnym i opanowanym:

– Tu jest krew. – Zamilkł i raz jeszcze na nią zerknął. – Dużo krwi.

Maggie podeszła bliżej. Widziała tylko głowę kobiety, potargane włosy przyklejone do czoła. Kobieta z trudem łapała powietrze, przypominało to wręcz bulgotanie. Z jej

ust i nosa krew tryskała na poduszkę. Na całym łóżku było pełno krwi. Ale Maggie nie dostrzegła żadnych ran.

Potem przypomniała sobie ostrzeżenie zamieszczone w liście. Zrozumiała, że jest za późno. Nie ma tu żadnej bomby. Żadnych materiałów wybuchowych.

– Chyba nie chodziło o atak, o jakim myśleliśmy – powiedziała. Zamiast ulgi, poczuła ból w żołądku.

– O czym pani mówi? – zapytał Cunningham, przytrzymując rzucającą się w jego ramionach dziewczynkę.

– Zamiast pirotechników powinniśmy byli przywieźć zespół z wydziału substancji niebezpiecznych. – Czuła, jak wszyscy wokół niej znieruchomieli.

W tej samej chwili Mary Louise zaczęła wymiotować. Czerwona i zielona treść żołądkowa zapaskudziła przód marynarki i koszuli Cunninghama. Wylądowała nawet na żakiecie Maggie.

– Chryste! – mruknął Cunningham, wycierając twarz.

ROZDZIAŁ 9

Quantico, Wirginia

R.J. Tully patrzył, jak Keith Ganza prześwietla kopertę aparatem ESDA. W dzieciństwie zamazywał ołówkiem stronę w notesie, na której odcisnęły się litery z poprzedniej, wyrwanej już kartki, by dowiedzieć się, co tam było napisane. Zdaje się, że nauczył się tego z powieści dla młodzieży „Encyclopedia Brown Boy Detective”. W wieku dziewięciu lat szalał na punkcie tej serii książek, na długo zanim dowiedział się, czym zajmuje się agent FBI. Ta lektura wywarła na niego spory wpływ. Dzięki niej uświadomił sobie, że lubi rozwiązywać zagadki. Żeby jeszcze Emma czytała cokolwiek poza „Bride” i „Glamour”! Nie miał pojęcia, czym ona w ogóle się interesuje. Chociaż gdyby pisanie i wysyłanie wiadomości tekstowych było wymaganą umiejętnością w jakiejś pracy, miałaby duże szanse na jej uzyskanie.

Zdumiewało go to uzależnienie młodego pokolenia od komputerów. Dzieciaki potrafiły odbierać e-maile i tworzyć portrety w MySpace, ale logika i pomysłowość, a nawet rozwiązywanie zagadek były im całkowicie obce. Obserwując Ganzę, Tully nie mógł się oprzeć myśli, że gdyby użył zwykłego tradycyjnego ołówka, zrobiłby to lepiej i szybciej. Wiedzieliby przynajmniej, czy jest czym zawracać

sobie głowę. Ale kosztowny sprzęt nie niszczy dowodów. A to się liczy.

Ganza nastawił aparat, po czym wsunął kopertę między metalowe podłoże i przezroczystą folię Mylar. Kiedy był już gotowy, na foliową nakładkę nalał mieszankę tonera do fotokopiarek i maleńkich szklanych paciorków. Pod wpływem oddziaływań elektrostatycznych szklane paciorki zamoczone w tonerze przylegały do wgnieceń w papierze, pokrywały tuszem odciśnięty wzór czy litery. Tak przynajmniej rozumiał to Tully. Kiedy obraz stanie się widoczny, będą mogli zrobić zdjęcie i je powiększyć.

Czasami odkrywali tylko nieczytelne bazgroły. Tym razem wyglądało, że mają więcej szczęścia. Koperta musiała leżeć pod kartką, na której ktoś pisał, przyciskając pióro na tyle mocno, że na kopercie pozostał ślad. Zdawało się to wręcz niewiarygodne. Ale nawet przestępcy, zwłaszcza ci pewni siebie, popełniają błędy.

– Sądzisz, że to jego pismo? – spytał Tully, mając na myśli człowieka, który podrzucił im list. – Czy raczej przypadkowe zapiski? Na przykład kogoś z cukierni?

– On nie zostawiłby takiego listu ani nie włożyłby go do pudełka z pączkami, gdyby podejrzewał, że jest na nim jakiś ślad. – Ganza ujął folię palcami w rękawiczkach, po czym położył ją delikatnie na podświetlarce, jakby się obawiał, że ją zniszczy.

Nacisnął kilka przycisków i nagle napis powiększył się i przyciemnił. Nie będą potrzebowali kolejnych testów.

Zapiski wyglądały na zrobione w pośpiechu, ale łatwo je było odczytać. Tekst brzmiał następująco:

Zadzwonić do Nathana R.

7 wieczorem.

Wszystkie kropki były lepiej widoczne, jakby ktoś w tym momencie mocniej naciskał pióro.

Tully wziął do ręki foliową torebkę z oryginalnym listem i porównał charakter pisma.

– Drukowane litery, ale nie wszystkie takie same jak w liście – zauważył.

– Zupełnie, jakby uważał, że nie musi tego ukrywać.

– Nie podejrzewał, że to zobaczymy.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy. Ganza ściągnął rękawiczki, wyjął telefon i poszedł z nim na drugi koniec laboratorium. Zdążył powiedzieć tylko „Halo”, gdy odezwała się komórka Tully’ego. W powietrzu zabrzmiał dźwięk chińskiego dzwonka. Poprzedniego dnia Tully przypadkiem coś nacisnął i zmienił melodię. Ten cholerny wynalazek doprowadzał go do szału. Bez przerwy niechcący zmieniał ustawienia, sprawdzając nieodebrane połączenia albo wiadomości głosowe. Teraz będzie musiał pogodzić się z Emmą, i to na dość długo, by naprawiła szkody, jakie sam sobie wyrządził.

– R.J. Tully – powiedział po trzech dzwonkach.

– Mamy problem. – Rozpoznał głos Maggie O’Dell.

Zanim wyjaśniła, na czym polega ich kłopot, Ganza podbiegł do niego, patrząc mu w oczy.

– Wyjedziemy, jak tylko się spakuję – rzekł do telefonu, a do Tully’ego rzucił: – Musimy jechać, i to już, nim wojsko położy łapę na dowodach.

– Słyszę, że jesteś u Ganzy – powiedziała Maggie. – To świetnie.

– Co się dzieje? – spytał Tully, ale Ganza już spieszył w przeciwnym kierunku, zbierał sprzęt, wciąż z komórką przy uchu. Przemieszczał się dużymi krokami. Sprawiał wrażenie, że niezbyt pewnie trzyma się na nogach, jakby biegł na szczudłach.

W końcu Maggie rzekła:

– Mamy tutaj niezły pasztet.

ROZDZIAŁ 10

USAMRIID
Fort Detrick, Maryland

Pułkownik Benjamin Platt, doktor medycyny, nie kwestionował rozkazu dowódcy Janklowa. Przywykł do tego, że rozkazy się wykonuje, niezależnie od tego, czy chodzi o skok z samolotu do Zatoki Perskiej w pełnym kostiumie nurka z akwalungiem, czy zorganizowanie zespołu do spraw skażenia biologicznego i wyruszenie na przedmieścia. Co prawda w czasach, kiedy skakał, miał nieco mniej lat i był o wiele większym idealistą. Mimo wszystko nie podważał rozkazów. Pospieszył korytarzem pewnym krokiem, obcasy jego błyszczących jak lustro butów uderzały twardo o posadzkę. Był to jedyny znak jego rozgorączkowania.

Platt nie podawał w wątpliwość rozkazów dowódcy, zastanawiał się jednak, czy ten człowiek nie robi z igły wideł. Jeremy Janklow szefował tu od zaledwie trzech miesięcy. Był outsiderem z nadania politycznego, postrzeganym przez większość jako czyjś faworyt, a nie kompetentny szef USAMRIID-u, Wojskowego Instytutu Badań Chorób Zakaźnych, jednej z najbardziej szanowanych instytucji naukowych na świecie. Platt obawiał się, że Janklow spędził zbyt dużą część minionej

dekady za biurkiem. Czy to możliwe, by po prostu szukał pożaru, który mógłby ugasić, by zapracować na dobre imię?

Jedne z drzwi laboratorium otworzyły się, zanim Platt dotarł do końca korytarza. Przysadzisty brodaty mężczyzna, który się w nich pojawił, gestem skierował Platta do gabinetu obok. Żaden z nich nie powiedział ani słowa, nawet się nie przywitali, dopóki nie weszli do środka i nie zamknęli za sobą drzwi.

Michael McCathy zdjął fartuch laboratoryjny i włożył czyściutki granatowy kardigan z kaszmiru. McCathy był starszy i potężniejszy od Platta. Dawne czasy, kiedy grał jako wspomagający drużyny, poszły już w zapomnienie. Teraz był blady, miał zwisające policzki, lekko wystający brzuch i zmęczone głęboko osadzone oczy, powiększone przez grube szkła bez oprawek. Platt był szczupły, zawdzięczał to codziennym ćwiczeniom. Biegał osiem kilometrów dziennie i przez pół godziny podnosił ciężary. Jego letnia opalenizna zaczęła powoli blaknąć, ale brązowe włosy pozostały rozjaśnione przez słońce. Wiele godzin latem trenował drużynę młodzieżowej ligi bejsbola, a później piłki nożnej. Platt emanował energią, był niemal całkowitym przeciwieństwem McCathy’ego, który poruszał się wolno i statecznie.

Teraz McCathy wieszał swój świeżo wyprasowany fartuch na stojącym w rogu wieszaku, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Platt obserwował jego przemyślane ruchy, które działały mu na nerwy. Ten człowiek cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Jest egoistą, skupionym na sobie,

i wkurzającym jak diabli. Platt był w stanie znieść go jedynie w małych dawkach. Ale Janklow uważał McCathy’ego za geniusza i uparł się, by włączyć go do tej misji.

McCathy, niegdyś funkcjonariusz organów ochrony porządku publicznego, porzucił tę robotę i wylądował w Instytucie jako cywilny mikrobiolog, ekspert od zagrożeń związanych z bronią biologiczną. Najwyraźniej był zadowolony z tego, że spędza całe dnie z probówkami i mikroskopami, obmyślając i teoretycznie rozważając ewentualne scenariusze terrorystów, którzy chcieliby posłużyć się tym rodzajem broni.

Platt i McCathy nie mieli wiele wspólnego poza fascynacją groźnymi biologicznymi czynnikami, zwłaszcza wirusami i filowirusami. Kiedyś, w prowizorycznym szpitalu pod Sierra Leone, w rękach osłoniętych ochronnymi rękawiczkami, Platt trzymał lassę, wirusa czwartego, najwyższego poziomu zagrożenia. McCathy pracował jako inspektor od broni biologicznej w Iraku. Twierdził, że widział i sam nosił kanistry wypełnione śmiertelnie groźnymi roztworami. Upierał się, że istnieją jeszcze setki groźnych biologicznych czynników, czekających tylko, aż ktoś wymyśli sposób, w jaki można je przenosić. On i jego zespół byli ostatnimi, których przed wojną Saddam Hussein wyrzucił z kraju. Ich zeznania stanowiły część argumentów za tym, by rozpocząć tę wojnę.

Platt darzył szacunkiem osiągnięcia McCathy’ego, co nie znaczy, że czuł sympatię do niego samego.

– Wydawało mi się, że pański zespół będzie po cywilnemu. – McCathy zlustrował mundur Platta z miną wyrażającą dezaprobatę.

– Cywilne ubrania i cywilne pojazdy, poza furgonetką. – Platt starał się panować nad emocjami. Nie musi tłumaczyć się McCathy'emu. Potrzebował pięciu minut, by przebrać się w dżinsy, T-shirt i skórzaną kurtkę. – Są już prawie gotowi, w strefie załadunku. Ma pan wszystko?

McCathy skinął głową, po czym zdjął okulary i z absolutnym spokojem zaczął czyścić szkła.

– W samochodzie jest za ciasno, żeby się przebierać. I wolno by to szło. Pewnie trzeba by to robić pojedynczo. Jest pan pewien, że nie ma tam żadnego miejsca, które mogłoby pełnić rolę punktu etapowego?

Platt nie znosił, gdy McCathy kwestionował jego słowa, odgadywał zamiary. McCathy wciąż wszystkim przypominał, że jako cywil nie musi słuchać nikogo poza Janklowem.

– To dzielnica mieszkaniowa – wyjaśnił Platt, chociaż już mówił to McCathy'emu przez telefon.

– Więc może w sąsiednim domu? – spytał McCathy, wyjmując z kieszeni spodni małą butelkę środka odkażającego i wylewając odrobinę na rękę.

– Mamy rozkaz nikogo nie ewakuować. Nie chcemy wzbudzać paniki.

– Chyba pan żartuje – rzekł McCathy półgłosem, podkreślając swą dezaprobatę. – A jeśli to coś groźnego?

– Wtedy będziemy musieli zapobiec rozprzestrzenianiu się tego, zamknąć teren i izolować ludzi.

McCathy uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Obaj wiemy, że to nie wystarczy, jeśli okaże się, że to wąglik albo ta cholerna rycyna.

– Zespół do spraw ewakuacji został już postawiony w stan pogotowia.

– W stan pogotowia – powtórzył McCathy z kolejnym uśmiechem. Nie, on uśmiechnął się z wyższością.

Platt znał już także ten szczególny ton. McCathy posługiwał się nim podczas spotkań, by pokazać swoją pogardę dla władzy i zasad w ogóle. Platt nie rozumiał, dlaczego McCathy zdecydował się na pracę w laboratorium wojskowym. Nosił się jak ktoś, kto ma jakieś szczególne prawa, wyglądał w tym swoim kaszmirowym kardiganie elegancko, jakby był jedynym dość inteligentnym człowiekiem, który dostrzega szalejącą niekompetencję innych.

McCathy był starszy od Platta i pracował w Instytucie o wiele dłużej. To wystarczyło, by stwierdził, że wolno mu Platta lekceważyć. Jako cywil nie musiał przestrzegać zwyczajów związanych z wojskową hierarchią i stopniami. Dla niego nie stanowiło różnicy, czy Platt jest sierżantem, czy pułkownikiem. Tak czy owak nie zamierzał go słuchać. Tym bardziej że zwrócił na siebie uwagę Janklowa i zdobył jego uznanie.

Platta jednak to nie obchodziło. Nie bał się McCathy’ego. Widział i robił takie rzeczy, które tego mężczyznę o przezroczystej skórze przyprawiłyby o szok. McCathy, poza tym, że był inspektorem od broni biologicznej, żył

w świecie sterylnym, będącym pod pełną kontrolą, jak w laboratorium.

Nie, tacy ludzie nie są w stanie zastraszyć Platta. Co najwyżej go irytują. To on jest odpowiedzialny za to zadanie i nie da się wciągnąć w żadną rywalizację, zwłaszcza z kimś takim jak McCathy.

– Spotkamy się w strefie załadunku za dziesięć minut – rzekł do McCathy’ego i nie czekał na odpowiedź.

ROZDZIAŁ 11

Elk Grove, Wirginia

Maggie zdobyła średnie wykształcenie medyczne, ponieważ ojciec marzył, by została lekarką. Dzieciństwo miała trudne, bo wbrew sobie została zmuszona do opieki nad matką alkoholiczką o skłonnościach samobójczych. Na skutek tych doświadczeń stwierdziła jednak, że zawiłości ludzkiego umysłu ogromnie ją interesują.

Mimo to skończyła szkołę przygotowującą do studiów medycznych. Czuła, że jest to winna nieżyjącemu już ojcu. Potem wybrała psychologię, a ostatecznie specjalizację kryminalistyczną. Wykształcenie medyczne pozwalało jej asystować podczas sekcji, czasami przydawało się też na miejscu zbrodni. Tym razem pomogło jej rozpoznać, że Mary Louise i jej matka nie zostały otrute. One zostały narażone na kontakt z jakimś groźnym czynnikiem biologicznym.

Jeżeli pogróżki zamieszczone w liście są prawdziwe, znaczy to, że Mary Louise i jej matka nie tylko miały kontakt z nieznanym czynnikiem biologicznym, ale ten czynnik dostał się już do ich organizmu. Maggie znała określenie „zaatakować i wykrwawić”, używane przez personel wojskowy i medyczny w kontekście broni biologicznej. O ataku była mowa, gdy jakiś czynnik

biologiczny niszczył swojego żywiciela, dostając się doń z zewnątrz.

Antyterroryści także znali ten termin. Nie trzeba ich było długo przekonywać, by opuścili teren, chociaż chroniły ich maski przeciwgazowe. Z początku Cunningham rozkazał Maggie, by wyszła razem z nimi. Ale ona od razu dostrzegła w jego oczach mieszankę żalu i poczucia winy, może też odrobinę lęku, kiedy sobie wszystko uświadomił. Nie mógł przecież pozwolić jej wyjść. Żadne z nich dwojga nie może opuścić tego domu.

Po krótkiej dyskusji zgodzili się, że powinni wyjść z sypialni. Maggie musiała przyznać Cunninghamowi rację. Nie wiedzieli, z czym mają do czynienia. Medyczne wykształcenie Maggie i jej instynkt walczyły o lepsze ze zdrowym rozsądkiem. A jeśli może coś zrobić dla matki Mary Louise? Chrapliwy oddech kobiety przerywał rytmiczny wytrysk krwi. Wyglądała, jakby się krztusiła, zachłystywała własną krwią i śluzem. Maggie potrafiła wykonać tracheotomię w warunkach polowych. Miała ochotę udrożnić drogi oddechowe tej kobiety.

W odpowiedzi Cunningham kazał jej wyjść z pokoju. Kiedy się sprzeciwiała, stanął pomiędzy nią a chorą i wskazał palcem drzwi. Nie miała wyboru. Odwróciła się i wyszła. Cunningham nie mógł jej pozwolić na ratowanie chorej. Wziął za to Mary Louise do łazienki, i umył ją i siebie. Zabronił Maggie iść razem z nimi. Wiedziała, że ją chroni. Był to bohaterski, choć całkiem nieskuteczny gest. Miała

świadomość, że pewnie jest już za późno. Wymiociny Mary Louise znalazły się także na jej ubraniu.

Z jakiegoś powodu przypomniała sobie pierwsze miejsce zbrodni, z jakim miała do czynienia. Może dlatego, że i wówczas Cunningham starał się ją chronić. Właśnie została agentką po roku szkolenia z medycy sądowej w Akademii FBI w Quantico. Był sam środek lata, gorący i parny. W przyczepie musiało być dziesięć czy piętnaście stopni cieplej niż na zewnątrz. Nigdy nie widziała tyle krwi, dosłownie wszędzie: na ścianach, na meblach, na talerzach stojących na kuchennym blacie. Ale to kwaśny smród gnijącego ciała i bzyczenie much zapisały się na zawsze w jej pamięci.

Zwymiotowała, zanieczyściła miejsce zbrodni, nowicjuszka, która nie wytrzymała pierwszej próby. Zastępca dyrektora Cunningham, tak twardy dla niej podczas całego szkolenia – wciąż ją pytał, poganiał, zadręczał, suszył głowę – położył dłoń na jej ramieniu, gdy dostała torsji. Ani razu jej nie skarcił, nie udzielił nagany. Zamiast tego rzekł spokojnie: ” Każdemu przytrafia się to co najmniej raz”.

Teraz, w tym małym domu na cichym przedmieściu, wydawało jej się, że od tamtej chwili minęły wieki. Rozejrzała się po salonie, nie zwracając uwagi na śmiech i efekty dźwiękowe z telewizyjnej kreskówki.

Jak on to zrobił?

Raz jeszcze bacznie przyjrzała się wszystkiemu. Próbowała sobie wyobrazić, że posłużył się czymś takim jak

pudełko z pączkami. Tyle że tutaj nie zauważyła żadnego pudełka po pizzy, żadnych pojemników na jedzenie na wynos, żadnego kartonika po ciastkach. Na pewno wybrałby coś zwyczajnego, jednorazowego, nie rzucającego się w oczy.

O zabójcy wiele mówią wybrane przez niego ofiary. Dlaczego zatem wybrał Mary Louise i jej matkę? Maggie zlustrowała wyposażenie pokoju. Meble stanowiły eklektyczną zbieraninę: biblioteczka z płyty wiórowej, powycierana sofa z kwiecistym obiciem i fotel z innego kompletu, dywan z frędzlami i nowy telewizor z płaskim ekranem. Drewniany porysowany stolik stanowił centrum życia rodzinnego. To na nim znajdował się pilot do telewizora, okulary do czytania, brudne talerze i kubki, pokruszone chipsy pomidorowe, rozsypane drażetki M&M, książeczka do kolorowania i pudełko z sześćdziesięcioma czterema kredkami. Część kredek, w tym połamanych, leżała na dywanie.

W rogu dwie sterty czasopism opierały się o biurko. Stos poczty – katalogów i kopert, częściowo rozpakowanych albo jeszcze nietkniętych – leżał na biurku, niektóre przesyłki zsunęły się na krzesło.

Na półkach stało kilka fotografii: Mary Louise w różnym wieku, czasami z matką. Na jednej towarzyszyła jej para starszych ludzi, zapewne dziadków. Żadna nie przedstawiała jej z ojcem, nie wyglądało też na to, by z któregoś zdjęcia postać ojca wycięto.

Zwyczajne, szczęśliwe, niewinne życie. Może to właśnie był powód, dla którego morderca je wybrał.

Potem coś przykuło wzrok Maggie. Ze stosu poczty na biurku wystawała szara koperta. Maggie widziała tylko adres zwrotny, ale to wystarczyło. Był napisany drukowanymi literami, bardzo podobnymi do tych z listu, który znaleźli w pudełku z pączkami.

Raz jeszcze potoczyła wzrokiem po pokoju. Cunningham powiedział jej, że będą musieli się zgłosić do najbliższego ośrodka sanitarno-epidemiologicznego. A najbliżej jest Fort Detrick, co znaczy, że wojsko przejmie sprawę. Zapewne zamkną te pomieszczenia, może nawet cały dom. Rozpoczną od izolacji i leczenia lokatorów. Na drugim miejscu znajdzie się przetwarzanie dowodów. Czy w ogóle będą wiedzieli, czego szukać?

W kuchennej szafce znalazła pudełko dużych, szczelnie zamykanych torebek foliowych. Wróciła z nimi do pokoju i zdjęła wierzchnią warstwę poczty, by nie wyciągać szarej koperty i nie ryzykować, że ją zniszczy. Potem ostrożnie czubkami palców podniosła kopertę za róg i wrzuciła ją do foliowej torebki. Zamknęła torebkę i na wszelki wypadek wsunęła ją do drugiej takiej samej.

Powiedziała sobie, że oszczędza wojsku pracy. Oczywiście będą jej za to wdzięczni. Mimo wszystko wsunęła podwójnie zapakowaną kopertę za pasek spodni. Torebka była niemal przyklejona do jej pleców. Poprawiła bluzkę i żakiet, na wypadek, gdyby jednak nie byli tak wdzięczni, jak się spodziewała.

ROZDZIAŁ 12

North Platte, Nebraska

Patsy Kowak wsadziła jedną przesyłkę pod pachę i przyjrzała się niedostatecznie ofrankowanej kopercie. Roy, ich listonosz, zawsze dostarczał wszystko, co było do nich zaadresowane. Bardzo tego pilnował. Ale ta sytuacja była krępująca. Adres zwrotny był adresem biura jej syna. Może to wina tej nowej asystentki. Mimo wszystko to niewybaczalne niedbalstwo. Prawie dwa dolary dopłaty.

Wsunęła kopertę do kieszeni dżinsowego żakietu, patrząc na długi podjazd. Nie chciała denerwować swojego męża, Warda. Zresztą prawie ze sobą nie rozmawiali.

Wciągnęła w płuca świeże poranne powietrze i próbowała się uspokoić. Słyszała odległy gwizd pociągu i krakanie wron, lecących na pola na żerowisko. Bardzo lubiła tę porę roku. Klony i topole, które otaczały ich ranczo, zalśniły czerwieniami i złotem jesieni. Z kominka dolatywał zapach dymu, kojąca woń sosny i orzecha. Ward uparł się, że jest za wcześnie na włączenie pieca, za to potrafił znakomicie przegnać chłód z domu, rozpalając wczesnym rankiem w kominku.

Tak, uwielbiała tę porę roku i spacery do skrzynki na listy, ten codzienny rytuał, do którego należało napełnienie kieszeni miętówkami dla Penny i Cedrika. Tego ranka

dodała do nich ćwiartki jabłek. Ward zrzędził, że Patsy rozpieszcza ich dwa konie, od dawna na emeryturze, ale to on przytargał do domu trzy półkilogramowe paczki miętówek z Wal-Martu. Jej szorstki i twardy mąż miał miękkie serce, które rzadko dopuszczał do głosu. Najczęściej okazywał je ich wnuczce, Regan, czasami Patsy, i zawsze zwierzętom. Za to prawie nigdy ich synowi Conradowi.

Potrząsnęła głową, przypominając sobie ich ostatnią kłótnię na temat Conrada. Już tylko o niego się sprzeczali. Chłopak odniósł sukces, został wiceprezesem dużej firmy farmaceutycznej. Był magistrem biznesu, posiadał własne eleganckie mieszkanie, miał dostęp do prywatnego odrzutowca firmy. Ward Kowak w ogóle tego nie doceniał. Na czym zatem polega sukces, zdaniem Warda? Sukces to posiadanie czegoś, co możemy przekazać następnemu pokoleniu. Na przykład ziemia. Na przykład dobre imię.

Jego dobre imię.

Znowu pokręciła głową. Zaczęło się od tego, że Conrad zmienił pisownię swojego nazwiska z Kowak na Kovak. Twierdził, że to ważne, by jego partnerzy w interesach prawidłowo wymawiali jego nazwisko, a skoro „v” po angielsku jest wymawiane jak „w” w języku polskim, jakie to ma znaczenie? Tak tłumaczył to ich syn, tak brzmiały jego wyjaśnienia. Ich syn z tytułem magistra i słowem „Wiceprezes” po nazwisku ze zmienioną pisownią. Czy nie zdawał sobie sprawy, że tym zrani ojca?

Ale zmiana nazwiska okazała się tylko czubkiem góry lodowej. Prawdziwe nieszczęście nastąpiło czwartego lipca, kiedy Conrad oznajmił rodzicom, że się żeni. Żadna wiadomość nie mogłaby bardziej uradować Patsy. Młodsza siostra Conrada od pięciu lat była mężatką i miała małą córeczkę, ich anioła, Regan. Wtedy nawet Ward zrobił się łagodniejszy dla syna. Myślał – a raczej miał nadzieję – że to znak, iż Conrad wreszcie dojrzał i chce się ustatkować. Myślał tak, dopóki się nie dowiedzieli, że wybranka Conrada jest starszą od niego o piętnaście lat rozwódką z nastoletnim dzieckiem.

Patsy to nie przeszkadzało. Pragnęła tylko, by syn był szczęśliwy, ale Ward potraktował to jako kolejną osobistą zniewagę, kolejne nieposłuszeństwo syna, który zszargał rodzinne nazwisko. Jej mąż zachowywał się jak dziecko i Patsy mu to powiedziała.

Zbliżając się do domu, z ulgą stwierdziła, że pickup Warda zniknął. Przy śniadaniu burknął, że ma jakieś sprawy do załatwienia w mieście.

Wszedłszy na ganek, Patsy poklepała Festusa, ich starego owczarka niemieckiego, który wygrzewał się w plamie słońca. Pies zwykle chodził z nią do skrzynki na listy. Nie chciała nawet myśleć, jak bardzo się postarzał, bo był mniej więcej w jej wieku, jeśli przeliczyć lata psie na lata życia człowieka.

Gdy weszła do domu, rzuciła pocztę na blat kuchenny. Wszystko poza jedną przesyłką. Wyjęła nożyczki z szuflady i rozcięła grubą kopertę, po czym wysunęła jej zawartość

na blat. Nie było tam żadnego listu, nawet kartki. To cały jej syn – Pan Porządnicki w pracy, ale nie w życiu osobistym.

Zawsze był w biegu, robił wszystko na ostatnią chwilę, nawet gdy się starał zrobić coś przed czasem. Tak musiało być i w tym przypadku. Kiedy ostatnio rozmawiali z Conradem, Ward narzekał na wzrost cen biletów lotniczych, jakby to był wystarczający powód, by nie uczestniczyć w ślubie syna. Dla Warda pieniądze nie miały takiego znaczenia, chociaż Conrad uważał inaczej. Nazwał ojca skąpcem, nie rozumiejąc różnicy między skąpym i oszczędnym. Pewnie teraz Conrad chciał ojcu coś udowodnić. Bo po co przysyłałby szczelnie zamkniętą foliową torebkę, a w niej jakieś kilkaset dolarów?

To śmieszne. Jej syn zachowuje się równie dziecinnie jak jego ojciec. Ale ona nie dopuści do kłótni w rodzinie.

Musi gdzieś schować te pieniądze, żeby Ward ich nie zobaczył.

ROZDZIAŁ 13

Elk Grove, Wirginia

Spóźnili się.

Tully zrozumiał to, gdy tylko skręcili w tę ulicę. Nawet Ganza przestał jeść swą kanapkę z tuńczykiem i powiedział:

– Sukinsyny, wyprzedzili nas.

Facet ostrzyżony na jeża, o atletycznej budowie i pewnych ruchach, kazał furgonetce z logo firmy hydraulicznej należącej do FBI zjechać z krawężnika i zrobić miejsce dla białej furgonetki. Tully rozpoznał te ruchy, postawę tego mężczyzny, jego zaciśnięte zęby i spokojny wzrok, któremu nic nie umykało. Był dominujący i władczy, chociaż miał na sobie dżinsy i sportową skórzaną kurtkę. Tully wiedział, że to wojskowy.

– Odsyłają naszych techników do domu – rzekł, parkując pół przecznicy dalej.

Ganza rzucił kanapkę na deskę rozdzielczą i zaczął grzebać w kieszeniach. Tully patrzył na okruszyny rozrzucone po całym samochodzie. Przypomniał sobie rozlaną rano kawę. Miał wrażenie, że od tamtej chwili minęło kilka dni, a nie parę godzin. Ganza wybierał jakiś numer. Tully obserwował, jak wojskowy kieruje białą furgonetkę na trawnik, a potem na tył budynku. Przysiągłby, że ten facet nigdy nie miał połowy kanapki na

desce rozdzielczej ani plam z kawy na fotelach w samochodzie.

– Jesteśmy na miejscu – mówił Ganza do telefonu. – Odesłali nasz samochód. Co mamy robić? – W jednostajnym głosie Ganzy nie było cienia niepokoju, jedynie jego długie kościste palce postukiwały nerwowo w konsolę.

Minęła ich druga biała furgonetka. Z boku znajdował się na niej czarny napis: Instalacje Wodno-kanalizacyjne, Wirginia. Furgonetka była zbyt biała, za czysta. Tully z daleka dostrzegł prawie nowe opony. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni, ubrani w białe kombinezony z logo na kieszeniach i czarne błyszczące buty. Wyjęli z tyłu samochodu specjalne kozły, ustawili je i zamknęli ulicę. Sąsiedzi mogliby pomyśleć, że w tym budynku ulatnia się gaz albo pękła rura. Pod warunkiem, że nie zauważyli lśniących butów i prawie nowych opon.

Stary mężczyzna grabiący liście na podwórku stanął i spojrzał na nieznajomych w białych kombinezonach, ale nie wyglądał na zaniepokojonego, a nawet zainteresowanego. Po paru minutach wrócił do grabienia.

Furgonetka FBI przejechała wąskim pasmem między kozłami. Kierowca zaparkował obok samochodu Tully’ego i opuścił szybę. Tully zrobił to samo. Znał skądś tego agenta, chociaż nie potrafiłby podać jego nazwiska. To bez znaczenia. Agent spojrzał na Tully’ego i Ganzę, mówiąc:

– Teraz to operacja wojska i Departamentu Bezpieczeństwa. Nic nie możemy zrobić.

– A co z dowodami? – Ganza zwrócił się równocześnie do agenta i swojego rozmówcy po drugiej stronie linii.

Tully zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Ganza miał bezpośrednią linię do dyrektora FBI.

– Zabezpieczyć i izolować – odparł agent. – To ich priorytet. Oni traktują to jak zagrożenie terrorystyczne. Dla nich to nie jest miejsce zbrodni. Nie zaprosili nas na tę imprezę.

– Ale w środku przebywa dwójka naszych agentów – rzekł Tully, patrząc na dom. – Oni wciąż tam są, tak? – Zerknął na agenta, który odwrócił wzrok i podrapał się w brodę.

– Tak. To dlatego Cunningham wezwał wojsko. – Spojrzał na Tully’ego i Ganzę, którzy siedzieli w milczeniu i czekali, chociaż wiedzieli, co usłyszą. – Obydwoje mieli z tym kontakt.

ROZDZIAŁ 14

Elk Grove, Wirginia

Pułkownik Benjamin Platt rozumiał, że pięćdziesiąt procent sukcesu operacji mającej na celu zapewnienie bezpieczeństwa biologicznego polega na niedopuszczeniu do wycieku informacji. Dowódca Janklow był w tej kwestii bardzo stanowczy. Mają stosować wszelkie środki, oznajmił, by trzymać media z daleka. Jeśli okaże się to niemożliwe, Platt ma przekonać dziennikarzy, że to rutynowe działania. Nie wolno mu używać „strasznych słów", które mogłyby wywołać panikę. Określenia takie jak: zaatakować i wykrwawić, śmiertelna zakaźna choroba, ewakuacja, zagrożenie ze strony organizmów żywych, skażenie są zabronione. Pod żadnym pozorem nie wolno też posługiwać się terminem „zakażeni".

Prawdę mówiąc, nie mieli pojęcia, czy w ogóle istnieje jakieś zagrożenie. Platt wciąż liczył na to, że to tylko nerwowa reakcja, bo ktoś się przestraszył. Po panice wywołanej wąglikiem jesienią 2001 roku pojawiły się setki dowcipnisiów wysyłających listy z rzekomym wąglikiem. Ludzie ci marzyli o sławie albo zemście. Platt oceniał szansę, że tak jest i tym razem, na jakieś pięćdziesiąt procent. Ktoś chce mieć swoje pięć minut w wieczornych wiadomościach.

Platt widział, że McCathy czeka na niego przy tylnych drzwiach furgonetki, drapie się w brodę, marszczy czoło i przytupuje zniecierpliwiony. Ale teraz jego kolej, by poczekał.

W końcu, stwierdziwszy z zadowoleniem, że wszystko i wszyscy są na swoim miejscu, Platt zastukał w tylne drzwi furgonetki. Po paru sekundach zamek kliknął i na prowadnicach zaskrzypiały opuszczane metalowe drzwi. Platt kazał zaparkować samochód tyłem do tylnych drzwi budynku, zasłoniętych ogrodzeniem z jednej, a szopą na narzędzia z drugiej strony. Dzięki temu nikt nie widział wnętrza furgonetki, a od wejścia do domu dzieliły ją zaledwie trzy stopnie. Wchodziło się najpierw na małą werandę, a kolejne drzwi prowadziły już prosto do kuchni. Platt pomyślał, że wychodząc, będą mogli wykorzystać ją jako strefę odkażenia.

McCathy właśnie pakował się do furgonetki.

– To moje zadanie – Platt go powstrzymał – ja wejdę pierwszy. Pan za mną.

McCathy skinął głową i się cofnął. Nie robił tego z grzeczności, chodzi o ryzyko, więc nie dyskutował. Właściwie wyglądał, jakby mu ulżyło.

Dwoje współpracowników Platta, najlepszych z jego zespołu, czekało już w furgonetce. Platt wsiadł i zaciągnął za sobą grubą plastikową plandekę. Zaczął się przebierać w ubranie ochronne, które podała mu sierżant Hernandez. Odwróciła wzrok, gdy tylko rozpiął pasek u spodni. Była młoda, a on był jej przełożonym. Za kilka sekund jego życie

będzie zależało od niej i sierżanta Landisa. Muszą być absolutnie pewni, że jest dostatecznie zabezpieczony przez potencjalnym czynnikiem biologicznym. Mimo to sierżant Hernandez zarumieniła się na widok jego bielizny. Platt miał ochotę się uśmiechnąć.

Zatrudnił w swoim zespole dwa razy więcej kobiet niż jego poprzednik, który dawał jasno do zrozumienia, że kobiety nie powinny pracować w strefie najwyższego zagrożenia, gdyż mogą wpaść w histerię. Platt wiedział swoje i zignorował wszystko, czego tamten facet uczył go o kobietach. Ale w sytuacjach takich jak ta bywał zdumiony, a nawet rozbawiony. A ostatnio naprawdę mało co go bawiło.

Landis podał Plattowi kombinezon. W przeciwieństwie do niebieskich kombinezonów kosmicznych, które nosili w USAMRIID-zie w pomieszczeniach czwartego, najwyższego poziomu zagrożenia, kombinezon marki Racal miał kolor jasnopomarańczowy i zasilany baterią zapas tlenu, który miał starczyć do sześciu godzin.

Platt wciągnął dwie pary gumowych rękawiczek, a Hernandez przypięła je do rękawów kombinezonu. Landis przymocował buty Platta do nogawek hermetycznymi taśmami. Hełm z przezroczystego miękkiego tworzywa był ostatnią i bardzo ważną częścią ubioru ochronnego. Platt spotkał mężczyzn i kobiety, dzielnych żołnierzy, oddanych naukowców, którzy w kosmicznych kombinezonach cierpieli na ataki klaustrofobii i z uporem wyrywali się na zewnątrz. Platt spędził trzydzieści sześć godzin za linią wroga

w Afganistanie, uwięziony w czołgu zniszczonym przez improwizowany ładunek wybuchowy, z nadzieją, że znajdzie go ktoś inny niż talibowie. Opiekował się swoimi kolegami żołnierzami. Jeden z nich miał otwartą ranę głowy, drugi stracił pół ręki. Niewiele dałoby się z tym porównać. Wejście do strefy najwyższego zagrożenia w kosmicznym kombinezonie przypominającym kokon wydawało się dziecinnie łatwe.

Czekał, aż Hernandez i Landis dokładnie sprawdzą kombinezon. Zanim włączyli elektryczną pompkę, czuł, jak pot spływa mu po plecach. Silnik zaczął wirować. Platt słyszał, jak powietrze jest zasysane do kombinezonu, który nadmuchiwał się i pęczniał. Hernandez pokazała mu uniesiony do góry kciuk. Trudno było rozmawiać, przekrzykując elektryczną pompkę. Platt machnął ręką i wskazał na taśmę uszczelniającą. Hernandez skinęła głową, natychmiast go zrozumiała i oderwała kilka kawałków taśmy. Potem przykleiła je jeden na drugim na rękawie Platta, gdzie mógł łatwo sięgnąć. Jeśli w jego kombinezonie pojawi się dziura, zaklei ją taśmą, nim powietrze ucieknie. W strefie zagrożenia dziurawy kombinezon jest bezużyteczny.

Minęło już sporo czasu, odkąd Platt to robił. Poprzednim razem było to w redakcji „Miami Herald” w 2001 roku, kiedy list adresowany do Jennifer Lopez dostał się w ręce pewnego fotografa. W kopercie znajdowały się zarodniki wąglika. Fotograf zmarł kilka tygodni później. Platt wciąż

miał nadzieję, że teraz to nie wąglik. Prawdę mówiąc, ucieszyłby się, gdyby to był głupi kawał.

W końcu on też pokazał Hernandez uniesiony kciuk. Tocząc się jak dziecko, które uczy się chodzić, z pomocą pary sierżantów wysiadł z samochodu. Po chwili złapał równowagę. Po trzech krokach znalazł się przy tylnych drzwiach domu.

ROZDZIAŁ 15

Elk Grove, Wirginia

W dzieciństwie Maggie bardzo chętnie oglądała stare czarno-białe horrory. „Potwór z czarnej laguny” był według niej najlepszy, ale lubiła także Alfreda Hitchcocka i serial „Strefa zmroku”. Gdy tylko ujrzała mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie, który wszedł przez drzwi kuchenne, wyobraziła sobie, że usłyszy głos Roda Sterlinga w roli narratora tej dziwacznej sceny.

Cunningham niechętnie wykonał telefon do wojskowego instytutu badawczego. Miał się pojawić ktoś z USAMRIID-u albo CDC, Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób. USAMRIID znajdował się godzinę drogi stąd. Cunningham przekazał dyrektorowi FBI Frankowi i dowódcy Janklowowi podstawowe informacje oraz plan okolicy. Wszyscy trzej zgodzili się, że zostaną podjęte wyjątkowe środki, w tym wszystko, co zapobiegnie panice. Potem Cunningham poprosił Maggie, by otworzyła tylne drzwi.

Spodziewali się zespołu z USAMRIID-u. W pewnym momencie Maggie zobaczyła, jak biała furgonetka wjeżdża na trawnik. Widziała ekipę, która zamknęła ulicę. Mimo to nie była pewna, czego tak naprawdę oczekiwała – być może mężczyzn i kobiet w maskach przeciwgazowych. Może ludzi ubranych w fartuchy i rękawiczki, jakie noszą chirurdzy

podczas operacji. Ale z pewnością nie kosmicznych kombinezonów.

To tylko środki ostrożności, mówiła sobie. Oczywiście, muszą przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Ale równocześnie czuła rosnący niepokój, aż zrobiło jej się niedobrze.

Mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie nie od razu ją zauważył. Nie mógł odwrócić głowy, musiał odwracać się całym ciałem. I raczej jej nie słyszał. W jego kombinezonie coś syczało, powietrze pod ciśnieniem było w ciągłym ruchu. Maggie sądziła, że w środku jest jeszcze głośniej.

Poruszał się powoli. Wszedł do salonu takim krokiem, jakby spacerował po Księżycu. Jego buty wyglądały na ciężkie. Nie mógł opuścić rąk wzdłuż napompowanego kombinezonu. Stał niecałe dwa metry od niej, kiedy się odwrócił. Nie widziała jego twarzy przez zamgloną część plastikowego hełmu. Dłonią w rękawicy przycisnął plastik do twarzy i rozmazał zebraną wewnątrz parę.

Spotkali się wzrokiem. Jego brązowe oczy patrzyły z napięciem. Ściągnął brwi, jakby nie mógł się zdecydować, co powiedzieć. Plastik znowu zaczęła pokrywać para. Tym razem nacisnął go mocniej, aż silnik dostał czkawki, zawahał się przez moment, a potem znowu zaczął ssać powietrze. Kiedy mężczyzna spojrzał na Maggie po raz drugi, próbował wzruszyć ramionami, jakby chciał oznajmić, że nie ma pojęcia, co się stało. A później zrobił coś, czego Maggie zupełnie nie oczekiwała: uśmiechnął się do niej. To wystarczyło, by osłabić napięcie.

Maggie także się zaśmiała.

Wtedy Cunningham wszedł do pokoju z Mary Louise, która trzymała się blisko niego. Dziewczynka tylko zerknęła na kosmonautę i uderzyła w ryk.

ROZDZIAŁ 16

Elk Grove, Wirginia

Tully po raz kolejny wystukiwał numer. Dla bezpieczeństwa nigdy nie zapisywał numerów w pamięci telefonu. To znaczy nie robiłby tego, nawet gdyby potrafił.

Nadal nikt nie odpowiadał.

Po dwóch dzwonkach włączyła się sekretarka. Tully rozłączył się. Cunningham i Maggie wyłączyli telefony. Wolał myśleć, że tak właśnie zrobili, a nie że armia amerykańska zabroniła im kontaktów ze światem.

Nie chodzi o to, że Tully nie szanował armii Stanów Zjednoczonych... No dobrze, nie szanował. Zwłaszcza takich wojskowych jak ten facet, którego widział wcześniej. Ten, który kierował ruchem, wydając rozkazy machnięciem ręki i skinieniem głowy. Ilu żołnierzy ten sam oficer posłał na śmierć takim samym gestem? Ilekroć Tully pracował z wojskowymi podczas różnych operacji, oficerowie przejmowali dowództwo bez słowa przeprosin, w ogóle bez słowa. Nie grali czysto i zwykle woleli robić to w tajemnicy. O ile Tully zdołał się zorientować, tak samo postępowali teraz tutaj.

Przejechał na drugą stronę ulicy i zaparkował przy krawężniku pod takim kątem, by coś widzieć pomiędzy furgonetką i tyłem budynku. Była to bardzo wąska

przestrzeń, ale zdołał dojrzeć człowieka w pomarańczowym kombinezonie, który wszedł do domu. Teraz tą samą drogą przemknął drugi pomarańczowy kombinezon.

Obejrzał się. Ganza sadził długimi krokami przez ulicę, wracając od ekipy remontowej. Był od Tully'ego wyższy zaledwie o parę centymetrów, ale sprawiał wrażenie, jakby ten wzrost ciążył jego kośćcowi. Długie patykowate nogi z guzowatymi kolanami wyłaziły spod szerokich brązowych spodni. Chudy kark i przygarbione ramiona przypominały Tully'emu żyrafę. Nawet biały fartuch Ganzy wyglądał jak skóra żyrafy. Miał szare i brązowe zacieki w miejscach, gdzie Ganza próbował bez skutku pozbyć się zabrudzeń.

Po rozwodzie Tully bawił się w zgadywanie, który ze spotykanych mężczyzn jest żonaty. Caroline nigdy nie wypuściłaby go z domu z plamą na krawacie. Plamy stanowiłyby nieodłączny element jego garderoby, gdyby nie kobiety – Maggie, Gwen, Emma – które bez ustanku spierały je z mankietów, kołnierzyka, klap. Tully dość szybko domyślił się, że Ganza nigdy nie był żonaty. Co więcej, najwyraźniej nie spędzał wiele czasu z kobietami.

Ganza otworzył drzwi od strony pasażera i wśliznął się do środka, trzaskając drzwiami mocniej niż to konieczne. Tully nie przypominał sobie, by Ganza kiedykolwiek wcześniej okazywał emocje.

– Sukinsyny nie pozwolą nam zebrać dowodów – oznajmił Ganza wzburzonym tonem. – Muszą izolować i zabezpieczać.

Tully mógł mu to powiedzieć, zanim Ganza pofatygował się, by błysnąć swoją plakietkę identyfikacyjną przed nosem żołnierzy przebranych za ekipę remontową.

– Mają rację. – Nie obejrzał się, więc nie widział, jak Ganza się krzywi, lecz to wyczuł. – Nie mogą ryzykować, że więcej osób będzie miało z tym kontakt. Jeśli coś jest w tym domu.

– Wiem. Ale zniszczą dowody. Nie wiedzą, czego szukać. – Ganza chwycił połowę kanapki. Leżała na desce rozdzielczej na słońcu, odkąd wyszedł. Ugryzł kęs, potem drugi, i powiedział: – Proponowałem, że się przebiorę, jak trzeba, i zbiorę dowody.

– Włożyłbyś ten ich kosmiczny kombinezon?

– Jasne, czemu nie?

– Miałeś go kiedyś na sobie? – zapytał Tully.

– Na pewno nie jest dużo gorzej niż w masce przeciwgazowej. – Ganza spojrzał na kolegę z ukosa. – A co? Może ty go przymierzałeś?

– Raz, dawno temu – odparł Tully i na tym skończył.

Nie przyjaźnił się z Ganzą, a nie był typem, który dzieli się z innymi czymś więcej niż to konieczne. Gwen Patterson stale przypominała mu, że ta cecha jest, mówiąc jej słowami, „wkurzająca”. Oczywiście, że jej się to nie podobało. Była psychologiem i wyciągała z ludzi najgłębsze tajemnice. Jeżeli Tully pragnął, by stała się częścią jego życia, powinien nauczyć się dzielić się z nią tymi głęboko ukrytymi, sekretnymi sprawami.

Ale Ganza… Ganzie nic nie jest winien. Poza tym nie lubił sobie przypominać tego czterogodzinnego epizodu z początków szkolenia w FBI. Wówczas należało to do podstaw szkolenia – w końcu w 1982 roku zimna wojna jeszcze się nie zakończyła. Wszyscy musieli spędzić kilka godzin w kosmicznym kombinezonie, chociaż chodziło raczej o próbę złamania agenta niż o ochronę przed skażeniami.

Tully dojrzał jakiś ruch w szczelinie między furgonetką i tyłem budynku. Przesunął się, a w zasadzie prawie położył na kierownicy, by lepiej widzieć. Miał nadzieję, że się myli. Bo jeśli nie, to z tego domu wynieśli kogoś w plastikowym worku i wpakowali do furgonetki.

ROZDZIAŁ 17

USAMRIID
Fort Detrick, Maryland

Nazywali to „celą”. Maggie wiedziała o tym tylko z pogłosek. I wolałaby, żeby tak zostało.

Cela to w istocie oddział chorób zakaźnych czwartego stopnia zagrożenia na terenie USAMRIID-u w Fort Detrick. Wojsko przeznaczyło go dla pacjentów podejrzanych o choroby zakaźne oraz tych, którzy mieli ewentualny kontakt z jakimś groźnym czynnikiem biologicznym. Zakładano też, że pacjenci na tym oddziale cierpią na choroby bardzo zaraźliwe, dopóki się nie okaże, że jest inaczej.

Maggie sądziła, że w celi izolowani są głównie pracownicy naukowi USAMRIID-u, którzy przypadkiem zarazili się czymś w laboratorium. W Instytucie przechowywano zamrożone próbki wszelkiego rodzaju groźnych organizmów, wirusów i chorób. Niegdyś, w okresie zimnej wojny, głównym zadaniem USAMRIID-u było gromadzenie i wymyślanie nowej broni biologicznej. Obecnie, o ile Maggie się orientowała, działania Instytutu skupiały się na tworzeniu szczepionek oraz kontrolowaniu, a raczej zapobieganiu zakażeniom wywoływanym przez broń biologiczną. A także leczeniu osób, które się z nią zetknęły.

Po 11 września i późniejszej historii z wąglikiem USAMRIID zajmował się również zagrożeniami terrorystycznymi, związanymi ze skażeniem czy śmiertelnymi patogenami.

Jeżeli jeden z ich patologów, weterynarzy czy mikrobiologów ukłuł się niechcący skażoną igłą albo zranił stłuczoną probówką, czy też został ugryziony przez doświadczalną małpę, musieli być gotowi, by go leczyć. Nie mogli przewieźć takiego człowieka do miejskiego szpitala i ryzykować, że nastąpią dalsze zakażenia. Trzymali go zatem na miejscu, we własnym szpitalu, zwanym pieszczotliwie pudłem, ponieważ przypominał on miejsce odosobnienia. Były tam pojedyncze cele biologicznego odkażania. Maggie uświadomiła sobie, że Cunningham, zgadzając się, by wojsko przejęło sprawę, nie miał pojęcia, że on i Maggie trafią właśnie tutaj.

Na pierwszy rzut oka pokoje przypominały zwyczajne szpitalne sale, gdyby nie to, że jedna ze ścian była cała oszklona, a podwójne stalowe hermetyczne drzwi zamykały się od zewnątrz. Maggie podejrzewała, że ona i Cunningham dostaną oddzielne izolatki. Mary Louise i jej matkę także tutaj przewieziono. Maggie miała nadzieję, że są razem.

Kobieta w niebieskim kosmicznym kombinezonie zaprowadziła Maggie do jej pokoju przez kilka pomieszczeń. Każde z nich miało grube ciężkie drzwi. Wszystkie zamykały się za nimi z trzaskiem, ale Maggie poczuła panikę dopiero, gdy ostatnie drzwi zamknęły się za nimi z jakimś sykiem, jak śluza powietrzna. Panika

narastała powoli, po cichu, gdzieś w tyle głowy, tykając zgodnie z rytmem serca. Tyle że nie jej serca. Powietrze w tym pokoju także było jakieś inne. Inne niż w holu. Inne niż w pozostałych pomieszczeniach, przez które przechodziły.

Maggie wmawiała sobie, że to tylko lekka klaustrofobia. Nic jej nie będzie. Może gdyby im powiedziała, że w zeszłym roku pewien szaleniec zamknął ją w zamrażarce, ze współczucia pozwoliliby jej odejść?

Bardzo wątpliwe.

Mówiąc szczerze, panika ogarnęła ją już w domu Mary Louise, gdy obserwowała, jak dwóch żołnierzy w pomarańczowych kombinezonach wynosi matkę dziewczynki przez tylne drzwi jej domu, zapakowaną w coś, co przypominało plastikowy worek na ciała ofiar, a było jakimiś szczelnie zamkniętymi noszami z folii z bąbelkami.

Wtedy poczuła ciarki na skórze, strużka potu pociekła jej po plecach. Bała się, że wszystkich ich wyniosą w takich plastikowych opakowaniach, a podejrzewała, że nie wytrzymałaby w tym ani minuty. Nieważne, że to ustrojstwo ma własny dopływ tlenu. Wpadłaby w panikę. Kopałaby i drapała, by wydostać się na zewnątrz. Serce zaczęło jej walić, z trudem łapała oddech. Tak, to wtedy zaczęła się panika.

Kosmonauta, którym był pułkownik Platt, jak się później dowiedziała, musiał dostrzec w jej oczach przerażenie. Z trudem uporał się z rozwrzeszczanym dzieckiem i chorą, krwawiącą kobietą. Czyżby obawiał się, że kolejna osoba

dostanie ataku histerii, próbując ze wszystkich sił wydobyć się z kosztownego opakowania?

Później Maggie dowiedziała się, że po prostu nie mieli wystarczającej liczby tych dziwacznych noszy. Cunningham i Maggie ostatecznie trafili pod prysznic odkażający w kuchni. Spryskano ich ubranie, odkrytą skórę twarzy i rąk, włosy, ale płyn nie przeniknął przez materiał żakietu. Jej foliowej torebki tkwiącej za paskiem spodni, pod bluzką i żakietem, nikt nie zauważył. Wilgotna przykleiła się do jej spoconych pleców. Maggie wciąż czuła zapach środka dezynfekującego, jakby wniknął do jej płuc. Przy każdej próbie nabrania powietrza czuła jakieś nieprzyjemne szczypanie.

– Na jedną noc! – zawołała kobieta w niebieskim kombinezonie, przekrzykując syk elektrycznej dmuchawy. Podała Maggie szpitalną koszulę, która leżała złożona na krześle. – Musimy panią zatrzymać na jedną noc.

Potem poprosiła gestem, by Maggie usiadła na łóżku, a ona wyjęła plastikową szpatułkę i bawełniany wacik. Odłożyła na bok zamkniętą szczelnie strzykawkę.

– Muszę pobrać od pani wymaz z gardła, a potem krew – wołała kobieta, przesadnie układając wargi na wypadek, gdyby Maggie jej nie słyszała. Potem, pokazując mały pojemnik, dodała: – I proszę to napełnić.

Za szklaną ścianą Maggie widziała ludzi, którzy ją obserwowali. Kobieta w niebieskim kombinezonie zrozumiała jej obawy, bo wskazała na róg, gdzie Maggie zobaczyła, że ma przynajmniej zamykaną łazienkę.

Zastanawiała się, czy to normalne, że tak głośno słyszy bicie swojego serca. Jak długo już tak wali? Nie, to nie jej serce. Nie miała co do tego wątpliwości. Starała się go nie słuchać. Odchyliła głowę i otworzyła usta, usiłowała nie skupiać się na tym, że nie może przełknąć ani oddychać. Trwało to tylko kilka sekund. Kobieta jest szybka. Dzięki Bogu.

Kobieta schowała wacik i wyjęła strzykawkę. Maggie odwróciła wzrok, gdy poczuła ukłucie. Widziała probówki i rozmaity sprzęt wzdłuż ścian, kamerę w rogu przy suficie, monitory mrugające i wydające rozmaite dźwięki, chociaż jeszcze jej do nich nie podłączono.

Kiedy ostatnio przebywała w szpitalu, tuż po incydencie z zamrażarką, obudziła się i z przerażeniem ujrzała rurki i kable połączone z jej ciałem, pojemniki z płynem zawieszone nad jej głową, monitory pokazujące pracę serca. Wyjaśniono jej, że jeszcze minuta czy dwie, a zamrażarka stałaby się jej trumną.

Wypompowali z niej całą krew, by ją ogrzać, a potem wpompować z powrotem. Nie rozumiała, jak to w ogóle jest możliwe. Nie miała ochoty o tym myśleć, mimo że skończyła szkołę medyczną. Przez wiele tygodni później męczyły ją koszmary, w których to wszystko powracało. Niewiele pamiętała poza zimnem, paniką, klaustrofobią. I kompletnym wyczerpaniem.

Kobieta w niebieskim kombinezonie zamknęła jedną probówkę z krwią i zaczęła napełniać drugą. Maggie wlepiła wzrok w szybę. Przynajmniej można patrzeć przez

nią z obu stron. Widziała zatem twarze po drugiej stronie. Były tam cztery osoby, a może pięć. Stukali w klawiatury, wpatrzeni w monitory. Wszyscy poza jednym mężczyzną byli zajęci. Musiał do nich dołączyć w międzyczasie, ponieważ wcześniej go nie zauważyła.

Stał blisko szyby i patrzył na nią. Widok znajomej twarzy działał kojąco, nawet jeśli mężczyzna ściągnął brwi, a wzrok miał zatroskany. Westchnęła i zdała sobie sprawę, że chyba wstrzymywała oddech.

Uśmiechnęła się do R.J. Tully'ego, a on pomachał do niej ręką. Miał twarz ściągniętą zatroskaniem. Przypomniała sobie o kopercie schowanej w dwóch torebkach, ukrytej pod żakietem. Musi znaleźć jakiś sposób, by mu ją przekazać. Póki co, powiedziała bezgłośnie, bo przez grubą szklaną ścianę i tak by jej nie usłyszał:

– Harvey. Proszę, zajrzyj do Harveya.

Tully skinął głową.

ROZDZIAŁ 18

Reston, Wirginia

Emma Tully wyjęła list z pożółkłej koperty. Z początku plik kopert związanych pomarańczową gumką recepturką przyciągnął jej uwagę, ponieważ ta na samej górze miała znaczek za dwadzieścia centów z podobizną Ethel Barrymore. Nigdy nie słyszała o Ethel Barrymore. Może to babka Drew? Nieważne. Emma zainteresowała się tą kopertą przede wszystkim dlatego, że nie mogła uwierzyć, iż kiedyś znaczek kosztował dwadzieścia centów.

Zastanawiała się, czy te listy długo leżały w zapomnieniu. Znalazła je podczas ostatniego pobytu w domu matki w Cleveland. Ktoś wepchnął je do szuflady biurka w pokoju gościnnym. I zapomniał o nich, choć były dość ważne, żeby je zachować. Jej mama zdecydowanie nie miała zwyczaju niczego chomikować, a listy były ułożone w porządku chronologicznym. Tego na pewno jej mama by nie zrobiła, chyba że te listy były wyjątkowo dla niej ważne.

Emma nie znała nikogo, kto jeszcze pisuje listy. Trafiła na prawdziwy skarb. Zwłaszcza jeśli jej podejrzenia są słuszne. Czy to stare listy miłosne, które ojciec pisał do mamy, zanim się pobrali? Superromantyczna sprawa. Jakby zajrzała przez dziurkę od klucza do swojej własnej historii.

Oparła się wygodnie o poduszki.

26 sierpnia 1982

Droga Liney!

Wczoraj wieczorem dotarłem na miejsce około ósmej, cały i zdrowy. Nie martw się. Chociaż teraz muszę przyznać, że trochę się denerwowałem. Wiem, powiedziałem Ci, że się nie boję. I mam rację co do tych dwóch poważnych katastrof lotniczych, które dzieliły zaledwie dwa miesiące. Coś takiego już się nie powtórzy. Ale przez kilka minut, kiedy siedziałem w samolocie, a jeszcze nie opuściliśmy pasa startowego, wyobraziłem sobie płonące części ciała rozrzucone po okolicy Nowego Orleanu. Obiecałem sobie, że zbadam tę sprawę i dowiem się, co się stało.

Powinnaś zobaczyć to miejsce. Quantico przypomina małe miasteczko ukryte w sosnowym lesie. Chyba spodziewałem się czegoś w rodzaju wojskowych koszar.

W każdym pokoju w akademiku mieszka trzech mężczyzn, a nie są to duże pokoje. Ale nic nie szkodzi. Moi współlokatorzy nie są tacy źli. W końcu wszyscy chcemy zostać agentami, to nas łączy.

Zabawne, ale niemal natychmiast każdy z nas dostał jakieś przezwisko. Nie, Razzy miał już ksywkę, i stwierdził, że każdy musi ją mieć, więc Reggie został J.B., bo je tylko żelki w kształcie fasolek, jakby jego życie od tego zależało. Poważnie, przywiózł ze sobą wielką paczkę. Mówi, że prezydent Reagan też je lubi. Nie wiem, czy to prawda. Kupiłem najnowszy „Time” na lotnisku, bo jest tu wywiad z Reaganem. Nie wspominają ani słowem o żelkach, tylko

o recesji i jak jeździł konno z Królową. Ale jeśli jada żelki, to w porządku.

A jeśli chodzi o moją ksywkę – nigdy byś nie zgadła. Indy. Może być, w końcu jestem z Indiany. Ci kolesie nie mają pojęcia, gdzie leży Indiana, nie wspominając o Terre Haute.

Mówiłem ci kiedyś, że nie lubię przezwisk. Pamiętasz, prawda? Przede wszystkim dlatego, że w dzieciństwie tata przezywał mnie głupkiem albo ciemięgą. Takie durne przezwiska. Ale to może być. Nawet mi się podoba. Przypomina mi się „Indiana Jones". To był drugi film, jaki oglądaliśmy razem zeszłego lata, pamiętasz? Jasne, że pamiętasz. Jak mogłabyś zapomnieć?

Więc w sumie podoba mi się, że kojarzą mnie z gościem, który nosi bat i zdobywa dziewczyny bez problemu. To zdecydowanie bardziej do mnie pasuje niż ciemięga. I jest bardziej w moim stylu niż to, co wymyślał ojciec. Jeszcze dzisiaj rano zrobił mi kazanie, że opuszczam rodzinny biznes. Wiesz, że nawet trochę jestem podobny do Harrisona Forda, nie sądzisz? Poza tym Indiana Jones, Indy, bardziej pasuje do tego, co chcę robić. Tak, Quantico to dopiero początek mojej kariery. Mam wielkie plany.

Do następnego razu,
Twój Indy

Emma wyjęła drugi list, ale powstrzymały ją kroki na schodach. Ktoś szedł do jej sypialni. Co teraz? Zebrała listy i wsadziła je pod narzutę. W tej samej chwili rozległo się stukanie do drzwi.

– Cześć, Słodki Groszku! – wołał ojciec. W jego głosie nie było złości. Westchnęła z ulgą. – Muszę zrobić przysługę Maggie. Chcesz się ze mną przejechać?

Normalnie jęknęłaby i wymyśliła jakąś wymówkę, ale nie dziś. Może jest ciekawa, czy zauważy u ojca jakieś podobieństwo do Indiany Jonesa.

ROZDZIAŁ 19

U Razzy'ego
Centrum Pensacoli, Floryda

Rick Ragazzi zamknął kasę z trzaskiem, mając nadzieję, że jego partner, a równocześnie kuzyn, zrozumie, o co chodzi. Nie mógł wbić Joeyowi do głowy, że to jest biznes, a nie miejsce do zabawiania gości. Tego wieczoru Joey przygotował cr?me brulée na koszt firmy dla sześciu osób, które wpadły po wieczornym spektaklu w teatrze Saenger, mieszczącym się na końcu ulicy. Taki gest byłby do zaakceptowania, gdyby dotyczył szóstki gości, którzy zapłacili kilka setek dolarów za kolację, ale ci zamówili tylko kawę.

– Co? Żadnego deseru? – zażartował Joey, przystając obok ich stolika. Jak zwykle krążył po sali, witał nowo przybyłych, podczas gdy na zapleczu sprzątano. Poprosił Ritę, by dolała gościom kawy, a sam poszedł do kuchni. Po kilku minutach wrócił, prezentując swoje dzieło. Goście śmiali się i klaskali. Kuzyn Joey, szef kuchni, niczym aktor domagał się uwagi, a potem pławił się w chwale.

Tak bardzo się różnili, że czasami Rick zastanawiał się, jak to możliwe, że są spokrewnieni. Oczywiście, to dzięki tym różnicom są dobrymi partnerami. Rick miał głowę do interesów. Potrafił liczyć, był prawdziwym magikiem, jeśli

chodzi o prowadzenie firmy. Wyliczał pensje, koszty ogólne, potrafił zrobić plan, który zawierał przewidywalny dochód netto i marżę zysku. Ale to nie dzięki jego oszczędnościom i sprawnemu zarządzaniu osiągnęli zysk już po ośmiu miesiącach działalności. Nawet Rick wiedział, że jego plan biznesowy, choćby najbardziej inteligentny, nie miałby znaczenia, gdyby nie czarujący kuzyn, po wielokroć nagradzany szef kuchni. W wieku dwudziestu czterech lat Joey był czarodziejem kulinarnym, tak nazwał go magazyn „Gourmet”.

Ludzie zaglądali do ich restauracji najpierw z ciekawości, a potem wracali z powodu świetnego jedzenia. To była zasługa Joeya. Rick dbał o to, by personel był dobrze wyszkolony, uprzejmy i szybki. Ale nie potrafił ugotować jajka bez skorupki ani filetować ryby. Spojrzał na swoje dłonie, pełne zadrapań i zadraśnięć. Najświeższe widniało na palcu wskazującym. Pomagał kroić warzywa. Joey miał prawdziwy talent, Rick był tylko kierownikiem.

Do ich sukcesu wiosną i latem przyczynili się turyści korzystający z wiosennych ferii i wakacji. Teraz nadszedł najtrudniejszy okres. Muszą przetrwać do rozpoczęcia sezonu świątecznego. Już we wrześniu nastąpiło pewne spowolnienie. Najcięższy będzie październik. A właśnie wczoraj ich główna chłodziarka, kosztowny olbrzym, przy którym upierał się Joey, zaczęła im robić przykre niespodzianki. Oczywiście termin gwarancji upłynął w minionym miesiącu, a człowiek dokonujący napraw

stwierdził, że trzeba wymienić sprężarkę – siedemset dolarów nie ujętych w planach.

Rick obserwował Joeya i jego widownię. Trudno było długo się na niego złościć. Kiedy zaczęli rozkręcać ten biznes, Rick sugerował, by ściana między salą jadalną i kuchnią była szklana. Dzięki temu goście mogliby się przyglądać, jak Joey przygotowuje potrawy. Pomysł okazał się zbyt kosztowny, więc odłożyli go na później. W innym wypadku na pewno by nie zrezygnowali. Rick przywykł już, że Joey znajduje się w centrum uwagi. Nie przeszkadzało mu to ani trochę. Czasami się dołączał i grał postać, która była obiektem żartów kuzyna. W dzieciństwie tak właśnie zabawiali bliskich podczas rodzinnych spotkań. Rick zawsze był ofiarą, a pointa należała do Joeya. Wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne, bo Rick był kilka lat starszy, a poza tym wyższy i potężniejszy niż Joey.

Będąc nastolatkami, byli też najlepszymi przyjaciółmi. W lecie podrywali dziewczyny na plaży w Pensacoli, aż Rick wreszcie przyznał, że właściwie nie lubi dziewczyn. Joey odparł, że to nic takiego, dzięki temu będzie miał mniejszą konkurencję.

W college’u Joey studiował sztukę kulinarną, a Rick biznes i zarządzanie. Wspólne otwarcie restauracji wydawało się proste. Ale cudem będzie, jeśli zdołają ją utrzymać. Zwłaszcza że nie mieli cichego partnera, żadnego znajomego, który dostał spadek, ani chętnych do pomocy członków rodziny.

Rodzice Ricka nie wykazywali zainteresowania, a znów Joey nie chciał przyjąć pomocy od swojego ojca. Rick nie rozumiał uporu kuzyna. Wuj Vic przynajmniej wyciągnął do nich rękę. Poza tym, w przeciwieństwie do jego ojca, nigdy nie nazwał Ricka pedałem. Nie krakał też, że im się nie uda. Trudno uwierzyć, że ich ojcowie byli braćmi.

Rick uszanował życzenie kuzyna, ale Joey nie miał pojęcia, ile kosztuje prowadzenie tego rodzaju interesu. Mizerny dochód, jaki osiągnęli latem, nie pozwoli im przetrwać zimy. Jeśli będą zmuszeni zamknąć restaurację, wszystkie okoliczne knajpy zechcą to wykorzystać i złowić Joeya dla siebie. A co z Rickiem? Znajdzie pracę w jakiejś firmie rachunkowej?

Do diabła, restauracja to jego jedyna szansa. Więc kiedy tydzień temu przyszła przesyłka od wuja Vica – do Ricka, nie do Joeya – Rick postanowił nie mówić nic kuzynowi, ale też nie odesłał jej z powrotem. To ma sens. Nawet wuj Vic rozumiał, że jego syn nie przyjmie wsparcia, ale Rick…

W kopercie było tysiąc dolarów w gotówce. Rick przeliczył pieniądze, a potem schował je do szczelnie zamykanej foliowej torebki, w której do niego dotarły.

Usprawiedliwiał swoje zachowanie, mówiąc sobie, że tysiąc dolarów to i tak za mało, by mogło decydować o ich losie. To żadna suma. A jednak w tym tygodniu, gdy nawaliła chłodziarka, tysiąc dolarów może wszystko zmienić.

ROZDZIAŁ 20

Newburgh Heights, Wirginia

R.J. Tully rozgniótł gotowane marchewki w misce z nierdzewnej stali. Wiedział, co ma robić, a na wypadek, gdyby zapomniał, Maggie przyczepiła kiedyś instrukcję po wewnętrznej stronie drzwi szafki. Rzadko go o coś prosiła, a kiedy już się to zdarzało, zawsze dotyczyło Harveya.

Spojrzał przez okno na białego labradora, który zgrabnie łapał świecące w ciemności frisbee, niezależnie od tego, jak Emma je rzuciła. Tully pokręcił głową. Emma nie jest dobra w żadnym sporcie. Może to jego wina? Jedyny sport, jaki wspólnie uprawiali, to skakanie pilotem po kanałach.

Podciągnął wyżej rękawy i dodał suchy pokarm do miski. Wymieszał go z marchewką. Cieszył się, że wstąpił po drodze po córkę. Bardzo lubiła psa Maggie. A on lubił patrzeć, kiedy się bawili. To były jedne z niewielu chwil, gdy Emma nie zachowywała się z rezerwą. Biegała i wygłupiała się z Harveyem. Tully miał wrażenie, że widzi zatrzymaną na zdjęciu chwilę, nie tak dawną. Przypomniało mu się tamto uczucie – pół troska, pół trwoga na sam widok córki, gdy była niemowlakiem, a potem zaczynała chodzić.

Przyłapywał się na tym, że patrzy na nią i kręci głową z niedowierzaniem, że jest ojcem tak pięknej, mądrej i zabawnej dziewczynki.

– Może włożysz bluzę? – zawołał przez okno.

Zignorowała go, czego zresztą się spodziewał. Powspomina sobie jeszcze przez parę minut, zanim zawoła Harveya na kolację.

Napełnił drugą miskę wodą i wytarł blat. Kuchnia była ogromna. Dom, podwórze, cała ta nieruchomość była spora, zwłaszcza w porównaniu z bungalowem Tully'ego w Reston, z dwoma sypialniami. Maggie kupiła ten dom w prestiżowej okolicy za pieniądze z funduszu powierniczego, które zostawił jej ojciec. Dom był utrzymany w czystości, Tully mógłby nawet powiedzieć luksusowy, a kilka rozrzuconych tu i ówdzie bibelotów stwarzało przyjazną atmosferę. A równocześnie wydawał się pusty, pewnie też w porównaniu z jego zagraconym bungalowem.

Wiedział również, że Maggie nie nabyła tego domu ze względu na jego urodę. Jej decyzję ułatwiła obecność rzeczki, która tworzyła naturalną granicę za domem, otaczające dom ogrodzenie oraz wysokiej klasy system alarmowy.

Tully rozejrzał się po świetnie wyposażonej kuchni, ciekawy, czy Maggie w ogóle z niej korzysta. Jej najlepsza przyjaciółka, Gwen Patterson, znakomicie gotowała. To był jeden z jej licznych talentów, które Tully tak cenił. Można powiedzieć, że od kilku miesięcy spotykali się już oficjalnie, chociaż nie był przekonany, czy Gwen zgodziłaby się z tym określeniem. Nie padły żadne deklaracje, nie miał pojęcia, jakie kryteria musiałyby zostać spełnione, żeby nazwać ten związek oficjalnym. Może tylko on tak o tym myślał. Od

rozwodu z Caroline nie spotykał się z żadną inną kobietą. Gwen uważała, że Tully wyświadcza jej przysługę, niczego nie przyspieszając. Tully pozwolił jej wierzyć, że przysługa jest jednostronna. Dżentelmen nie mógłby postąpić inaczej. A prawda była taka, że myśl o poważniejszym związku śmiertelnie go przerażała.

– On jest głodny. – Emma wbiegła do kuchni, a za nią radośnie merdający ogonem Harvey. Wzięła miskę z blatu i pokazała ją psu, a potem przywołała go do jego kącika jadalnego, kazała mu usiąść i postawiła przed nim jedzenie.

Tak, przypominała Tully'emu tamtą małą dziewczynkę z błyszczącym wzrokiem i krzywym uśmiechem, kiedy siedziała na podłodze obok psa z podciągniętymi pod brodę kolanami. Przez przetarty dżins widać było różową bliznę. Wyglądała na szczęśliwą. Zadziwiające, że pies potrafi zrobić coś, czego nie jest w stanie dokonać ojciec.

– Czy Maggie jest chora? – odezwała się Emma.

Pytanie to go zdziwiło. Po pierwsze było poważne, a on właśnie wspominał swoją małą córeczkę. Poza tym Emma rzadko martwiła się o kogokolwiek, chyba że miało to jakiś związek z jej osobą. Nie znaczy to, że była źle wychowana, po prostu była nastolatką. W tym wieku świat albo nie istnieje, albo istnieje tylko po to, by się kręcić wokół ciebie.

– Wyzdrowieje – odparł.

Był o tym przekonany, niezależnie od paniki Maggie. Zresztą świetnie ją ukrywała. Pewnie nikt poza nim jej nie zauważył. Właściwie żałował, że ją dostrzegł. Widok bezbronnej Maggie był czymś nienaturalnym.

– A co zrobimy z tą specjalną przesyłką?

Emma wskazała na bukiet kwiatów owinięty w bibułkę, który znaleźli przed frontowymi drzwiami. Tully stwierdził, że miejscowa kwiaciarnia doskonale wie, gdzie najlepiej zostawić kwiaty, by ich nie zwiało albo żeby nie ukradł ich jakiś przechodzień. Pewnie robią to nie po raz pierwszy. Ktoś wysyłał też Maggie kwiaty do Quantico. Nigdy tego nie wyjaśniła ani nie komentowała. Zgadywał, że nie była tym zachwycona, a równocześnie chyba nie stanowiło to dla niej wielkiego problemu.

Kobiety! Czasami Tully myślał, że nigdy ich nie zrozumie.

– Tajemniczy wielbiciel – rzekł do Emmy.

– Och, to ona nie jest ciężko chora ani umierająca?

– Nie, Boże drogi, nie – zaprzeczył, potem jednak się uśmiechnął, by Emma nie domyśliła się, że ma rację. Miał nadzieję, że Maggie nie jest poważnie chora.

– I nie będzie jej do jutra? – spytała Emma.

– Tak, jutro wróci. – Na to liczył.

– Ale chyba nie zostawimy Harveya samego na noc?

– Nic mu się nie stanie. Już nieraz zostawał sam.

Emma nie wyglądała na przekonaną. Głaskała psa, który wylizywał miskę. Do czarnego nosa przylepiły się kawałki marchewki.

– Jak go weźmiemy, nie będziemy musieli jechać tutaj rano, żeby go nakarmić.

Posłała mu to swoje spojrzenie, które mówiło „bardzo proszę”.

– Poza tym jest sobota – dodała. – Będę w domu, mogę się nim zająć.

– A jak zadzwonią koleżanki? – Wiedział, że o tym nie pomyślała. Emma miałaby spędzić całą sobotę w domu? Tully założyłby się, że nawet uwielbiany pies to za mało, by ją powstrzymać przed włóczęgą po centrum handlowym czy wypadem do kina.

– Powiem, że jestem zajęta, że robimy przysługę przyjaciółce. Na pewno zrozumieją. W końcu po to się ma przyjaciół, prawda? – Objęła gruby kark Harveya, a pies zamerdał ogonem. – Jesteśmy kumplami, prawda, Harvey? Poza tym w poniedziałek też nie mam lekcji. Zaczynają się ferie.

Tully cieszył się, że Emma zostanie w domu, chociaż musiałby ją widzieć w domu trzy dni z rzędu, by uwierzyć w jej zapewnienia. W następny weekend ma się odbyć ślub Caroline. Emma będzie przejęta, a potem wyjedzie. Zresztą musiał przyznać jej rację. Podróż od nich do Maggie trwa czterdzieści minut. Podejrzewał, że jednak nie wypuszczą Maggie nazajutrz, a może nawet przez cały weekend. Miał tylko nadzieję, że ona nie jest tego świadoma.

– Super – rzekła Emma, a Tully nie miał pojęcia, o czym córka mówi, dopóki znowu nie pokazała na bukiet. – To słodkie dostawać od kogoś kwiaty. – Potem zaskoczyła go kolejnym pytaniem: – Wysłałeś kiedyś kwiaty mamie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon komórkowy. Został uratowany.

Wzruszył przepraszająco ramionami i zerknął na numer na wyświetlaczu. Nie znał go.

– Agent Tully.

– I co masz dla mnie? – huknął męski głos.

– Słucham?

Przez kilka sekund panowała martwa cisza, a potem głos znów się odezwał.

– Mówi Sloane, na Boga. Dzwoniłeś do mnie, nie?

Wczesnym przedpołudniem Tully zostawił wiadomość na sekretarce George'a Sloane'a. Od jakiegoś czasu z nim nie pracował i już prawie zapomniał, że Sloane jest arogantem. Odzywał się takim tonem, jakby mówił: Czego mi znów zawracasz głowę?

– Dziękuję, że tak szybko oddzwaniasz – rzekł Tully, robiąc przytyk pod adresem Sloane'a, ze świadomością, że do Sloane'a to nie dotrze. Albo nie przyzna, że dotarło. Swoją drogą, była to złośliwość niegodna Tully'ego, ale Sloane miał w sobie coś takiego, co zawsze wyzwalało w nim najgorsze instynkty. – Dyrektor Cunningham chciałby znać twoją opinię na temat specjalnej przesyłki, którą otrzymaliśmy dzisiaj rano.

– Więc dlaczego sam nie zadzwonił?

Tully powściągnął westchnienie i pokręcił głową. Tu nie chodzi o protokół. Tu chodziło o ambicje. Gdyby przycisnąć Sloane'a, stwierdziłby, że jest dość ważny, by zwracali się do niego ludzie z najwyższego szczebla, a nie taki „trep jak Tully".

– Jest w tej chwili trochę zajęty – rzekł Tully i przypomniał sobie, że od rana nie mógł dodzwonić się do szefa. Próbował spotkać się z nim w firmie, ale mu nie pozwolili. Niechętnie zgodzili się, by zobaczył Maggie, jakby w nagrodę pocieszenia. A z Cunninghamem nie mógł się skontaktować nawet telefonicznie. – Jak szybko byłbyś w stanie rzucić na to okiem? – spytał.

– Teraz mam wolną chwilę.

– Dzisiaj wieczorem? – Tully zobaczył skrzywione wargi Emmy i zastanawiał się, ile to już razy widział u niej ten grymas, gdy ktoś zakłócał im spokój. – Gdzie jesteś?

– Na uniwersytecie.

Emma przesypywała karmę dla psa do plastikowego pojemnika. Udawała, że nie słucha ojca.

– To mu nie wystarczy, Emmo – powiedział Tully.

Kiwnęła głową i zaczęła szukać czegoś w szafce.

– O, słyszę, że masz gorącą randkę – rzekł Sloane, a Tully wyobraził sobie jego krzywy uśmiech. – Rozumiem.

– Emma to moja córka.

– Oczywiście, córka. Ile ma lat? Pewnie jest już w średniej szkole?

– Właśnie ją kończy. – Tully zobaczył, że Emma przewraca oczami. Nie znosiła, kiedy o niej mówił.

– Jutro o dziewiątej rano mam zajęcia w Quantico z ekspertyzy sądowej. Z tymi półgłówkami. Mogę zerknąć na ten materiał Cunninghama, jak ci debile będą się zbierać.

Tully dziwił się, że jakoś się dogadali, chociaż Sloane był tego dnia w kwaśnym humorze. Znali się od lat. Tully mógł policzyć na palcach jednej ręki, ile razy George Sloane go nie zawiódł. Wygląda na to, że tym razem zawdzięcza to Emmie.

– Tak będzie doskonale. Dziękuję, George.

– Do jutra.

Tully rozłączył się i odwrócił. Emma patrzyła na niego wyczekująco.

– Nigdzie się dzisiaj nie wybieram, Słodki Groszku, jadę z tobą do domu – oświadczył.

Wzniosła oczy do nieba, jakby to nie miało żadnego znaczenia, za to jej uśmiech był szczery. Ale to Harveya uściskała serdecznie.

– Pogaśmy światła.

Tully wyłączył lampę oświetlającą podwórze za domem i ruszył do holu, by uruchomić skomplikowany system alarmowy. Mijając okno, zauważył samochód zaparkowany nieco dalej na ulicy. Wyłączył najbliższą lampę i cofnął się, by zerknąć znów przez okno, tym razem nie będąc widzianym. W tej okolicy z kolistymi podjazdami i domami stojącymi z dala od ulicy nikt nie parkuje w ten sposób. Zwłaszcza o tak późnej porze.

ROZDZIAŁ 21

Artie usłyszał skrzek małp, które znowu hałasowały w głębi korytarza. Było już późno. Osoba, która miała je nakarmić, pewnie o tym zapomniała albo uznała, że w piątkowy wieczór nikt niczego nie zauważy. Co za korek! Tak, nikt by nie zauważył takiego niedopatrzenia. Nikt tutaj nie przychodził w weekendy, dlatego właśnie on się zjawił. Było pusto i nie musiał się martwić, że na kogoś wpadnie, że ktoś zacznie wypytywać, co on tutaj robi.

Postanowił, że jeśli małpy nie przestaną się wydzierać, kiedy będzie już gotowy do wyjścia, posłuży się swoją kartą magnetyczną i rzuci im kilka herbatników. Małpy to przebiegłe, podstępne dranie. Artie nie przepadał za ich towarzystwem. Przypominały mu brodatych starców z błyszczącymi oczami. Patrzyły na niego, jakby wiedziały coś, czego on nie wie. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale ciarki przechodziły mu po grzbiecie. Nie ufał im, a jednak trochę ich żałował. Nie wyobrażał sobie, jak można siedzieć w ciasnej klatce całymi dniami i być uzależnionym od innych.

Ruszył przed siebie, a małpy darły się dalej. Na drzwiach znajdowała się metalowa tabliczka z czerwonym napisem: Kwarantanna. Wyjął kartę magnetyczną, otworzył drzwi i wszedł do małego laboratorium. Wykorzystywano je teraz jako magazyn. Kiedyś trzymali tutaj zakażone małpy i robili

na nich jakieś badania. Ciekawe, czy specjalnie je zakażali. Tak właśnie zrobili z tymi, które siedzą teraz na drugim końcu korytarza. Ale te, które przebywały w tym małym pomieszczeniu, były jakieś inne. Artie nie wiedział, na czym to polega. Nie mówiło się o tym. Pewnie dlatego, że wszystkie zdechły.

Od tamtej pory nikt nie korzystał z tego laboratorium. Pod ścianą wciąż rzędem stały klatki, jakby przez to, co się tu wydarzyło, nie nadawały się już do użytku. Wszystko zostało dokładnie umyte i zdezynfekowane. W powietrzu wisiał zapach środka odkażającego, do którego Artie dołożył swoje trzy grosze. Jakie to głupie, pomyślał, że ludzie nauki, którzy powinni kierować się logiką, są tak przesądni.

Uśmiechnął się. Właściwie był zadowolony, że ludzie – nawet naukowcy – są tak przewidywalni. Prawdę mówiąc, to jest jedna z tych rzeczy, na które mógł zawsze liczyć. Niezależnie od klasy społecznej, pochodzenia i wychowania, każdy człowiek jest choć w niewielkim stopniu chciwy i podejrzliwy. Każdy jest też trochę przesądny. Jakbyśmy mieli to zapisane w DNA. Artie przyznawał, że jego także to dotyczy. Tak, był odrobinę przesądny, to w niczym nie przeszkadza. Jeśli robił coś w określony sposób i wynikało z tego coś dobrego, starał się następnym razem powtórzyć dokładnie te same kroki. Może zresztą było w tym więcej zamiłowania do rytuału niż przesądu.

Zdjął szarą bluzę z kapturem i rzucił plecak na długi wąski stół z nierdzewnej stali. Za nim znajdowały się

sięgające sufitu szafki. Wytarł spocone dłonie o przód luźnego T-shirtu, po czym otworzył szafkę zamkniętą na zamek szyfrowy.

Rozpoczął swój rytuał. Wyjął wszystko, co było mu potrzebne: słoik środka odkażającego, gumowe rękawiczki, maskę chirurgiczną, okulary ochronne, tacę z narzędziami chirurgicznymi i opakowanie szczelnie zamykanych foliowych torebek. Z plecaka wyciągnął małe pudełko i z trzaskiem je otworzył.

Nadal nie lubił tej części swojego ceremoniału. Ostrożnie wyjął pełną strzykawkę i zdjął nakrywkę. Szczepionka była niczym płynne złoto, warta małą fortunę na czarnym rynku. Tak w każdym razie twierdził jego mentor, prosząc, by Artie stosował ją oszczędnie. Zacisnął zęby, potem pięść i wbił igłę w ramię.

Następnie włożył maskę chirurgiczną i okulary, a później dwie pary gumowych rękawiczek. Trzymał się tej kolejności – można to nazwać przesądem, można rytuałem – ważne, że zawsze się sprawdzało. Sięgnął znów do plecaka i wyjął foliową torebkę z obciętym paznokciem, który podniósł z podłogi autokaru wycieczkowego. Wyjął też dwie koperty, na których były już naklejki z adresami. Drukowane litery wyglądały na napisane ręką dziecka. Być może ta osoba w szkole im. Benjamina Taskera, która dostanie jedną z przesyłek, pomyśli, że wysłał ją uczeń.

W końcu Artie podszedł do starej, pomrukującej w kącie zamrażarki. Szybko poradził sobie z zamkiem szyfrowym, otworzył zamrażarkę i spojrzał na martwą małpę

zapakowaną w przezroczystą folię. Leżała na plecach z rozłożonymi kończynami, jakby ze wszystkich sił próbowała wydostać się na zewnątrz. Artie nie patrzył jej w oczy. Nawet nieżywa wzbudzała w nim dreszcze. Wyciągnął plastikowy woreczek, zamknął drzwi zamrażarki i zamek szyfrowy.

Przerzucał z ręki do ręki woreczek, w którym była zamarznięta krew i tkanki. Potrzebował zaledwie odrobiny tej zmrożonej masy.

ROZDZIAŁ 22

Newburgh Heights, Wirginia

Tully bez trudu wspiął się na ogrodzenie w posesji Maggie. Był wysoki, miał długie nogi i wciąż utrzymywał się w formie, jeśli nie liczyć chorego kolana. Do góry pomogło mu się wspiąć pudło klimatyzatora, które wykorzystał jako stopień. Chyłkiem zeskoczył po drugiej stronie i czekał, aż jego oczy przywykną do ciemności. Obejrzał się na dom Maggie z nadzieją, że Emma go posłucha, spakuje smycz i zabawki Harveya i nie będzie podglądać, co takiego ojciec uznał za konieczne sprawdzić.

Martwiąc się o Emmę, przypomniał sobie o Caroline. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, wydawała się zachwycona wybraną przez niego drogą zawodową. Dopiero po latach, gdy Emma była już na świecie, Caroline naciskała, by więcej czasu spędzał w domu, skończył z przeskakiwaniem przez płoty i polowaniem na morderców.

– Mógłbyś przecież uczyć – powtarzała do znudzenia.

O ironio, właśnie kiedy zdobył wymarzoną nauczycielską posadę – jaką było dla niego nauczanie w Akademii FBI w Quantico – Caroline zażądała rozwodu. Na jego podróże odpowiadała swoimi podróżami. Była dyrektorem generalnym dużej agencji reklamowej. Przypuszczał, że chodziło jej o bezpieczeństwo córki, gdy prosiła, by

zrezygnował z czynnej służby i zszedł z oczu mordercom. Tymczasem była to z jej strony jakaś niepojęta egoistyczna zazdrość. Ona pragnęła przygody, a nie odpowiedzialności związanej z byciem rodzicem.

Tully zaś nieustannie martwił się, że przez jego pracę Emma znajdzie się w niebezpieczeństwie. Już raz tak się zdarzyło. Tym razem też może jej coś grozić.

Nie lubił się skradać, kiedy Emma była zaledwie kilka metrów dalej. Ale jeśli ktoś obserwuje dom Maggie, trzeba koniecznie się dowiedzieć, dlaczego to robi. Czy to możliwe, że ten sam człowiek, który wysłał Maggie i Cunninghama do domu pani Kellerman, siedzi teraz w tym samochodzie? Może Tully i Emma pokrzyżowali mu plany?

Trzymał się linii ogrodzenia, nie wychodząc z cienia. Kilka dekoracyjnych lamp ulicznych z kutego żelaza dawało słabe żółte światło. To kolejny znak szczególny prestiżowej okolicy z kosztownymi systemami alarmowymi. Wymyślił, jaką drogę wybrać, by zajść samochód od tyłu. Wzdłuż ogrodzenia, za drzewami i prosto na ulicę. Cały czas będzie ukryty w cieniu gałęzi.

Włożył rękę do kieszeni, chwytając kolbę glocka. Potem się wyprostował i szedł normalnym krokiem, mijając ostatnie krzewy. Zbliżył się do bagażnika samochodu, obszedł go szybko i wyciągnął broń. Przycisnął otwór lufy do szyby, a obok swą odznakę. Kierowca podniósł na niego wzrok.

Kiedy opuścił szybę w oknie, Tully pokręcił głową i schował broń.

– Do diabła, Morrelli, co ty tutaj robisz?

ROZDZIAŁ 23

Sobota, 29 września
Cela

Północ nadeszła i minęła, czas jakby stanął w miejscu. Maggie skakała po kanałach. Poprosiła o jakąś powieść, gazetę, aktualne czasopismo, może pióro i notes. Kobieta w niebieskim kombinezonie powiedziała, że zobaczy, co da się zrobić. Ale kiedy wróciła, miała przy sobie tylko kolejną strzykawkę do pobrania krwi.

Po drugiej stronie szyby ludzie przychodzili i wychodzili. W nocy było ich mniej. Zabrali jej telefon komórkowy, ale pozwolili korzystać z telefonu przewodowego w pokoju. Oświadczyli, bez słowa przeprosin, że wszystkie jej rozmowy będą nagrywane, a potem przypomnieli – chociaż brzmiało to bardziej jak nagana – że nie wolno jej rozmawiać o tym, co się stało, ani wspominać o miejscu jej pobytu. „Miejsce pobytu”, tak nazwała to kobieta w niebieskim kombinezonie.

Maggie wykonała dwa telefony. Najpierw zostawiła wiadomość na sekretarce, wiedząc, że nikt jej nie odpowie. Powiedziała swojej przyjaciółce, Gwen Patterson, że wszystko będzie dobrze. „Porozmawiaj z Tullym”, dodała, zła, że brzmi to tak tajemniczo, kiedy naprawdę chciała przekazać Gwen, by się nie martwiła.

Drugą rozmowę odbyła z Julią Racine. Pani detektyw odebrała po pierwszym dzwonku. Jakąś godziną temu miały wyruszyć na weekend do Connecticut.

– Mówi Maggie. Przepraszam, nie mogę jechać.

– Koszmarna sprawa – odparła Racine.

Maggie spodziewała się, że choleryczna Racine wścieknie się, a przynajmniej okaże rozczarowanie. Tymczasem to Maggie poczuła się zawiedziona jej reakcją. Trudno byłoby nazwać je przyjaciółkami. Były raczej koleżankami, które świadczyły sobie przysługi. Nic wielkiego. Okej, więc te przysługi miały poważny wpływ na ich życie. Na przykład: „ Ty uratowałaś moją matkę, to ja uratuję twojego ojca”. Może jednak nie było to bez znaczenia.

W rezultacie Maggie przywiązała się do ojca Racine, chociaż z powodu początków Alzheimera czasem jej nie poznawał. Obie kobiety przeszły wiele w krótkim czasie, połączyli je mordercy i wspólna motywacja, by wymierzyć sprawiedliwość. To, co zaczęło się przed kilku laty od wrogości i nieufności, rozwinęło się w szacunek i zrozumienie. Chociaż słysząc Racine, można by pomyśleć, że to faktycznie nic wielkiego.

– Masz coś ważnego? – spytała detektyw.

– Mniej więcej. Nie mogę ci teraz wyjaśnić.

– Jasne, rozumiem. Jill męczyła mnie, żebym spędziła z nią więcej czasu.

Maggie niewiele wiedziała o tajemniczej kochance Racine, poza tym, że Racine czasami mówiła o niej sierżant Jill, więc Maggie domyślała się, że jest w wojsku.

Z początku sądziła, że Julia ukrywa przed nią nową kochankę, ponieważ kiedyś to o jej względy zabiegała i została przez nią odtrącona. Ale to już przeszłość. Pod wieloma względami wiele z Racine ją łączyło. Ona też nie obnosiła się ze swoim życiem prywatnym.

Obiecała skontaktować się z Racine w poniedziałek. Może w następny weekend uda im się ten wypad? Ale kiedy się rozłączyła, poczuła pustkę, gdzieś na dnie żołądka. Nie miała już do kogo zadzwonić.

Liczyła na to, że podczas weekendu spotka się z antropologiem kryminalistycznym, Adamem Bonzado z Connecticut, choć tak naprawdę nie wiązała z nim poważnych planów. Na razie to była niezobowiązująca znajomość. Kontaktowali się spontanicznie. Któreś rzucało: „Zadzwoń do mnie z drogi”, albo: „Och, a przy okazji, jeśli nie masz planów na weekend...”. Teraz nie mogła nawet do niego zadzwonić, by powiedzieć, że nie wybiera się w tę spontaniczną podróż. W końcu to miał być dojrzały związek bez zobowiązań, taki nie-związek.

Potem nagle pomyślała o Nicku Morrellim. Od czasu jej lipcowej wyprawy do Nebraski Morrelli wciąż uparcie prosił ją o spotkanie. Dotarły do niej plotki, że zerwał zaręczyny. Kiedyś matka Maggie oskarżyła Nicka, że zniszczył jej małżeństwo, ale to nie było prawdą. Mimo to czuła się teraz odpowiedzialna za to, że Nick zerwał zaręczyny i znów zaczął ją ścigać.

Cztery lata temu razem pracowali. Sprawa dotyczyła zabójstwa dwóch chłopców i porwania siostrzeńca Nicka.

Wtedy do niczego między nimi nie doszło. Było tylko oczarowanie, erotyczne napięcie, emocjonalnie i fizycznie wyczerpujące. Zresztą jak można właściwie ocenić swoje uczucia przy takiej dawce codziennej adrenaliny?

Najgorsze było to, że wcale nie cieszyła się z zerwanych zaręczyn Nicka ani z tego, że nagle chce się z nią spotykać. Nie prosiła o to. I z pewnością tego nie oczekiwała.

Przez chwilę starała się odsunąć od siebie swoje prywatne problemy i skupić się na sytuacji. Pytała tę kobietę w niebieskim kombinezonie, jak się mają Mary Louise i jej matka. Jej opiekunka i kontakt ze światem oznajmiła, że nic nie wie na ten temat. Maggie spytała, czy mogłaby zobaczyć Mary Louise i usłyszała: „Nie wiem”. Kilka razy prosiła o widzenie z Cunninghamem. Za każdym razem mówiono jej, że nie będzie dostępny aż do rana. Wydało jej się to dziwne, zwłaszcza po tylu „Nie wiem”.

Przy szklanej ścianie znajdował się drugi aparat telefoniczny. Nie miał tarczy ani przycisków. Był połączony z sąsiednim pokojem, tym po drugiej stronie szklanej ściany, gdzie stały rzędem monitory, komputery i inny sprzęt. Ten telefon służył do komunikacji między pacjentem a technikami czy lekarzem. Dotąd nikt nie próbował się z nią komunikować. Szczerze mówiąc, nie zwracali na nią specjalnej uwagi, zostawiając komunikację kobiecie w niebieskim kombinezonie.

Maggie pomyślała, że może by tak podnieść tę słuchawkę i zażądać najświeższych wiadomości. Ale potem się uspokoiła. Niczego nie osiągnie, robiąc sobie wrogów ze

swoich opiekunów. Jakoś przetrwa tę noc. Nic więcej nie musi robić. Po prostu przetrwać.

W ciągu całego wieczoru kobieta w niebieskim kombinezonie przynosiła Maggie jedynie wodę. I znowu bez słowa przeprosin czy nawet wyjaśnienia. Całą noc mieli jej pobierać i badać krew i mocz, więc nie mogli pozwolić jej jeść. Maggie spytała, czego szukają. Kobieta zawahała się, po czym odparła, że nie wie. Maggie chciała usłyszeć, czy przynajmniej zawęzili do czegoś pole poszukiwać.

Po chwili milczenia kobieta wzruszyła ramionami. Potem, jakby się namyśliła, odparła głośno:

– Te pytania musi pani zadać pułkownikowi Plattowi.

Ale kiedy Maggie dociekała, czy pułkownik wpadnie niedługo się z nią zobaczyć, kobieta nie wiedziała.

– Może mu pani przekazać, że chcę porozmawiać?

– Oczywiście – odparła kobieta tak szybko, że Maggie zastanowiła się, czy Platt już dawno nie wyszedł do domu.

ROZDZIAŁ 24

Newburgh Heights, Wirginia

– Jakoś sobie nie wyobrażałem, że jesteś prześladowcą, Morrelli. – Tully wcale się nie ucieszył, widząc prokuratora z Bostonu.

– Przywiozłem kwiaty dla Maggie. Nie zastałem jej w domu. Zostawiłem je. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Spodziewała się ciebie?

– Nie. Ale to nie twój interes.

– Siedzisz w samochodzie przed jej domem, a ja sprawdzam właśnie, czy w jej domu wszystko jest w porządku. To jest mój interes.

To był długi dzień. Tully zastanawiał się, czy zareagowałby inaczej, gdyby Emma nie czekała na niego kilka metrów dalej. Konieczność sięgnięcia po broń, gdy córka była tak blisko, wytrąciła go z równowagi. Nie podobało mu się to, i nie zamierzał odpuścić Morrellemu, że postawił go w takiej sytuacji. Poza tym jeśli Morrelli byłby dość ważny dla Maggie, czy nie zadzwoniłaby do niego? Od Bostonu dzieliło ich osiem godzin jazdy samochodem, półtorej godziny lotu. To nie była taka spontaniczna wycieczka, żeby przywieźć jej kwiaty.

– Więc zostawiłeś kwiaty – rzekł Tully, pochylając się, jakby czekał na długie wyjaśnienia. – Maggie nie ma

w domu. Co tutaj jeszcze robisz?

– Zobaczyłem postać w oknie. Uznałem, że powinienem zaczekać i sprawdzić, czy wszystko gra.

Tully potrząsnął głową. Morrelli jest sprytny i przekonujący. Klasyczna uroda i niewymuszony wdzięk. Nic dziwnego, że został zastępcą prokuratora. Tully nie znał go zbyt dobrze. Kiedy spotkał go po raz pierwszy, pomyślał, że Morrelli jest trochę zbyt wygadany. Zbyt przystojny. Zbyt pewny siebie. Zbyt niekompetentny. Tully i Gwen wybrali się kiedyś do Bostonu, do sądu okręgu Suffolk. To było terytorium Morrellego. Gwen miała tylko przesłuchać smarkacza będącego pod kuratelą federalną, a tymczasem omal nie została zamordowana w pokoju przesłuchań. Morrelli był odpowiedzialny za tę sprawę. Dla Tully'ego to był wystarczający powód, by za nim nie przepadać.

– Więc uważasz, że włamywacze mają zwyczaj przyprowadzać ze sobą nieletnich?

– Nieletnich? Widziałem ładną młodą kobietę.

Uśmiechnął się do Tully'ego, najwyraźniej nieświadomy, że Emma jest jego córką. Tully zgiął palce, jakby chciał zacisnąć je w pięści. Morrelli nie powinien był tego mówić.

– Już mnie wkurzyłeś, Morrelli. Masz szczęście, że w tej chwili nie całujesz betonu.

– Czy Maggie coś się stało? – Morrelli nagle spojrzał na niego poważnie. Może wyczuł, że Tully zezłościł się nie na żarty.

– Nic jej nie jest. Wyjechała na weekend z miasta.

Morrelli spojrzał ponad ramieniem Tully’ego, a ten obejrzał się, po czym obrócił się szybko i zobaczył Emmę, która ciągnęła Harveya na smyczy.

– Wszystko w porządku, tato?

ROZDZIAŁ 25

USAMRIID

Pułkownik Benjamin Platt przetarł oczy pięściami, potem wplótł palce w swoje krótko ostrzyżone włosy, później potarł policzki. To nic nie da. Był wykończony. Przez kilka ostatnich godzin siedział przed monitorami i widział jak przez mgłę. Usiadł wygodniej na skórzanym fotelu na kółkach i okręcił się twarzą do szklanej ściany.

Na szczęście jakąś godzinę temu zasnęła. Ależ to musi być dla niej koszmar. Kosmonauta przyszedł do jej domu i wyniósł jej mamę w plastikowym opakowaniu, a potem przywiózł je tutaj. Cela wzbudzała lęk nawet w bardzo opanowanych osobach. Już sam fakt, że jest się zamkniętym, nie działa dobrze, więc co mówić o dotykaniu i nakłuwaniu przez lekarzy w kosmicznych kombinezonach. Przeprowadzono całe mnóstwo badań na temat psychologicznego efektu, jaki ma dla człowieka kontakt z drugim człowiekiem i jego dotyk, a także brak takiego kontaktu. Cela potwierdzała prawdziwość wyników tych badań.

Nie znajdowali jednak powodu, by zawieźć dziewczynkę do cywilnego szpitala, gdzie czułaby się o wiele lepiej. Nie mogli narażać personelu na kontakt z jakimś nieznanym czynnikiem. Ci ludzie nie przeszli specjalnego szkolenia

i nie wiedzą, jak sobie z tym poradzić. Nie mogą też ryzykować, że sprawą zainteresują się media. Platt wiedział, że to był częściowo powód decyzji Janklowa. Jego dyrektywy były zupełnie jasne.

Wypił resztę kawy, chociaż była gorzka i chłodna. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł. Przetarł znowu oczy. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie mógł przestać myśleć o Ali. Mary Louise poruszyła jakąś strunę, a zmęczenie nie pozwalało mu odsunąć tego w zapomnienie. Duże niebieskie ciekawskie oczy i długie potargane loki dziewczynki tak bardzo przypominały mu córkę. Co gorsza, wspomnienie sprawiło mu fizyczny ból. Wciąż za nią tęsknił, dziwił się, jak bardzo. Minęło prawie pięć lat. Od jej śmierci minęło więcej lat, niż była w jego życiu.

Przebywał w Afganistanie, kiedy to się stało. Wyjechał ledwie parę miesięcy wcześniej, zostawiając ukochaną żonę i piękną córeczkę, i rozpoczął obiecującą karierę lekarza wojskowego. Wiedział, że to niebezpieczne, ale też podniecające, ponieważ znalazł się wśród kilku wybranych, którzy mieli chronić oddziały przed bronią biologiczną. Uważano to za heroiczną misję, a po 11 września zdawało się, że warto spełnić ten obowiązek. Miał szansę zużytkować swoją podręcznikową wiedzę, podjąć w polu eksperymenty, które do tej pory zostały przeprowadzone jedynie w laboratorium. Ratować ludzkie życie.

Wtedy nie zdawał sobie sprawy, że prawdziwe zagrożenie kryje się w domu. Porzuciłby całą tę swoją cenną wiedzę,

swoją wielką szansę, by spędzić jeszcze kilka minut z ukochaną Ali. Choćby po to, by potrzymać ją za rękę, nim odeszła. Ale ktoś podjął za niego decyzję, zdecydował, co jest ważniejsze, odmówił mu spełnienia tego jednego życzenia.

Platt wzdrygnął się, słysząc stukanie do drzwi. Odwrócił się i ujrzał sierżanta Landisa.

– Sir, mam informacje, o które pan prosił.

– Znaleźliście coś. – Powiedział „coś", chociaż miał nadzieję, że Landis znalazł kogoś.

– Na świadectwie urodzenia brak nazwiska ojca.

– A dziadkowie?

– Babka. Mieszka w Richmond. Dziadek niedawno zmarł.

Podał Plattowi złożoną kartkę. Znając Landisa, Platt spodziewał się znaleźć więcej informacji niż to konieczne.

– Jest jeden kłopot, sir. – Landis stał naprzeciw niego, rozkładając drugą kartkę. – Dowódca Janklow zostawił dla pana wiadomość parę minut temu. – Landis zaczął czytać: – Przed poniedziałkiem rano pułkownikowi Plattowi nie wolno pod żadnym pozorem kontaktować się z krewnymi którejkolwiek z izolowanych osób. Najpierw musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Landis podał Plattowi tę kartkę, stojąc nadal przed nim, jakby czekał, aż zostanie odprawiony albo poinstruowany. Platt wziął kartkę i postukiwał zagiętym rogiem o biurko. Spojrzał za siebie na dziewczynkę, potem omiótł wzrokiem monitory i komputery, które wciąż mrugały, klikały i zbierały dane.

Kiedy Janklow powierzył mu to zadanie, powiedział, że wszystko w rękach Platta. Spodziewał się, że te ręce zrobią to, co należy, cokolwiek on – to znaczy Platt – uzna za stosowne. Ale potem Janklow uparł się, żeby włączyć w to McCathy'ego. A teraz...

Janklow przydzielił mu to zadanie, gdyż wiedział, że Platt jest dokładny i obowiązkowy. Mimo to mu nie ufał.

– Macie dzieci, sierżancie Landis?

– Słucham, sir?

– Dzieci. Czy pan i pańska żona macie potomstwo?

– Dwóch synów, sir. – Landis patrzył na niego bardziej zaciekawiony niż zmieszany. Platt nigdy nie zadawał osobistych pytań.

– O której kończy się wasz dyżur, sierżancie?

Landis nie musiał patrzeć na zegarek.

– Skończył się jakąś godzinę temu.

– Proszę wracać do domu, do żony i synów, sierżancie.

– Sir? – Teraz Landis miał zakłopotaną minę, prawie niepewną, czy powinien zostawić szefa, który tak dziwnie się zachowuje. – Czy ma pan jeszcze jakieś polecenia?

– Nie, dostałem wszystko, o co prosiłem. – Platt machnął kartką, którą dał mu Landis. Na myśl, że Mary Louise zostanie tutaj sama aż do poniedziałku, ścisnęło mu się serce. Ile dni jest już w zasadzie sama?

Landis wyszedł, a zaraz po nim pojawiła się doktor Sophie Drummond.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Stała w drzwiach, póki nie skinął głową. – Agentka O'Dell chciałaby z panem

pomówić.

– Już jest niespokojna i nie chce współpracować?

– Współpracuje bardzo dobrze. Może jest trochę przestraszona.

– Cela?

– Być może.

– McCathy się odzywał?

– Jeszcze nie.

Skinął znów głową, a ona oddaliła się po cichu.

Brak wiadomości od McCathy’ego denerwował Platta. Jeśli McCathy wybrał metodę pracy polegającą na stopniowej eliminacji, powinien już wyeliminować najgorsze. Platt poczuł ból żołądka. Doskonale wiedział, co czuje agentka O’Dell.

ROZDZIAŁ 26

Artie zamknął drugą foliową torebkę. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przez trzy ostatnie miesiące przestrzegał instrukcji. Nie miał nic przeciwko temu. Tak się robi, kiedy jest się uczniem, praktykantem, szeregowcem. Oczekuje się, że czarnoksiężnik, generał, nauczyciel podyktuje warunki, i jest się wdzięcznym, że można mu służyć. A równocześnie Artie wierzył, że wielki mentor zechce, by pochwalił się swoimi postępami w nauce.

Wcześnie zorientował się, o co chodzi w tej „grze", chociaż nie był wtajemniczony w „plan gry" ani w „cel gry". Widział, jak fragmenty tego puzzla powoli się układają. Pomysł był fantastyczny, naprawdę wzbudzał podziw, a on chciał być czymś więcej niż pionkiem. Musi pokazać, że potrafi dodać coś od siebie.

Odkąd skończył trzynaście lat, marzył o zbrodni doskonałej, konstruował w myśli jej scenariusze. Bardzo lubił powieści kryminalne, pochłaniał je za jednym posiedzeniem, zapisując w pamięci szczegóły, podkreślając na stronach fragmenty. Jego mama bardzo się cieszyła, że syn lubi czytać, i nie zwracała uwagi na rodzaj lektury.

Wciąż nosił ze sobą w plecaku kilka ulubionych książek, opartych na faktach. Uważał, że to prawdziwe perełki, zaś ich bohaterowie to istni mistrzowie. Byli wśród nich Unabomber, zabójca, który posłużył się wąglikiem, tak

zwani snajperzy z Beltway i morderca o pseudonimie Zodiak. Zniszczone książki w miękkich okładkach były jego przewodnikami, bezcennymi podręcznikami. Był zdania, że nauczył się z nich o wiele więcej, niż mógłby się nauczyć od jakiegokolwiek człowieka.

Położył dwie foliowe torebki obok siebie, a potem schował je do szarych kopert. Wyglądały jak wszystkie pozostałe. Różniło je jedynie to, że każda z nich zawierała pięćset zamiast tysiąca dolarów. Plik pięciuset dolarów jest tak samo gruby jak plik tysiąca. Idealny substytut. Dopiero niedawno Artie uświadomił sobie, że może pakować pięćdziesiąt dziesięciodolarówek zamiast pięćdziesięciu dwudziestodolarowych banknotów. Wzbudza to takie same emocje. Adresat nie mógłby przecież powstrzymać się przed otwarciem torebki, choćby po to, by przeliczyć pieniądze.

Dzieląc w ten sposób banknoty, Artie był w stanie wyekspediować jedną własną przesyłkę oprócz tej oficjalnej, którą wysyłał w imieniu swojego mentora. Postępował dokładnie tak samo. Miał mnóstwo tego wirusa. Maleńka, prawie niewidoczna kropelka wpuszczona między banknoty zupełnie wystarczy. Zamknięty w hermetycznej torebce wirus drzemie, czekając na kontakt z ciepłą, wilgotną ludzką skórą. Potem musi tylko znaleźć sobie jakieś wejście – rankę, oko, dziurkę w nosie, wargi, zdartą skórkę przy paznokciu. Artie nie wiedział dokładnie, jak to działa. To nie jego sprawa. Wiedział za to, że jeśli wirus

trafi do celu, jest równie skuteczny jak kula. A nawet lepszy, bo nie zostawia śladów. Broń doskonała. Niewidzialna.

Przygotowując swoją pierwszą przesyłkę, swoją pierwszą zbrodnię doskonałą, szedł śladami mentora. Wybrał jedną ze swoich ulubionych historii kryminalnych i związany z nią adres: Szkoła im. Benjamina Taskera w okręgu Prince George, w stanie Maryland. W poniedziałek 7 października snajperzy z Beltway strzelili do swojej najmłodszej ofiary, trzynastoletniego chłopca, który właśnie wchodził do szkoły. Stał na schodach od frontu. Chłopiec przeżył, w przeciwieństwie do pozostałych trzynastu ofiar. Artie uważał, że zabicie dziecka jest czynem wyjątkowo śmiałym i kompletnie nieprzewidywalnym. Pragnął wykazać się równą odwagą. Nie ma lepszej drogi rozprzestrzenienia wirusa, jak przesłanie go do jakieś szkoły.

Zadowolony z siebie i z dwóch paczuszek, zaczął sprzątać. Nie znosił zapachu środka odkażającego, ale spryskiwał nim i wycierał wszystkie powierzchnie. Zapach pozostawał na długo w jego nozdrzach. Za każdym razem sumiennie robił sobie zastrzyk, nigdy jednak nie zapominał użyć też środka odkażającego do skóry. W zestawie M291, w jaki wyposażeni byli żołnierze, znajdowało się sześć osobno zapakowanych wacików odkażających. Suchy czarny puder żywiczny wskazywał na skażone miejsca. Mówiono mu, że to najlepszy uniwersalny płyn do odkażania skóry, jaki posiada armia.

A jednak Artiemu i to nie wystarczało. Wstrząsnął butelką z jeszcze świeżym półprocentowym roztworem podchlorynu

sodu z alkalicznym ph i umył nim ręce aż do łokci. Przeczytał w jednej z książek, że od czasów drugiej wojny światowej używano tego roztworu w wojsku, zanim wprowadzono zestawy M291. Zgadywał, że było to wyjątkowo skuteczne dodatkowe zabezpieczenie. Zresztą jego mentor oczekiwałby od niego, żeby coś poczytał, poszperał i podjął własne środki ostrożności.

W małej łazience służącej jednocześnie za magazyn przebrał się w cywilne ubranie i wszystko zapakował, łącznie z papierową maską na twarz i ochraniaczami na buty. Wrzuci je do śmietnika na parkingu. Nie musi ich prać. Magazyn jest pełen ochronnych ubrań.

Wyszedł z laboratorium podniecony i... jak by to powiedzieć? Małpy wciąż się darły, ale teraz Artie je zignorował. Szedł spokojnym, niemal dostojnym krokiem. Po raz pierwszy w życiu czuł się... I wtedy przypomniał sobie to słowo. Czuł się mocarzem.

ROZDZIAŁ 27

Reston, Wirginia

Emma stwierdziła, że musi się wyspać. Kiedy wróciła z ojcem do domu, było późno. A on tak się wściekał na przyjaciela Maggie, Nicka, że Emma zauważyła nabrzmiałą żyłę na jego szyi. Myślała, że tylko ona potrafi doprowadzić go do szewskiej pasji. Dawno już nie widziała ojca w takim stanie. A ten biedny facet, ten przystojniak, tylko przywiózł Maggie kwiaty i chciał się z nią zobaczyć. Potem zauważył, że ktoś kręci się po jej domu i zamierzał sprawdzić, czy to nie włamywacz.

Emma pomyślała, że to takie romantyczne.

Sprawdziła jeszcze, czy światło w holu jest zgaszone, i zamknęła drzwi sypialni. Harvey wyciągnął się na podłodze obok łóżka. Podniósł na nią wzrok, a ona szepnęła:

– Wszystko w porządku. Nigdzie się nie wybieram.

Maggie opowiedziała jej kiedyś, jak znalazła Harveya pod łóżkiem w domu sąsiadki, zakrwawionego, gdyż dzielnie bronił swojej pierwszej pani. Niestety, przegrał tę walkę. Teraz pies był bardzo opiekuńczy w stosunku do Maggie. Kiedy Emma się nim zajmowała, ten jego instynkt przenosił się na nią, co zresztą bardzo jej się podobało.

Pogłaskała psa i znów skuliła się na łóżku. Po raz ostatni spróbowała zaprosić Harveya, by wskoczył na pościel, ale

on wolał podłogę. Emma wyciągnęła plik listów spod poduszki, obiecując sobie, że przeczyta tylko jeden.

2 września 1982

Droga Liney!

Dziękuję za Twój długi list. Razzy i J.B. szaleją z zazdrości. Mam to śmieszne zdjęcie, na którym jesteśmy razem. Pamiętasz, zrobiliśmy je w automacie w centrum handlowym. Pokazałem im je, by wiedzieli, że mają mi czego zazdrościć, i to jak.

To był ciężki tydzień. Wszystko mnie boli po torze przeszkód. Chyba naciągnąłem sobie jakiś mięsień. Nie zrozum mnie źle, jestem w świetnej formie. Pewnie powinienem podziękować za to tacie. Tyle skrzynek się nadźwigałem. Nigdy mu tego nie powiedziałem. Wygląda na to, że wciąż marudzi mamie, że powinienem siedzieć w domu. Ten drań wreszcie pojął, ile roboty odwalałem. Zaczekajmy do inwentaryzacji. Wtedy dopiero się wścieknie. Może dla odmiany zmusi do pracy moją słodką siostrzyczkę, chociaż wątpię. Nie chciałaby zrobić sobie odcisków na swoich cennych paluszkach muzyka.

Wybacz, nie chciałem znów do tego wracać, ale kiedy sobie przypomnę to piekło, łatwiej znoszę tutejsze trudy. Myślenie o Tobie także mi pomaga. Ale takie dobre myślenie, jeśli wiesz, o czym mówię. O dobrych rzeczach i dobrych chwilach. O tym, jak zabrałaś mnie to Instytutu Sztuki tego lata. Ja w galerii sztuki! A tam wystawa

z Watykanu! Któregoś dnia zostaniesz sławną artystką, Liney. Przekonasz się. Jeżeli ja tak mówię, to tak będzie.

Mamy wolny wieczór. Razzy wypożyczył odtwarzacz wideo. Wybrali z J.B. kilka filmów. Jednego nie mogę się doczekać. O takim glinie, który nazywa się Mad Max. Czuję zapach masła i popcornu. Lepiej już pójdę, bo sami wszystko zjedzą. Wkrótce napiszę więcej, obiecuję.

Twój Indy

Emma wyjęła kolejny list, bo nie mogła się powstrzymać. Był napisany zaledwie dzień później. Rozłożyła kartkę niemal z szacunkiem. Było coś romantycznego w tym, że nie mógł się doczekać, by znów do niej napisać... że musiał pisać codziennie.

23 września 1982

Droga Liney!

Mamy pierwszą sprawę. To nasze zadanie domowe, ale to prawdziwa sprawa. Bardzo ekscytująca. Nie wolno mi o tym rozmawiać z nikim poza kolegami z grupy, ale ty przecież nikomu nie powiesz, prawda? W maju jakiś facet wysłał bombę na Uniwersytet Vanderbilta. I to naszą starą dobrą pocztą. Dasz wiarę? Nie zapłacił za przesyłkę nawet tyle, ile należało, więc zastanawiali się, czy może celem nie była tak naprawdę osoba podana jako nadawca. Bardzo interesująca sprawa.

Drugiego lipca kolejna bomba pojawiła się w pokoju nauczycielskim w Berkley. Myślimy, że to ten sam facet,

chociaż tym razem paczkę tam przyniesiono, a nie przysłano. My... no zobacz, co ja piszę! Już uważam się za jednego z nich. W każdym razie bomby wyglądają na amatorską robotę. Nazywali tego człowieka terrorystą ze złomowiska. Teraz nazywają go jakoś inaczej, to jakiś akronim, ale chyba nie powinienem Ci mówić.

Na podstawie dowodów musimy przygotować portret tego terrorysty. Uważają, że ten sam człowiek może być odpowiedzialny za serię podobnych ataków od 1978 roku. Nie mieści się w głowie, co? Od 1978 roku jeszcze gościa nie złapali! Mam już niezły pomysł na ten portret. Razzy i J.B. strasznie chcą na ten temat podyskutować, ale ja nie zamierzam się dzielić swoimi pomysłami. No bo niby dlaczego, prawda? Niech sami pogłówkują.

Na pewno wszyscy sądzą, że to jakiś samotnik, który ma coś za złe Uniwersytetowi Vanderbilta albo uniwersytetom w ogóle. Że go wyrzucili, a może zwolnili, jeśli był wykładowcą. Moim zdaniem tu chodzi o coś więcej. Nie można mu zarzucić braku inteligencji, prawda? Może wykorzystuje odpady ze złomowiska dla zmylenia śledczych. No bo jak wytropisz, skąd pochodzą kawałki drewna czy skrawki obciętych paznokci? Trudno nie podziwiać kogoś, kto potrafi coś z tego poskładać i nie daje się złapać.

Jutro podam ci kolejne szczegóły. Dzisiaj jestem już wykończony.

Do jutra... A tęsknisz za mną trochę?

Indy

ROZDZIAŁ 28

Cela

Maggie nie mogła zasnąć, toteż krążyła po pokoju. Miał on jakieś szesnaście kroków szerokości i czternaście długości, poza zwężeniem w miejscu, gdzie znajdowała się ściana łazienki. Tam były tylko trzy kroki szerokości na sześć długości. Nie było okien, więc jedynie zegarek na ręce i telewizor dawały jej pojęcie o mijającym czasie. Wiedziała, że za czterdzieści minut ma znowu napełnić plastikowy pojemnik. Co gorsze, przyłapała się na tym, że czeka na wizytę kobiety w kombinezonie, chociaż wiązało się z nią pobieranie krwi, odruch wymiotny podczas pobierania wymazu z gardła i oddawanie moczu do plastikowego pojemnika. Za każdym razem Maggie prosiła też o rozmowę z pułkownikiem Plattem. I za każdym razem kobieta kiwała głową i mówiła:

Oczywiście.

Podczas ostatniej wizyty Maggie przypomniała jej, że miała tu zostać tylko na jedną noc. Pobrali jej już dość płynów, by wiedzieć, czy miała kontakt z czymś niebezpiecznym. USAMRIID posiada najnowocześniejsze laboratoria w kraju. Czy nie powinni już ustalić, z czym miała kontakt matka Mary Louise?

Maggie starała się nie zgadywać.

A żeby o tym nie myśleć, skupiła się na jedynej rzeczy, na której mogła polegać. Jedynej, która pozwalała jej zapomnieć o szpitalnej koszuli, szumie urządzeń i klaustrofobii zaciskającej jej trzewia, ilekroć słyszała dźwięk hermetycznie zamykanych drzwi. Starała się robić to, co wychodziło jej najlepiej. Rozpracowywała w myślach rozmaite przypadki, składała w całość fragmenty układanki, choć w tej sprawie było ich jeszcze tak niewiele.

Nabrała głęboko powietrza i je wypuściła. Od czego zacząć? Rano musi jakoś przekazać Tully'emu kopertę, a przynajmniej podać mu adres zwrotny. Podejrzewała, że to zawartość koperty była przyczyną choroby pani Kellerman. Ale z jej obserwacji wynika, że Mary Louise i jej matka nie wyglądały na typowe ofiary...

Pokręciła głową. Nie, to nie tak. On jeszcze nikogo nie zabił. A więc pani Kellerman nie wygląda na potencjalną ofiarę terrorysty, który podrzuca pudełko z pączkami do Quantico, z groźbą zamieszczoną w załączonym liście. Mało że do Quantico, ale do wydziału badającego zachowania przestępców!

Zastanawiała się, czy pani Kellerman jest spokrewniona czy związana w inny sposób z jakimś agentem FBI lub kimś z personelu Akademii. Ale to łatwo sprawdzić. Zbyt łatwo, zapewne. Facet nie robiłby sobie tyle kłopotu, przesyłając im prezent powitalny, gdyby wiedział, że mogą go bez trudu powiązać z ofiarami. Nie, terrorysta najprawdopodobniej nie ma nic wspólnego z Mary Louise i jej matką, co nie znaczy, że nie wybrał ich z jakiegoś konkretnego powodu.

Maggie usiłowała przypomnieć sobie treść listu. Wyglądało to na zbiór przypadkowych zdań. A może chciał osiągnąć właśnie taki efekt, że pisał pod wpływem emocji, podczas gdy tak naprawdę każde słowo było dokładnie przemyślane. W jego frazach pobrzmiewało coś znajomego. Może po prostu czytała zbyt wiele listów napisanych przez złych ludzi? Ryzyko zawodowe. Słowa zbrodniarzy zajmowały stałe miejsce w jej pamięci. Czasami te słowa nic nie znaczyły. Czasami znaczyły wszystko, były cennymi wskazówkami, tajemniczymi wiadomościami, czekającymi, aż ktoś je rozszyfruje. Słowa takie jak „atak”.

Wciąż powracał do niej obraz pani Kellerman i jej zakrwawionej pościeli. Słyszała chrapliwy oddech kobiety, bulgot wydobywający się z jej gardła, szmery w piersi. Czuła kwaśny odór wymiocin. Śmierdziało nimi w całej sypialni. Ale było coś jeszcze, podobne do smrodu ścieków, jakby szambo się zapchało, tyle że ten smród także płynął z łóżka pani Kellerman.

Medyczne określenie brzmiało: zaatakować i wykrwawić. Maggie wiedziała, że istnieją pewne toksyny, czynniki biologiczne i choroby zakaźne, które, kiedy zaatakują ludzki organizm, powodują groźne krwotoki. Rycyna i wąglik atakują komórki płuc. Zaatakowane komórki w końcu dosłownie eksplodują. System odpornościowy organizmu nie działa. Organy powoli przestają pracować. W rezultacie organizm faktycznie wykrwawia się od środka.

Maggie i Cunningham źle zinterpretowali ten list. Kiedy autor pisał, że nastąpi atak, nie myślał o środkach

wybuchowych. Myślał o organizmie pani Kellerman.

Nagle zadzwonił telefon umieszczony na ścianie, aż Maggie podskoczyła. Obejrzała się i zobaczyła mężczyznę, który stał po drugiej stronie szklanej ściany. Trzymał słuchawkę przy uchu i pokazywał jej, by podniosła swoją. Rozległy się jeszcze dwa dzwonki, zanim odebrała.

– Dzień dobry, agentko O'Dell.

Głos był zachrypnięty ze zmęczenia, niższy niż przedtem, jakby mężczyzna walczył z zapaleniem krtani. Nie wiedziała, kto to jest, dopóki nie spojrzała mu w oczy.

– Pułkowniku, myślałam, że pan o mnie zapomniał.

– Nigdy. Chociaż mógłbym pani nie poznać w tym nowym stroju.

Miała na sobie cienką, wiązaną z tyłu szpitalną koszulę. Omal nie sprawdziła, co spod niej widać. Chodziła po pokoju, nie zwracając na to uwagi. Na widok uśmiechu Platta jej policzki pociemniały. Co ją właściwie obchodzi, czy dojrzał jej nagie plecy?

– Przyniosłabym własną koszulę, gdybym wiedziała, że spędzę noc w hotelu USAMRIID.

– Przepraszam, że nie mam dla pani wygodniejszego pokoju – odrzekł. Jego uśmiech zgasł, a jowialny ton zabarwił się powagą. – Musimy jeszcze poczekać kilka godzin, a potem każę przynieść pani śniadanie.

– Ale najpierw porozmawiamy. – To nie była prośba ani pytanie.

Platt nie zrywał kontaktu wzrokowego.

Przez sekundę Maggie pomyślała, że dojrzał panikę, którą tak starała się ukryć. Wskazał na krzesło po jej stronie szklanej ściany, po czym usiadł na podobnym krześle.

– Ale najpierw porozmawiamy – zgodził się.

ROZDZIAŁ 29

Pensacola, Floryda

Rick Ragazzi nagle się obudził. Hałasy na zewnątrz jego mieszkanka i na dole były znajome, co nie znaczy, że mniej go irytowały. Zerknął na zegar z podświetlanymi cyframi. Wygląda na to, że kuzyn Joey urządził imprezkę. Słyszał chichot dwóch dziewczyn.

Pokręcił głową. Joey nigdy nie wydorośleje. Czasami Rick musiał się zgodzić z wujkiem Razzym, który twierdził, że jego syn nie nauczy się odpowiedzialności, dopóki nie „zmajstruje dziecka jakiejś panience”.

Zadziwiające było to, że „latanie za spódniczkami”, jak nazywał to wujek Razzy, nie miało żadnego wpływu na kulinarne talenty Joeya. Spał do południa, potem ćwiczył i zjawiał się w restauracji o trzeciej gotowy przyjąć kolejny tłum gości. Oczywiście podczas gdy Joey spał do południa, Rick był na nogach od świtu. Przyjmował dostawy, opłacał rachunki, układał towar, zmieniał obrusy, ustalał dyżury kelnerów, a dzisiaj czekał jeszcze na fachowca, który miał wymienić sprężarkę. W międzyczasie kroił warzywa, dzielił mięso i obierał krewetki. Jego biedne ręce przypominały dłonie niezręcznego adepta sztuki rzucania nożem.

Wyciągnął się na łóżku. Pierwszy dostawca przyjedzie za dwie godziny. Sobota to długi dzień. Musi się porządnie

wyspać, niech tylko Joey i jego harem trochę się uciszą. Rick podniósł się, by zamknąć okno. Raptem poczuł, że nie trzyma się na nogach, i uchwycił się parapetu. Zlewał się potem. Wczołgał się z powrotem do łóżka i naciągnął kołdrę po szyję.

Otarł czoło. Było rozpalone. Jego poduszka była wilgotna, podobnie pościel. Ma gorączkę. To jakieś szaleństwo. Nigdy nie chorował. Może coś mu zaszkodziło, ale przecież żołądek mu nie dokucza. Bolały go za to plecy i głowa. Właściwie to było takie pulsowanie w okolicy czoła. Może złapał jakiegoś dwudziestoczterogodzinnego wirusa?

Zamknął oczy i wyobraził sobie fale uderzające o brzeg, szmaragdową wodę i biały jak cukier piasek plaży w Pensacoli. Wyobrażał sobie, że to słońce tak go pali, a nie jakaś wewnętrzna gorączka, wylewająca się na zewnątrz przez pory jego skóry. Wyobrażał sobie chłodną bryzę i siebie samego, jak pruje przez fale na świeżo nasmarowanej desce. Już prawie tam był, zrelaksowany i radosny, gdy poczuł, że coś spływa po jego policzku i szyi.

Sięgnął do lampki nocnej i zapalił światło. To jakieś szaleństwo. Nigdy nie chorował, a teraz ma gorączkę i na dodatek leci mu krew z nosa.

ROZDZIAŁ 30

Cela

– Chcę wiedzieć, z czym miałam kontakt – powiedziała Maggie, nie tracąc czasu.

– Nie wiem – odparł Platt tak szybko jak kobieta w niebieskim kombinezonie.

Czy to obowiązująca dziś tutaj mantra? Mają najnowsze technologie do dyspozycji i nie wiedzą. No dobra.

– Do tej pory musicie coś podejrzewać.

– Nie, jeszcze nie.

Byłby przekonujący, gdyby nie fakt, że nie patrzył jej w oczy. Zerknął na bok, na ścianę z monitorami świecącymi nad jej głową, potem przeniósł wzrok na blat, jakby był bardzo czymś zaabsorbowany.

– Byłby pan kiepskim pokerzystą – zauważyła. Tym razem zatrzymał na niej wzrok. Musiała przyznać, że jego oczy były skupione i poważne, takie, które mogą zajrzeć w głąb duszy. – Chyba mimo wszystko wiedza jest lepsza od niewiedzy.

Podrapał się w brodę, nie spuszczając z niej wzroku, jakby szukał czegoś na jej twarzy, co by mu pomogło. Czy liczył, że dojrzy cień odwagi, czy czekał, aż sam się na nią zdobędzie?

– Nie miałem dotąd żadnych wiadomości z laboratorium.

– Przecież pan musi coś podejrzewać. – Usiłowała dociec, czy czegoś nie ukrywa. Szło jej trudniej, niż się spodziewała. To pewnie coś złego. Ale przecież powinni już przynajmniej wyeliminować kilka oczywistych rzeczy.

– Nie ma sensu bawić się w zgadywanki – odparł. – Po co to robić?

– Bo nie zostawił mi pan nic innego do roboty.

Skinął głową, pokazując jej, że oczywiście ją rozumie.

– Ma pani telewizję kablową.

– Podstawowe programy. Nie ma AMC ani FX. Mogłabym dostać komputer z dostępem do Internetu?

– Zobaczę, co da się zrobić. Póki co, znajdźmy pani jakieś ciekawsze zajęcie. – Pomyślała, że traktuje ją protekcjonalnie, ale minę miał poważną. – Spędziłem cztery dni kwarantanny w namiocie – oznajmił. – Tuż za Sierra Leone. Bez kablówki. Nawet podstawowych programów. Nie miałem nic do roboty prócz liczenia zabitych moskitów. Żałowałem, że nie mam wódki albo ginu, żeby jakoś przetrwać.

– Domyślam się, że powinnam poprosić o szkocką do śniadania – zażartowała, ale widziała, że on nie żartuje. – Więc co pan robił, żeby przetrwać te puste godziny w namiocie pod Sierra Leone?

– Proszę się nie śmiać. – Uniósł brwi, jakby ją testował. – Próbowałem sobie odtworzyć w pamięci „Skarb Sierra Leone”. – Urwał i przetarł oczy, jak gdyby musiał zrobić sobie przerwę przed dłuższym wyjaśnieniem.

Nie dała mu na to szansy.

– Hm… „Skarb Sierra Leone”, mocny komentarz na temat ciemnej strony ludzkiej natury. Niezły film – oświadczyła, z radością dostrzegając jego zdumienie. – Ale moim ulubieńcem jest Humphrey Bogart.

Patrzył na nią bacznie, zaskoczony.

– Niech zgadnę. Woli pani tego swojego Bogie z Bacall.

– Nie, niekoniecznie. Jeśli mnie pamięć nie myli, zdobył Oscara za „Afrykańską królową”, ale uważam, że o wiele bardziej zasłużył sobie na to „Buntem na okręcie”.

– Szalony Queeg? – Uśmiechnął się krzywo, a potem poprawił się na tanim plastikowym krześle, splótł ramiona, wyciągnął przed siebie nogi, jakby zadowolony z jej odpowiedzi szykował się zostać nieco dłużej. – Jeśli miałaby pani wybierać, wybrałaby pani Bogarta czy Cary’ego Granta?

Nie tracąc ani chwili, odparła:

– Jimmiego Stewarta.

– Żartuje pani. Wybrałaby pani ciamajdę, a nie wytwornego czarusia?

– Jimmy Stewart jest czarujący. I lubię jego poczucie humoru. – Oparła plecy o niewygodne plastikowe krzesło i skrzyżowała ręce na piersi. – A pan? Bacall czy Grace Kelly?

– Katharine Hepburn – odparł, znowu unosząc brwi, ale tym razem jakby mówił, że potrafi grać w tę grę.

Skinęła głową z aprobatą.

– Widział pan kiedyś „Strefę zmroku”?

– Tak, ale mama nie pozwalała mi tego oglądać. Twierdziła, że po tym filmie ma się koszmary.

– Mojej mamy nie obchodziło, co oglądam, bylebym nie zakłócała jej zamroczenia alkoholowego – rzekła Maggie i w tej samej chwili tego pożałowała.

Dostrzegła subtelną zmianę na twarzy Platta. Wolałaby się tak nie odkrywać. Co ona sobie myślała? Teraz milczał i patrzył na nią. Pewnie powie coś w rodzaju: „Przykro mi”, co nigdy nie miało dla niej sensu. Dlaczego ludzie mówią, że im przykro, kiedy coś ich nie dotyczy?

– Pamięta pani odcinek z tą kobietą w szpitalu, która miała całą twarz zabandażowaną?

Zaskoczył ją. Nie tego się spodziewała.

– Czekała, aż zdejmą jej bandaż – ciągnął – i martwiła się, że będzie oszpecona.

– Personel szpitala stał wokół jej łóżka – wtrąciła Maggie – ale kamera pokazywała tylko ją. Czasami najwyżej plecy jakiegoś lekarza.

– Kiedy zdjęli jej bandaże, wszyscy jęknęli i odwrócili się, rozczarowani i przerażeni.

– A ona wyglądała normalnie. Potem okazało się, że zdeformowane były twarze wszystkich innych, mieli świńskie ryje i wyłupiaste oczy.

– Czasami normalne jest to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni – stwierdził Platt, a potem zamilkł, jakby czekał, aż to do niej dotrze. W ten sposób chciał powiedzieć, że ją rozumie. Że niezależnie od tego, jak

bardzo dysfunkcyjne dzieciństwo mamy za sobą, nie jesteśmy tylko z tego powodu jakimiś dziwolągami.

Otworzyły się drzwi za plecami Platta i do pokoju weszła kobieta w fartuchu laboratoryjnym. Maggie nie słyszała jej przez słuchawkę, a szkło było dźwiękoszczelne. Platt skinął głową, a kobieta wyszła.

– Muszę iść – powiedział do Maggie i wstał.

Miała ochotę z nim pójść. Czy wreszcie coś wiedzą? Chyba dostrzegł cień paniki na jej twarzy, ponieważ się zawahał.

– Więc komandor Queeg podczas manewrów przez swoje zaniedbanie przecina linę holowniczą własnego okrętu. Niech pani zacznie od tego – rzekł z kolejnym ironicznym uśmiechem. – Powinienem być z powrotem, zanim pani dojdzie do momentu, kiedy Queeg szuka skradzionych truskawek.

Czekał na jej uśmiech, potem odwiesił słuchawkę i wyszedł. Nagle jej mała izolatka wydała jej się jeszcze bardziej cicha niż chwilę wcześniej.

ROZDZIAŁ 31

Serce Platta waliło coraz mocniej. Czuł skok adrenaliny, mieszaninę strachu i oczekiwania, dla których jedyną przeciwwagą było ogromne zmęczenie.

Korytarze były puste. Unikał wind, szedł s

chodami. Czuł potrzebę ruchu. Przyłapał się na tym, że przeskakuje po dwa stopnie naraz. Zwolnij, powiedział sobie, choć prawdę mówiąc, najchętniej by pobiegł.

Doktor Drummond oznajmiła mu:

– Doktor McCathy chce pana widzieć, jest na czwartym piętrze. Powiedział, że musi pan to sam zobaczyć.

W najlepszym wypadku McCathy dramatyzuje. W najgorszym znalazł coś, co jest warte tego melodramatycznego tonu.

Niezależnie od tego, co Platt powiedział agentce O’Dell, dotychczasowe badania i obserwacja pani Kellerman doprowadziły go do pewnych wniosków. Kellerman pluła krwią, miała problemy z oddychaniem i ostry ból brzucha. Jej oczy były czerwone. W jamie ustnej pojawiły się pęcherze, co znaczyło, że już od kilku dni musiała gorączkować.

Jej brudna pościel wskazywała na to, że wymiotowała i miała biegunkę, które w ciągu ostatniej doby osłabiły ją do tego stopnia, że o wstaniu z łóżka nie było mowy. Była w szoku, a jeśli coś mówiła, trudno było ją zrozumieć.

Badania wykazały, że jej nerki przestają pracować. Jeśli wstępna ocena jest poprawna, wkrótce także inne organy przestaną działać.

W związku z tak poważnymi objawami Platt zawęził wybór do trzech czynników, trzech rodzajów broni biologicznej, jaką mogli posłużyć się terroryści. Wywoływane przez nie choroby nie poddają się łatwo leczeniu. Zakażenie wąglikiem, zależnie od formy, da się kontrolować antybiotykami. Jeśli to wąglik, to oby udało się ograniczyć zarodniki do domu pani Kellerman i osób, które już miały z nim kontakt. Rycyna wymaga dodatkowo izolacji, ale połknięta jest śmiertelną trucizną i powoduje bolesną śmierć. O trzeciej ewentualności nie chciał nawet myśleć. Jeśli terrorysta wykorzystał jakieś bakterie, na przykład wywołujące tyfus, albo też wirus marburg czy – nie daj Boże – ebolę, wtedy leczenie może okazać się niemożliwe. Dom pani Kellerman byłby strefą najwyższego zagrożenia, a każdy, kto znalazł się w jej pobliżu, mógł być nosicielem i doprowadzić do wybuchu epidemii.

Platt zwolnił, kiedy dotarł na czwarte piętro. Zgodnie z procedurą na poziomie 4, w strefie najwyższego zagrożenia, McCathy pracował w hermetycznym skafandrze. Zabezpieczone i szczelnie zamknięte próbki na szkiełkach mogli już oglądać bez ryzyka groźnego kontaktu. Platt wiedział, że zastanie teraz McCathy’ego w laboratorium na poziomie 3, gdzie znajdował się mikroskop elektronowy. Ten kosztowny sprzęt był metalową wieżą wysokości Platta. Wiązka elektronów skierowana na

mikroskopijną komórkę pozwala zobaczyć ją w ogromnym powiększeniu.

Na zewnątrz laboratorium Platt zdjął dżinsy i bluzę i włożył ubranie ochronne, lateksowe rękawiczki, okulary, maskę i ochraniacze na buty. Potem dołączył do McCathy'ego.

Mikrobiolog siedział przy blacie, pochylony nad dwuokularowym mikroskopem. Kiedy podniósł wzrok, jego oczy sprawiały wrażenie dzikich i powiększonych. Nosił okulary z grubymi szkłami. Jego twarz, a nawet papierowa maseczka, były mokre od potu. Porządnie przycięta broda sterczała spod maski, nadając mu wygląd szalonego naukowca. W innych okolicznościach Platt zlekceważyłby spojrzenie McCathy'ego. Tym razem jego serce zabiło jeszcze mocniej.

– Niedobrze – rzekł McCathy. – To absolutnie zdumiewające. Prawdę mówiąc, uznalibyśmy to za absolutnie piękne, gdyby nie było tak cholernie śmiertelne.

– Co to jest?

– Komórki pobrane od Kellerman. Pełno w nich robali.

– Robali? – Teraz Platt miał wrażenie, że bicie serca przeniosło się do jego głowy. – Niemożliwe. To musi być pomyłka.

– Proszę. – McCathy wstał gwałtownie i przesunął na bok swój stołek, by Platt mógł spojrzeć przez okular.

Platt podszedł do mikroskopu i nastawił ostrość. Starał się nie zwracać uwagi na swoje spocone dłonie w gumowych rękawiczkach. Nabrał głęboko powietrza i pochylił się,

stukając okularami w okular mikroskopu. To, co zobaczył, przypominało spaghetti albo małe węże z nitkami odchodzącymi z boków. Rozpychały ściany komórki, odrywając się od jej centrum.

Usiłować oddychać powoli. Nie ruszając się, wciąż patrząc przez mikroskop, powiedział:

– A może te komórki zostały zakażone w naszym laboratorium?

– Nie ma szans. Nasze próbki są w zamrażarkach oddzielonych od laboratorium przez trzy ściany izolacji.

– To może być jeszcze coś innego. – Ale Plattowi nic nie przychodziło na myśl. Komórka wyglądała, jakby eksplodowała, i była pełna wijących się, splątanych maleńkich węży. – Nie tworzą pętli. I są za długie. Czy nie powinny być zagięte haczykowato?

– Znam tylko jedno paskudztwo, które tak wygląda, niezależnie, czy tworzy pętle, wije się czy jest haczykowate – rzekł McCathy. – Wiele lat temu widziałem wirus marburg. Próbki zostały pobrane podczas epidemii w Kongo. Zmiótł całą wioskę w ciągu paru tygodni.

Platt też widział coś podobnego. Kwarantanna, o której wspominał agentce O’Dell, była spowodowana wybuchem gorączki lassa, kolejnego z grupy wirusów RNA. Ale lassa nie powoduje takich zmian w komórce.

– Jak możemy to potwierdzić? Nie chodzi mi tylko o obejrzenie tego pod mikroskopem elektronowym. Musimy być absolutnie pewni – oświadczył Platt.

Nie wolno im teraz tracić czasu.

– Możemy porównać komórki Kellerman z próbkami wirusa.

– Co trzeba zrobić?

– Pobrać od niej więcej surowicy krwi i wpuścić parę kropli na próbki z naszych zamrażarek, o których wiemy w stu procentach, czym są zakażone. Jeżeli któraś z nich zaświeci… – McCathy wzruszył ramionami. – Wtedy to będzie potwierdzenie, bez cienia wątpliwości.

– Co mamy w zamrażarce?

– Marburg, ebolę z Zairu, lassę i ebolę z Reston.

– Ile czasu to zajmie?

– Mogę zaraz zacząć. – McCathy zerknął na zegarek. – Jakieś trzydzieści do czterdziestu minut potrwa przygotowanie próbek z zamrażarki. Kiedy już wpuścimy komórki Kellerman na nasze próbki, to kwestia kilku minut.

– Dobrze, tak zróbmy.

– Chwileczkę. Na poziomie czwartym pracuję sam.

Platt nie zdziwił się, że McCathy zapiera się nawet w takiej chwili. Zachował spokój. W jego głosie nie było cienia złości, kiedy oświadczył:

– Nie tym razem.

ROZDZIAŁ 32

Szpital św. Franciszka
Chicago

Doktor Claire Antonelli przyszła wcześniej na poranny obchód, chociaż opuściła szpital zaledwie przed sześcioma godzinami. Zdążyła się przespać, potem się przebrała i ucałowała śpiącego nastoletniego syna. Mruknął coś niezadowolony, ale później się uśmiechnął – nie otwierając oczu – i spytał, czy coś jadła.

– Kto się tutaj kim opiekuje? – zapytała.

Znowu się uśmiechnął, nadal nie podnosząc powiek, i odwrócił się na drugi bok, mówiąc, że zostawił dla niej kawałek pizzy. Claire zjadła zimną pizzę w drodze do szpitala, popijając ją dietetyczną pepsi.

Teraz kroczyła żwawo sterylnym korytarzem. Zmęczenie po całym tygodniu całkiem jej nie opuściło, ale czuła się trochę odświeżona, jak wykręcona i wysuszona ścierka, postrzępiona na brzegach, ale gotowa znów do pracy. Cieszyła się, że zamieniła modne szpilki na wygodne buty.

Zajrzała już do swojego najnowszego pacjenta, prawie dwukilogramowego chłopca, który przebywał na oddziale intensywnej terapii dla noworodków. Występował oficjalnie jako syn państwa Haney, ale personel przezwał go Wyjcem, bo od przyjścia na świat nic innego nie robił. W końcu

jednak zasnął. Monitory rejestrowały jego życiowe funkcje. Radził sobie nieźle, jak na takiego wcześniaka.

Ale pacjenta, dla którego Claire przyszła wcześniej, nie dało się tak łatwo ustabilizować. Markus Schroder zgodził się dwa dni temu, by Claire wypisała mu skierowanie do szpitala, chociaż ta zgoda była nieco wymuszona. Szczerze mówiąc, jego żona Vera zmusiła go do tego groźbami. W ciągu niecałej doby osłabł tak bardzo, że nie był w stanie sprzeczać się z żoną ani z lekarką. Claire najbardziej niepokoiło to, że po całym mnóstwie badań wciąż nie miała pojęcia, co dolega temu czterdziestopięcioletniemu mężczyźnie, który jeszcze tydzień wcześniej był, jak to określił, „zdrowy jak młody byczek”.

Przyjeżdżając wcześniej, liczyła na to, że porozmawia z Markusem sama, nim pojawi się jego żona. Vera działała w dobrej intencji, ale miała irytujący zwyczaj udzielania odpowiedzi za męża, nawet gdy był przytomny. Claire chciała zadać mu kilka pytań i miała nadzieję, że Markus będzie w stanie zaspokoić jej ciekawość.

Zatrzymała się w pokoju pielęgniarek i wyciągnęła kartę Markusa, by sprawdzić, czy są najświeższe wyniki badań. Podeszła do niej drobna pielęgniarka w fartuchu w zielone kwiaty, Amanda Corey.

– Wysypka jest jeszcze gorsza – powiedziała.

– A co z gorączką?

– Skoczyła do czterdziestu. Daliśmy mu kroplówkę, ale wciąż wymiotuje. – Pielęgniarka wskazała na plastikowy

pojemnik z czerwoną nakrętką. – Trochę tego dla pani zebrałam.

Claire przyjrzała się zawartości pojemnika, czarno-czerwonej substancji, w której coś pływało. Wiedziała, że mężczyzna nic nie jadł. To nie wygląda dobrze. Siostra Corey słusznie zrobiła, że szczelnie zamknęła pojemnik i go opisała.

– Wczoraj wieczorem przyszło coś z laboratorium?

Amanda uniosła palec i podeszła do dalszej części blatu.

– Jasper podrzucił coś godzinę temu. – Chwyciła plik papierów z tacy. – Sprawdzę, czy jest coś dla pani pacjenta. – Wyjęła trzy kartki i podała je Claire.

Claire od razu rzuciła się w oczy cała kolumna symboli oznaczających odpowiedź przeczącą. W innym przypadku odetchnęłaby z ulgą. Żaden lekarz nie chciałby, by jego pacjent cierpiał na żółtaczkę, kamienie żółciowe, malarię czy ropień wątroby. Ale tym razem poczuła, jakby ktoś zrzucił jej na barki wielki ciężar. Przeczesała palcami krótkie ciemne włosy, nie okazując Amandzie swojego przygnębienia.

– Dzięki – powiedziała tylko, po czym odwróciła się i poszła dalej korytarzem, przeglądając wyniki i szukając czegoś, co mogło umknąć jej uwadze.

Jej pacjent ma jakąś groźną infekcję, która nie reaguje na żaden antybiotyk. Nie mogła znaleźć źródła tej infekcji. Teraz zwymiotował nabłonek żołądka, jak domyślała się, oceniając zawartość pojemnika. Brakowało jej już

pomysłów. Liczyła, że Markus pomoże jej znaleźć rozwiązanie, bo czas ucieka.

Markus leżał na plecach, z głową przechyloną na bok. Patrzył na drzwi, chociaż nikogo nie oczekiwał. Ledwie ją zauważył. Lekko mrugnął opadającymi powiekami. Oczy miał czerwone, wargi nabrzmiałe. Żółtawa skóra była niemal cała w fioletowe pasy, zaczął przybierać dla odmiany czarnosiną barwę. To właśnie czerwone oczy, potem gorączka i żółtawo zabarwiona skóra podsunęły jej myśl o malarii, choć Markus nie przebywał w żadnym miejscu, gdzie mógłby się nią zarazić. Co prawda latem w Chicago bywa upalnie jak w tropikach, ale wybuch epidemii nie przeszedłby niezauważony.

Na szczęście szpital św. Franciszka był szpitalem akademickim, więc Claire szybko otrzymywała wyniki badań. Ale nie może wciąż zgadywać. Jest lekarzem rodzinnym, jej praktyka sprowadza ją do szpitala, by odebrać poród, zszyć drobne rany i zdiagnozować wczesne symptomy pospolitych chorób. To, co dzieje się z systemem odpornościowym Markusa Schrodera, wykracza poza ramy tego, z czym miała dotąd do czynienia.

– Dzień dobry, Markus. – Położyła dłoń na jego ramieniu. Dawno temu nauczyła się, że pacjenci doceniają nawet najmniejszy gest poza poklepywaniem, które mieści się w relacji lekarz-pacjent.

Markus wyciągnął do niej pokrytą fioletowymi plamami rękę, ale zanim jej odpowiedział, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Wymiociny, które pokryły białą pościel i przód

białego fartucha Claire, były czarno-czerwone i zawierały coś, co przypominało fusy po zaparzonej kawie. Ale to ich zapach wywołał panikę Claire. Wymiociny Markusa cuchnęły jak odpady z rzeźni.

ROZDZIAŁ 33

Cela

Maggie chciała poprosić kobietę w niebieskim kombinezonie, by wreszcie zostawiła ją w spokoju. Przyszła za wcześnie, a Maggie miała już dość tego ciągłego nakłuwania. Leżała skulona na łóżku. Nawet się nie obejrzała. Czekała na powrót pułkownika Platta. Ale tym razem kobieta tylko przyniosła laptopa i w milczeniu wyszła.

Maggie uruchomiła komputer i ze zdziwieniem stwierdziła, że ma dostęp do bezprzewodowego Internetu. Natychmiast zaczęła szukać informacji na temat szarej koperty, którą zabrała z domu pani Kellerman.

Przesyłkę ofrankowaną maszynowo nadano na poczcie w Dystrykcie Kolumbii, chociaż w adresie zwrotnym podano Oklahomę. Po co udawać, że przesyłka jest z Oklahomy, skoro widać pieczątkę? Jeśli ta koperta zawierała śmiertelną mieszankę, która wywołała chorobę pani Kellerman, coś musi się kryć za tym adresem zwrotnym.

Czasami przestępcy przy pomocy adresów zwrotnych coś manifestują albo wprowadzają w błąd organy ścigania. O ile Maggie dobrze pamiętała, przynajmniej jedna z ofiar Unabombera nie była adresatem groźnej paczki, lecz jej rzekomym nadawcą. Theodore Kaczynski zadbał nawet o to,

by wysłać paczkę nieopłaconą w żądanej wysokości, co dawało mu pewność, że dotrze pod adres zwrotny. To było sprytne posunięcie, gdyż wyglądało na to, że ofiara jest przypadkowa. Kiedy organy ścigania nie znajdują powiązania między ofiarą a podejrzanym, trudno jest rozwikłać sprawę. Najtęższe zbrodnicze umysły, te najbardziej niebezpieczne, z tej wiedzy korzystają.

Maggie podejrzewała, że ten człowiek należy do tej kategorii. Chciał zwrócić na siebie uwagę, inaczej nie podrzuciłby listu prosto do rąk FBI. Chciał im zagrać na nosie, pokazać, jaki jest chytry i inteligentny. Chciał nie tylko, by agenci FBI zajęli się jego błazenadą, lecz by znaleźli się w samym centrum wydarzeń. By doświadczyli tego, podobnie jak inne wybrane przez niego ofiary. Z jakiegoś niepojętego powodu Maggie wierzyła, że specjalnie wybrał panią Kellerman i Mary Louise. Nie wątpiła, że nie były przypadkowymi ofiarami.

Maggie wpisała w Google'u adres zwrotny z przesyłki zabranej z domu Kellerman: 4205 Highway 66 West, El Reno, OK 73036. Spodziewała się, że to adres domowy Jamesa Lewisa, wymienionego jako nadawca. Ale to, co ujrzała na ekranie, kompletnie ją zaskoczyło.

Sprawdziła raz jeszcze, czy dobrze wpisała dane. Może pomyliła numery. Nie, nie popełniła żadnego błędu. Pod adresem zwrotnym znajdowało się więzienie federalne dla Regionu Południowo-Środkowego.

Okej, powiedziała sobie. Więźniowie federalni mają obecnie dostęp do wielu rzeczy, ale z pewnością nie do

śmiertelnych wirusów.

Wpisała: „James Lewis i więzienie federalne”. Na ekranie pojawiło się kilka artykułów prasowych. Wszystkie dotyczyły sprawy tylenolu w Chicago z jesieni 1982 roku. Maggie przesunęła się na skraj krzesła.

Robi się ciekawie.

Była wtedy mała. Jej ojciec jeszcze żył, mieszkali w Green Bay, dość blisko Chicago, by pamiętała niepokój rodziców. Nieważne. Znała tę sprawę tak czy owak. Każdy agent FBI ją znał. To była jedna z najsłynniejszych niewyjaśnionych zbrodni w historii.

Przejrzała jeden z artykułów, by odświeżyć sobie w pamięci szczegóły. Siedem osób zmarło na skutek połknięcia kapsułek tylenolu z cyjankiem potasu. Morderca kradł opakowania leku w okolicznych sklepach, opróżniał kapsułki i napełniał je cyjankiem. Potem pakował je z powrotem i odnosił po kryjomu do sklepów. Zdumiewające, jak łatwo było to zrobić przed wprowadzeniem zabezpieczonych opakowań.

Maggie znalazła nazwisko Jamesa Lewisa i czytała dalej. Lewis był nowojorczykiem, oskarżonym i skazanym, ale nie za morderstwo. Nie było dowodów na to, że miał dostęp do tych opakowań z lekami. Oskarżono go o próbę wymuszenia miliona dolarów od producenta tylenolu, firmy Johnson and Johnson. Odsiedział trzynaście z dwudziestu lat wyroku, w więzieniu federalnym w El Reno, w stanie Oklahoma. Został zwolniony w 1995 roku i mieszkał teraz w Cambridge w stanie Massachusetts.

Maggie usiadła prosto. Najwyraźniej to nie Lewis był nadawcą. Nie wrobiłby sam siebie. Osoba, która wysłała przesyłkę, chciała zwrócić uwagę na nierozwikłaną sprawę. A może bawiły ją po prostu jakieś jej detale.

Przejrzała drugi artykuł na temat tylenolu. Interesujący, ale czy to ma jakieś znaczenie? Od tamtej pory minęło dwadzieścia pięć lat. Zerknęła na datę i znowu przesunęła się na skraj krzesła.

To było dokładnie dwadzieścia pięć lat temu.

Pierwsza ofiara tylenolu zmarła 29 września 1982 roku. Nagle Maggie wszystko zrozumiała. Wiedziała już, że się nie myli. On nie wybiera przypadkowych ofiar. Wręcz przeciwnie.

Pierwszą ofiarą mordercy, który zabijał tylenolem, była dwunastoletnia dziewczynka z Elk Grove Village, w stanie Illinois. Nazywała się Mary Kellerman.

ROZDZIAŁ 34

USAMRIID

Platt odniósł wrażenie, że trwa to wieczność. Lubił porządek. Szanował procesy oparte na logicznym rozumowaniu. Aż tu raptem podstawowa procedura dotycząca wstępu na poziom 4, do strefy największego ryzyka, wydała mu się nieznośnie pedantyczna. Wszystko trwało tak długo, jakby poruszali się w zwolnionym tempie. Mimo to nie śmiał niczego pominąć ani przyspieszać. Wiedział, że tak ma być, wystarczyło, by przypomniał sobie komórki widziane pod mikroskopem. Tak, to mu zupełnie wystarczyło.

Serce wciąż tłukło się w jego piersi jak szalone, ale przynajmniej to walenie w uszach nieco osłabło. W podobnych sytuacjach energia go roznosiła, prowadziła do zniecierpliwienia. Lubił spalać nadmiar energii, grając w squasha albo biegając na bieżni. Lata samodyscypliny nauczyły go panować nad sobą, ale tutaj, w tych pozbawionych okien ścianach, stanowiło to wyzwanie.

Platt pomógł McCathy’emu włożyć kosmiczny kombinezon. On da sobie z tym radę sam. W warunkach polowych było to nieco bardziej skomplikowane. Tutaj to jest rutynowe działanie, Platt miał mnóstwo czasu. McCathy musi jeszcze przygotować zamrożone próbki. Platt

mu tego nie zazdrościł. Próbki, które chcieli wykorzystać do testów porównawczych, to była surowica krwi ofiar filowirusów, zamknięta w szklanych fiolkach w zamrażarce USAMRIID-u. Ich własna kolekcja najgroźniejszych czynników biologicznych. Platt starał się myśleć pozytywnie, przypomniał sobie, że nie wszystkie filowirusy są równie groźne, nie wszystkie są śmiertelne. Chociaż wszystkie są bardzo zaraźliwe.

Ebola reston pojawiła się u małp w prywatnym laboratorium w Reston w Wirginii, jakieś dwadzieścia lat temu. Mentor Platta z USAMRIID-u należał do zespołu, który wówczas zajmował się tą sprawą. Wirus rozprzestrzenił się wśród małp jak burza, ale u ludzi nie wywołał takich samych skutków. Próbka z ich zamrożonej kolekcji pochodziła od robotnika, który zachorował, lecz przeżył. Wirus ebola reston nie zabił żadnego człowieka. Pod mikroskopem przypominał węże czy robaki z tysiącami odnóg. Wyglądał równie groźnie jak ebola zair.

Ebola zair zasłużył sobie na przezwisko „wymiatacz”. Zabił dziewięćdziesiąt procent osób, które miały z nim styczność. Próbka przechowywana w Instytucie pochodziła od pielęgniarki z północnego Zairu, na południe od rzeki Ebola. We wrześniu 1976 roku opiekowała się ona katolicką zakonnicą, zarażoną tym wirusem. Z tego, co Platt wiedział o tamtej epidemii, całe wioski w rejonie Bumba w północnym Zairze zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Wirus przeskakiwał z osady do osady, dopóki rząd nie odizolował tych części kraju i nie zabronił tam wstępu pod

karą śmierci. Taki jest ebola zair. Najlepiej pozwolić umrzeć wszystkim zakażonym, a wirusowi wygasnąć.

W międzyczasie pojawiły się wirusy marburg i lassa. Marburg nie jest wiele lepszy od eboli zair. Ci, którzy przeżyli zakażenie, przypominali ofiary napromieniowania. Różnica polega na tym, że w ogóle ktoś przeżył. Próbka w Instytucie pochodziła od takiego właśnie szczęśliwca, lekarza z Nairobi.

Gorączka lassa też nie zawsze bywa śmiertelna w skutkach. Wykryta odpowiednio wcześnie da się wyleczyć lekami antywirusowymi, chociaż jedna na trzy ofiary traci słuch. Mimo wszystko to niezły kompromis. Próbka w ich zamrażarce pochodziła od mężczyzny o imieniu Masai.

Platt leczył tego starego człowieka, zanim sam musiał przejść kwarantannę.

Test, który przygotowywał McCathy, był dość prosty. Zamierzali powtórzyć go z krwią wszystkich osób, które miały kontakt z nieznanym czynnikiem: pani Kellerman, jej córki, dyrektora Cunninghama i agentki O'Dell. McCathy miał zacząć od pani Kellerman, wpuszczając tylko jedną kroplę jej surowicy krwi na każdą z próbek z zamrażarki.

Rozmrożone wirusy są tak samo groźne jak w chwili, kiedy je pobrano. Jeżeli krew pani Kellerman zareaguje na którąkolwiek z próbek, co zobaczą jako słabą poświatę, będzie to znaczyło, że miała do czynienia właśnie z tym wirusem. Że żyje on w jej krwi. Platt miał nadzieję, że wszystkie testy wyjdą negatywnie i okaże się, że to w ogóle nie jest żaden wirus.

W ubraniu ochronnym usiadł na ławce w tak zwanej szarej strefie, oparł łokcie na kolanach, a głowę na rękach. Był półżywy. Wiedział, że McCathy też jest u kresu sił. Platt trzymał się dzięki ćwiczeniom i adrenalinie. Nieraz przebywał w strefie działań wojennych. Fizycznie zmordowany, umysłowo wyczerpany, bywał zmuszany do wykonywania zabiegów chirurgicznych w tymczasowych salach operacyjnych, z mrugającymi lampami zasilanymi generatorem i ograniczoną ilością sterylnej wody. Nauczył się jakimś cudem znajdować konieczną siłę i energię, by przetrwać kolejną minutę, kolejną godzinę, kolejny dzień. Gdyby tego nie potrafił, ktoś zapłaciłby życiem. Strefa działań wojennych to coś zupełnie innego niż strefa największego zagrożenia w Instytucie.

Patrzył na ściany z nierdzewnej stali, w których znajdował się rząd otworów wylotowych z prysznicem odkażającym. Szara strefa nie była ani sterylna, ani groźna. To jest neutralne terytorium. Czy, jak powiedział poprzednik Platta, „ostatnia szansa, by zmienić zdanie, zanim wejdzie się do strefy największego zagrożenia”.

Zerknął na zegarek, potem go zdjął i zaczął wkładać kombinezon. Regulamin zabraniał posiadania na sobie czegokolwiek, co dotykałoby skóry, poza ubraniem ochronnym. Platt wiedział, że mimo to kilka osób nosiło amulety czy talizmany na szczęście. W szarej strefie na zewnątrz poziomu czwartego nierzadko widywało się rozmaite dziwne obrządki. Platt spotkał naukowców, którzy robili znak krzyża. Pamiętał pewnego weterynarza, który

miał przy sobie zdjęcie żony i dzieci i wpatrywał się w nie, nim zaczął się przebierać. Inni wykonywali ćwiczenia oddechowe albo korzystali z technik relaksacyjnych.

McCathy nie odprawiał żadnych rytuałów ani nie odczyniał przesądów, poza pomrukiwaniem: „To cholernie niewiarygodne”, które stało się jego mantrą.

Jeśli chodzi o Platta, to żałował, że nie ma już rodziny czy choćby rodzinnej fotografii. Czasami myślał, że byłoby miło wierzyć i zrobić znak krzyża, tak jak w dzieciństwie. Ale teraz był wolny od przesądów i rytuałów, chociaż zawsze korzystał z łazienki. Sześć godzin w hermetycznym kombinezonie szybko go tego nauczyło.

Wyciągnął szyję i poruszył ramionami. Wziął kilka głębokich oddechów, a potem włożył hełm. Nacisnął klamkę stalowych hermetycznych drzwi i wszedł do strefy największego zagrożenia.

ROZDZIAŁ 35

Reston, Wirginia

R.J. Tully chwycił komórkę po drugim dzwonku. Nie był zdziwiony, słysząc głos swojego szefa, mimo że minęła dopiero siódma i był sobotni ranek. Poczuł nawet ulgę.

– Dzień dobry, agencie Tully.

– Sir, jak pan się czuje? – Tully strzepnął z brody okruszki bajgla, jakby został przyłapany na niechlujstwie. Przy okazji odkrył na twarzy kawałek chusteczki higienicznej, przyklejony w miejscu, gdzie zaciął się przy goleniu.

– Dobrze. A jak agentka O'Dell?

To pytanie zaskoczyło Tully'ego. Spodziewał się, że Cunningham ma lepsze pojęcie o tym, co słychać u Maggie. Jak rozumiał, przebywała niedaleko szefa.

– Wczoraj wieczorem czuła się dobrze. Rano jeszcze z nią nie rozmawiałem.

– Pułkownik Platt będzie kierował oddziałem specjalnym – ciągnął Cunningham, jak zwykle trzymając się spraw zawodowych. – Będzie odpowiadał za izolację i leczenie, jeśli okaże się możliwe. To znaczy, że oni będą nadal pilnować miejsca zbrodni, ale pan i Ganza zajmiecie się dowodami, które zdołają zebrać.

– Był pan w tym domu, sir. Czy tam coś jest?

Cisza trwała tak długo, że Tully zaczął się zastanawiać, czy połączenie nie zostało zerwane.

– Musi coś być – rzekł w końcu Cunningham. – Moim zdaniem to jakaś osobista sprawa.

– Osobista?

– Po co ktoś ryzykowałby, żeby dostarczyć list bezpośrednio do naszego wydziału? Myślę, że chciał być pewien, że go dostanę.

Tully niekoniecznie się z tym zgadzał. Ten człowiek mógł tylko chcieć zagrać im na nosie, udowodnić, jak blisko może się dostać niezauważenie i bezkarnie. Ale Tully nie miał zwyczaju sprzeciwiać się szefowi. Z perspektywy Cunninghama, zwłaszcza po nocy spędzonej w celi, pomysł, że to jakaś osobista sprawa, nie wydawał się wcale naciągany.

– Udało się zaangażować do tego Sloane’a? – spytał Cunningham.

– Tak. Dziś rano jestem z nim umówiony w Quantico, przed jego zajęciami. – Tully przypomniał sobie o śladach, które znaleźli z Ganzą na kopercie. Jeśli to sprawa osobista, może Cunningham potrafi powiedzieć coś na ten temat. – Czy zna pan kogoś o imieniu Nathan, kto mógłby mieć z tym związek?

– Nathan?

– Znaleźliśmy odciśnięty napis na kopercie, która była w pudełku z pączkami. To notatka, żeby o siódmej zadzwonić do Nathana.

Zapadła cisza. Tym razem Tully wiedział, że musi zaczekać.

– Moja córka ma na imię Catherine – rzekł Cunningham, a Tully usłyszał w jego głosie lęk. – Nazywamy ją Cather. Jej matka uwielbia Willę Cather. Możliwe, że to było Cather?

Tully doskonale go rozumiał, ale uważał, że szef na siłę stara się dopasować fragmenty układanki. Pamiętał napis odciśnięty na kopercie. W powiększeniu był czytelny.

– Nie, sir. Jestem pewien, że to był Nathan. – Usłyszał westchnienie ulgi. – Czy jest coś jeszcze, czego powinniśmy szukać z Ganzą? – zapytał.

Czy Cunningham coś przed nim ukrywa?

– Nic poza... – Cunningham urwał. – To tylko przeczucie, ale sądzę, że on zaatakował nie tylko w tym jednym miejscu. Są i będą inne ofiary.

Tully zapisał sobie numer telefonu, który podał mu Cunningham, bezpośrednią linię do jego pokoju w szpitalu w Instytucie. Obiecał, że oddzwoni, gdy tylko dowie się czegoś więcej. Zanim się rozłączył, zauważył na wyświetlaczu różową kopertę. Znak, że dostał wiadomość podczas rozmowy z Cunninghamem. Wiadomość ta była od Gwen. Powiedziała, że Maggie się nagrała, ale nic z tego nie rozumie i nie może się z nią skontaktować. Co się dzieje? Przypominała mu też, że tego wieczoru umówili się na kolację.

Tully dałby głowę, że Maggie rozmawiała z Gwen. Teraz będzie naprawdę w kłopocie, że do niej nie zadzwonił. Żadne słowa tu nie pomogą. Co gorsza, Gwen

zaproponowała, że na kolację wpadnie do niego z pizzą. Od tygodni napomykała, że chętnie go odwiedzi w tej jego, jak mówiła, jaskini. Może wybaczy mu, że do niej nie zadzwonił, jeśli Tully zgodzi się na jej propozycję.

Rozejrzał się po pokoju: buty leżały na samym środku, poczta i brudne szklanki walały się na małym stoliku, sterty gazet walczyły o lepsze z kurzem. Skrzywił się i zaczął wybierać numer Gwen.

W tej samej chwili Emma weszła niepewnym krokiem z Harveyem, który ciągnął ją do tylnego wyjścia. Miała potargane włosy, pogniecioną piżamę, podpuchnięte oczy, jakby w ogóle nie spała. I nagle kurz zupełnie stracił znaczenie. Dużo gorsze było to, że jego córka i kobieta, z którą się spotykał, znajdą się razem w tym samym domu, w tym samym pokoju.

ROZDZIAŁ 36

USAMRIID
Poziom 4

Ilekroć pułkownik Platt wchodził do strefy największego zagrożenia, był zaskoczony, że wszystko wygląda tam tak normalnie. Na zewnątrz grubych drzwi z nierdzewnej stali człowiek spodziewał się, że znajdzie się w jakimś niezwykłym miejscu. Jasnoczerwone symbole towarzyszyły napisowi: „Nie wchodzić bez kombinezonu z systemem wentylacyjnym”. Dostanie się do środka wymagało wstukania właściwego kodu i wielu innych procedur. Jeżeli wszystko zostało wykonane prawidłowo, odzywał się głos i mrugało zielone światełko oznaczające: możesz wejść. Wszystko to, łącznie z sykiem powietrza podczas otwierania zamka sugerowałoby, że po drugiej stronie czeka nas coś spektakularnego. Tak więc surowy sterylny pokój powinien wywołać zawód, Platt jednak zawsze czuł szacunek, gdy tam wchodził.

Żółte przewody wentylacyjne wystawały z białych ścian przypominających obrazy Jacksona Pollocka, upstrzonych grudkami żywicy epoksydowej. Podobne grudki widniały wokół gniazdek, szczelnie zatykając jakiekolwiek pęknięcia. Z sufitu zwisała lampa stroboskopowa. Alarm włączał się automatycznie, gdy zawodził system wentylacyjny.

Metalowe szafki stały rzędem wzdłuż jednej ze ścian, długa lada przy drugiej, zaś trzecia ściana była oszklona, z widokiem na zewnątrz.

Platt wziął jeden z żółtych przewodów i podłączył go do kombinezonu. Jego hełm i uszy natychmiast wypełnił szum powietrza. McCathy prawie nie zwracał na niego uwagi. Nie odrywał się od pracy, którą właśnie kończył. Na rękach miał dwie pary rękawiczek. Przygotował już cztery szklane płytki i cztery mikroskopy, jeden obok drugiego, by można było obejrzeć pod nimi próbki.

W końcu podniósł wzrok i gestem przywołał Platta. Położył każdą z płytek na miejscu. Potem sprawdził jeszcze, zerkając w okulary mikroskopów, czy wszystko gra, i poprawił ostrość.

– Od lewej do prawej! – zawołał McCathy, przekrzykując szum powietrza, i się cofnął. Platt widział pot na jego czole. McCathy przycisnął miękką zaparowaną część hełmu do twarzy. Powstały na niej smugi, ale to mu nie przeszkadzało. Wskazując kolejno na mikroskopy, mówił: – Ebola reston, lassa, marburg i ebola zair.

Platt skinął głową. McCathy ustawił płytki z wirusami od najłagodniejszego do najgroźniejszego. Platt bardzo liczył na to, że okaże się, iż to ebola reston, wiedział jednak, że ten wirus nie spowodowałby tak gwałtownego pogorszenia stanu pani Kellerman.

– Muszę zgasić światło – oznajmił McCathy z pilotem w dłoni. – Będzie ciemno, ale nie możemy na siebie wpadać.

Platt znowu kiwnął głową. Serce waliło mu w piersi, było chyba głośniejsze niż szum powietrza. To nie nieuchronna ciemność spowodowała to walenie, chociaż znał naukowców, którzy nigdy nie poddaliby się takiej próbie: połączenia klaustrofobii, ciemności i poziomu największego zagrożenia.

– Proszę stać tam i patrzeć w te dwa mikroskopy. – McCathy wskazał urządzenia ustawione przed Plattem. – Ja zajmę się tymi dwoma, w ten sposób się nie zderzymy.

McCathy miał ebolę reston i lassę, jemu przypadł marburg i ebola zair. Oby żaden z nich nie zaświecił. Niech pozostanie kompletna ciemność.

– Gotowy? – spytał McCathy, podnosząc pilota.

Platt położył dłonie na mikroskopach, by nie szukać ich po omacku. Skinął głową po raz kolejny.

W pomieszczeniu zapadła atramentowa ciemność. Nic nie emitowało światła. Nie paliła się żadna czerwona lampka na monitorach, promień światła nie wpadał przez żadną szparę. Platt nie mógł dostrzec McCathy’ego, który stał tuż obok.

Znalazł okular pierwszego mikroskopu i próbował przez niego spojrzeć. Nie było to proste ze względu na hełm. Widział tylko czerń. Teraz jego serce biło tak mocno, że bał się, iż przez to nic nie widzi. Część twarzowa hełmu była z miękkiego tworzywa, więc Platt pochylił się jeszcze bardziej, aż poczuł okular mikroskopu przy oku. Ale nadal niczego nie widział.

– Nic? – zawołał McCathy.

– W pierwszym nic.

– U mnie też nic.

Platt czekał. Czasami dopiero po kilku minutach surowica wykazuje jakąś reakcję. Wciąż jednak nic nie widział. Przypomniał sobie: marburg na lewo, ebola zair na prawo. Odsunął się, wziął głęboki oddech i ustawił się przy drugim mikroskopie, powtarzając te same czynności co przy pierwszym.

– Nic tutaj nie ma! – zawołał McCathy znad swojej drugiej próbki.

Platt przyłożył oko do drugiego mikroskopu. To nie była słaba poświata, lecz jasny blask. Wciągnął powietrze i ponownie mocno przycisnął oko do okularu. Miał przed sobą coś, co przypominało rozgwieżdżone niebo.

– Cholera jasna – mruknął i wymacał drugi mikroskop. Tam wciąż nic nie było. Wrócił do poprzedniego. Blask był jeszcze jaśniejszy.

– Co pan tam ma? – wrzasnął McCathy.

– Jeden świeci.

– Wiedziałem. Który?

Platt musiał zwolnić oddech. Musiał pomyśleć. Musiał sobie przypomnieć. Marburg po lewej. Ebola zair po prawej. Walenie serca już się nie liczyło. Odnosił wrażenie, że wszystkie dźwięki, wszystko wokół niego zamarło, zawiesiło się, zatrzymało z piskiem. Wszystko prócz jego żołądka.

– To ebola zair.

ROZDZIAŁ 37

Szpital św. Franciszka
Chicago

Doktor Claire Antonelli patrzyła na zdjęcie wątroby Markusa Schrodera. Na biurku przed nią leżały rozmaite inne zdjęcia i wyniki badań. Przejrzała je więcej niż dwukrotnie. Mężczyzna, który stał obok niej, widział je po raz pierwszy, i milczał. Prawdę mówiąc, Claire denerwowała się milczeniem doktora Jacksona Milesa.

Zerknęła na niego. Jego pokryta bruzdami twarz była ściągnięta. Przypomniała sobie, że kiedyś nazwał te swoje głębokie zmarszczki „dobrze zasłużonymi". Miał je, odkąd Claire sięgała pamięcią. Podczas jej trudnej rezydencji wziął ją pod swoje opiekuńcze skrzydła. Jej męska grupa ją odrzuciła. Doktor Jackson Miles powiedział jej wtedy, że jeżeli on został pierwszym czarnoskórym szefem chirurgii, to ona poradzi sobie z dyskryminacją ze względu na płeć.

– Wątroba jest powiększona – powiedziała.

– Ale poza tym wygląda normalnie. – Miles nie zdejmował oczu ze zdjęcia. Patrzył na nie, jakby to była łamigłówka. – Może to tyfus albo malaria?

– Podałam mu antybiotyki, ale nie zadziałały. Gorączka nie spadła nawet na moment.

– Więc może to bakterie e.coli albo salmonella?

– Wyniki badania krwi temu przeczą. – Claire westchnęła. Już zadawała sobie te pytania. Powiedzenie tego głośno w obecności jej mentora niczego nie zmieniało. – Brałam pod uwagę ropień wątroby albo atak pęcherzyka żółciowego, ale badanie USG tego nie potwierdza.

– Czasami USG nie wszystko pokazuje.

Jackson Miles potarł brodę potężną dłonią, która zawsze zadziwiała Claire, bo wykonując bardzo drobne nacięcia, posługiwał się nią wyjątkowo delikatnie.

– Poprosiłam o bardziej szczegółowe badania krwi, ale nie wiem, czy mogę dłużej czekać. On jest coraz mniej kontaktowy. Obawiam się, że wkrótce zapadnie w śpiączkę.

– A nie zaraził się czymś niebezpiecznym?

– Jego żona twierdzi, że nawet podejrzenie malarii czy tyfusu to przesada. Z początku rozważałam e.coli i wąglika. W zeszłym roku jeden farmer zaraził się wąglikiem od swojego bydła, pamięta pan? Vera, żona Markusa, powiedziała mi, że czasami jeżdżą do Indiany. Mają tam rodzinny interes, którego jest właścicielką, chociaż ktoś go za nią prowadzi. Nie sprzedała go ze względu na sentyment. – Claire zdała sobie sprawę, że się rozgadała. Za bardzo. Za dużo informacji. Nie musi mówić tego wszystkiego na głos. – Markus pracuje w Chicago jako księgowy w firmie prawniczej.

– Ktoś jeszcze w tej firmie zachorował?

– Też się zastanawiałam. – Przeczesała włosy palcami, zbierając myśli. Była niewyspana, jadła tylko zimną pizzę. Adrenalina, którą poczuła na widok zdrowego i spokojnego

syna państwa Haney, gdzieś wyparowała. – Jedna osoba jest na urlopie macierzyńskim – powiedziała. – Inna złamała nogę. Nikt nie ma objawów podobnych do grypy.

– Sądzi pani, że żona zgodzi się na to, żebyśmy otworzyli brzuch i przekonali się, co się z nim dzieje?

– O czym pan myśli?

– Może coś przykleiło się do wątroby czy nerki, a nie widać tego w USG.

– Zoperuje go pan? – Starała się, by nie zabrzmiało to jak prośba studenta, który zwraca się do nauczyciela o przysługę.

– Niech pani uzyska zgodę żony. – Skinął głową. – Otworzymy go i zajrzymy do środka.

Brzmiało to tak rzeczowo, że Claire niemal uwierzyła, iż wszystko pójdzie gładko. Potem Miles poklepał ją delikatnie po ramieniu swoją niedźwiedzią łapą i się uśmiechnął.

– Zrobimy, co w naszej mocy – rzekł, wyczuwając jej obawy. – To wszystko, co możemy zrobić.

Claire miała nadzieję, że Markus i Vera Schroderowie spojrzą na to w ten sam sposób.

ROZDZIAŁ 38

Cela

Telefon na ścianie znowu ją przestraszył. Tak zagłębiła się w poszukiwaniach w Internecie, że nie zauważyła, kiedy ktoś pojawił się po drugiej stronie szklanej ściany.

Gdy podniosła głowę, spotkała się wzrokiem z Plattem. Jego spojrzenie było tak poważne, że wolałaby nie patrzeć mu w oczy. Wiedział coś, i nie były to dobre wiadomości. Zamknęła powoli plik i stronę, a telefon dzwonił.

Platt czekał.

– Dziękuję za komputer – powiedziała, gdy w końcu wzięła do ręki słuchawkę. – Chce mi pan przekazać, że długo będę się nim cieszyć?

Platt tylko na nią patrzył, zaciskając zęby.

– Zawsze musi mnie pani ubiec – rzekł z niezmienionym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Zwykle to ja przekazuję złe wiadomości. Sytuacja odwrotna jest dla mnie czymś dziwnym.

– Zawsze jest pani taka cyniczna?

– Zarabiam na życie, ścigając morderców.

– Aha! – Uśmiechnął się, przechylając do tyłu głowę, jakby to było wystarczające wyjaśnienie. – Więc przywykła pani do tego, że to pani wsadza ludzi do celi, a nie na odwrót.

Wskazał na jej krzesło i czekał, aż usiądzie. Maggie nadal stała. Wolała wysłuchać złych wieści na stojąco, a jeszcze lepiej, chodząc. Ale on wyglądał na wykończonego. Świeżo umyte włosy były jeszcze wilgotne, pod oczami worki. Na tle nieogolonej brody dostrzegła jakąś białą plamę, pewnie resztkę mydła. Przebrał się w T-shirt college'u William and Mary i granatowe spodnie od dresu. Ale wciąż miał te same białe sportowe niki.

– Coś mi mówi, że nie biegał pan po parku – powiedziała, siadając na krześle.

– Dziś rano nie biegałem. – Usiadł wyprostowany, choć sprawiał wrażenie, jakby wolał wygodnie się oprzeć i wyciągnąć przed siebie nogi.

– Chyba coś znalazłam – oznajmiła tylko dlatego, że nie była pewna, czy chce poznać jego ustalenia. – Moim zdaniem ten gość powtarza pewne elementy nierozwikłanych starych zbrodni.

– Na jakiej podstawie pani tak mówi? – Był zaciekawiony, ale nic poza tym.

– Mam kopertę, którą znalazłam w domu Kellerman, więc szukałam...

– Zabrała pani dowód z miejsca zbrodni? Ze strefy największego zagrożenia? – Przesunął się na skraj krzesła.

– Zapakowałam ją w dwie torebki foliowe. – Platt ściągnął brwi, więc dodała: – Mam ją przy sobie, więc chyba jest bezpiecznie odkażona, tak jak ja. – Patrzyła mu wyzywająco w oczy. – Nie chce pan wiedzieć, co znalazłam?

– Wie pani, że mogę panią oskarżyć o utrudnianie operacji armii Stanów Zjednoczonych.

– Jasne, proszę bardzo. Co mi pan zrobi? Wsadzi mnie do celi?

Mierzyli się wzrokiem. W końcu Platt odwrócił głowę, uniósł rękę do twarzy i mocno potarł zmęczone oczy, potem przeniósł ją na brodę, znajdując skrawek chusteczki higienicznej. Cały czas siedział na twardym plastikowym krześle z telefonem przy uchu.

– Muszę zbadać tę kopertę – rzekł w końcu.

– Proszę bardzo.

Może spodziewał się, że będzie się z nim sprzeczać. Może był po prostu zmęczony.

– Więc co pani znalazła?

Powiedziała mu o adresie zwrotnym, o Jamesie Lewisie i sprawie tylenolu z września 1982 roku. O Mary Kellerman i Mary Louise Kellerman. O tym, że nazwy miast są niemal identyczne i że morderca chciał upamiętnić rocznicę tamtej zbrodni.

– Co jest w tej kopercie? – zapytał.

– Nic poza pustą foliową torebką. Nie otwierałam jej. To jest dowód. – Uśmiechnęła się. Starała się doprowadzić do zgody. On jakby tego nie zauważył.

– Cóż, Kellerman i jej córka z całą pewnością miały z czymś kontakt – powiedział. – Ale to nie był cyjanek. Chciałbym, żeby to było takie proste.

– Więc to nie trucizna ani toksyna?

– Nie, to nie trucizna. – Z żalem pokręcił głową. – I nie toksyna.

Maggie czekała.

– Wiem, że ma pani wykształcenie medyczne.

– Tak, średnie – odparła. – Dawne czasy. – Teraz traktował ją jak koleżankę po fachu, by go zrozumiała. A jeszcze kilka minut temu była dla niego przeciwnikiem, który działa wbrew prawu. Może wynikało to tylko z jego zmęczenia. Ona też nie spała. – Proszę mi powiedzieć prawdę – rzekła z nutą zniecierpliwienia. – Nie musi pan owijać w bawełnę, ale nie muszę też słyszeć całego tego naukowego bełkotu.

Tym razem on wziął głęboki oddech. Nachylił się do przodu, wciąż patrząc jej w oczy.

– Pani Kellerman miała kontakt z wirusem, który dostał się do jej organizmu. Usiłował się tam replikować, w jej komórkach, rozsadzając ich ściany, a potem przenosił się z krwią do kolejnych komórek.

Maggie była pewna, że na słowo wirus przestała oddychać. Ta informacja jej wystarczyła, ale Platt mówił dalej:

– To jest jak pasożyt, którego człowiek się nie spodziewa. Pasożyt, który poszukuje najlepszego żywiciela. – Urwał, jakby nie znajdował słów, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. – Największy problem w tym, że ludzie nie są doskonałymi żywicielami. Przeżywają jakieś siedem do dwudziestu jeden dni. Wirus niemal w każdym wypadku ich niszczy. Potem wydostaje się na zewnątrz z krwią. Wylewa się z nich i szuka kolejnej ofiary.

– To brzmi, jakby pan to już widział.

– Tak, w wiosce, o której pani mówiłem, za Sierra Leone. Trzymałem coś podobnego w rękach, w ochronnych rękawicach – rzekł z powagą, prawie szeptem, jakby się modlił.

– Ale pan nie zachorował. – Maggie była zła, że powiedziała to z nadzieją w głosie, choć nie widziała jej na twarzy Platta.

– To była gorączka lassa, także należąca do wirusów najwyższego stopnia zagrożenia. Ta sama rodzina wirusów. Ale nie ten sam wirus.

Maggie zamknęła oczy i zapadła się na krześle. Tym razem nie czekała na jego słowa. Domyślała się prawdy.

– To ebola, tak? – zapytała, nie podnosząc powiek, z odchyloną do tyłu głową.

Nadal trzymała słuchawkę przy uchu, więc dobrze go słyszała. Mimo że zabrakło jej tchu, że czuła ból w piersi, a jej serce tłukło się o żebra.

– Tak – odparł. – Ebola zair.

ROZDZIAŁ 39

Wallingford, Connecticut

Artie to lubił. Lubił wycieczki samochodowe, nawet jeśli nie docierał do żadnych egzotycznych miejsc. Lubił jeździć drogami międzystanowymi, być w drodze, sam, tylko ze swoimi myślami. Niektóre z najlepszych pomysłów przychodziły mu do głowy właśnie podczas takich wypraw. Polubił nawet kawę w zajazdach dla kierowców ciężarówek i nieświeże pączki.

Tego dnia jego mentor pożyczył mu znowu SUV-a z rejestracją rządową. Artie umył go dokładnie. Miał swoje przyzwyczajenia. Ciężko pracował, by mieć pewność, że wszystko idzie zgodnie z planem. Bez wątpienia wybrano go właśnie z tego powodu, że był sumienny i zdyscyplinowany.

Podobnie jak jego mentor uważał się za chodzącą encyklopedię zachowań przestępczych. Był miłośnikiem zbrodni doskonałej. Cenił perfekcję, proces myślowy i talenty niezbędne do popełnienia zbrodni. Nic dziwnego, że skatalogował historię spraw kryminalnych i przechowywał ją w swoim banku pamięci. Dzięki temu czuł się kimś wyjątkowym. Idealnym wykonawcą misji. A fakt, że nie został we wszystko wtajemniczony, sprawiał tylko, że ta zabawa czy lekcja stawała się bardziej intrygująca. Miał się przekonać, jak szybko poskłada

fragmenty tej układanki. Jak inaczej mógłby się doskonalić w swej profesji?

Nie, Artie nie oczekiwał, że dostanie cokolwiek na talerzu. Nigdy nie miał wiele. Wcześnie nauczył się radzić sobie sam, dzięki swojej cierpliwości, urokowi osobistemu i niezwykłej pamięci do szczegółu. Poza tym szybko się uczył. Zgadywał, że nawet jego mentor byłby mile zaskoczony jego tempem. Pewnie nie spodziewał się, że Artie będzie tak dobry.

Dostał proste instrukcje. Miał wrzucać koperty do skrzynek możliwie jak najdalej od domu i jak najbardziej dyskretnie. Wybierał więc z rozwagą. Wiedział, że długo i starannie dobierano nadawców i adresatów, czemu więc nie miałoby to dotyczyć także skrzynek? Artie prowadził własną grę z FBI, bawił się z nimi w berka.

Z początku trzymał się skrzynek bliżej domu. W końcu miał ich do wyboru setki. Kilka tygodni przed tą wycieczką najdalej dotarł do Murphy, w Karolinie Północnej. Przesyłka była zaadresowana do Ricka Ragazzi w Pensacoli na Florydzie, a nadawcą był niejaki Victor Ragazzi z Atlanty. Dlaczego zatem wybrał Murphy w Karolinie Północnej?

Dla niego to było oczywiste. Pomyślał, że podrzuci federalnym łatwy trop. Takie miejsca jak Murphy nie mają przecież wielu związków z prawdziwą zbrodnią. FBI z pewnością będzie szukało jakiegoś powiązania. A to była jedna z tych spraw, które kompletnie sknocili. Muszą sobie uświadomić, że zdecydował się na Murphy, ponieważ to tam mieszkał Eric Rudolph, zanim ruszył w trasę. Krążyła

plotka, że miejscowi go kryli, wprowadzali w błąd federalnych i nie zdradzali wszystkiego, co wiedzieli. Ale czy FBI zrozumie ten żart? Czy doceni jego satyryczny talent? Jego prowokację? Jego aluzyjne: „Złap mnie, jeśli potrafisz”?

Artie miał tylko wrzucić kopertę do skrzynki w lokalnym urzędzie pocztowym, by odesłano ją pocztą zwrotną z Murphy, w Karolinie Północnej. Nawet gdyby miał wielką ochotę, nie mógł ryzykować i wpaść do jedynej restauracji w mieście, która na markizie reklamowała się bezczelnie i krzykliwie: „Tutaj jada Rudolph”. Zamiast tego Artie kupił sobie hamburgera w McDonaldzie, gdy wjechał z powrotem na międzystanową 95. To nie było żadne poświęcenie. Uwielbiał hamburgery z McDonalda.

Wyprawa do Murphy zajęła mu osiem godzin w jedną stronę – siedemset trzydzieści sześć kilometrów. Wallingford leży czterdzieści sześć kilometrów bliżej. Mimo to Wallingford stanowi trudniejszy cel. Artie wiedział też, że nie będzie tak oczywiste dla jego przeciwników z FBI, chociaż kryła się za tym kolejna sprawa, której od lat nie potrafili rozwikłać.

Pogratulował sobie, że udało mu się do niej dotrzeć. Był to inteligentny i znaczący przykład zbrodni, w której zginęły przypadkowe ofiary. FBI czy wojsko nazwałoby to ofiarą zbiorową. Artie wolał określenie „wartość dodatkowa”. Ale czy federalni domyślą się, o co chodzi?

Dlaczego więc Wallingford w stanie Connecticut? Jesienią 2001 roku ponad dziewięćdziesięcioletnia wdowa – nie musi

przecież znać każdego szczegółu, na przykład jej dokładnego wieku – została jedną z ofiar wąglika. Ottilie W. Lundgren mieszkała w Oxford, w stanie Connecticut. Rzadko wychodziła z domu i jak zdołano ustalić, nie była celem zabójcy. Ale jej korespondencja miała kontakt z listem, w którym znajdował się wąglik, w Centrum Dystrybucji Poczty w Wallingford.

FBI nie znalazło wąglika w jej domu, za to wąglik pokazał się w Seymour, w stanie Connecticut, około pięć kilometrów dalej. Ostatecznie wytłumaczono jej śmierć skażeniem krzyżowym. Autorytety uznały, że to nieszczęśliwy wypadek. Członkowie rodziny mówili raczej, że to bezsensowna śmierć. Artie miał to w nosie.

Teraz, objeżdżając SUV-em drugi zbiornik, zerknął na mapę Google'a na siedzeniu pasażera. Chyba zboczył z trasy. Zjechał z międzystanowej numer 91 w Center Street. Ale tutaj nie było urzędu pocztowego.

Znalazł miejsce, gdzie mógł się zatrzymać. Nie miał czasu na zwiedzanie, chociaż kręte drogi do tego zachęcały, a zmieniające kolor liście zachwycały urodą. Artiego jednak bardziej interesowało to, że niedaleko stąd znajduje się opuszczony kamieniołom, gdzie znaleziono ciała upchnięte w dwustupięćdziesięciolitrowych beczkach. Ciała z brakującymi organami. Tak, będąc maniakiem zbrodni i znajdując się tak blisko miejsca zbrodni, trudno go nie odwiedzić. Podobnie pasjonat wojny secesyjnej, będąc w pobliżu Gettysburga, pragnąłby zobaczyć dawne pole bitwy.

Może kiedy indziej. Artie zawrócił. Tym razem bez trudu zauważył, gdzie East Center przechodzi w Center i trafił na główną ulicę, na której spostrzegł urząd pocztowy. Wjechał na podjazd, gdzie stały skrzynki. Jeśli jest tam kamera przemysłowa, nic nie zarejestruje przez przydymione szyby w samochodzie. Podniósł z podłogi dwie przesyłki.

Potem wrzucił je do skrzynki, jedną zaadresowaną do Szkoły im. Benjamina Taskera w Bowie, w stanie Maryland, a drugą do Caroline Tully w Cleveland, w stanie Ohio.

ROZDZIAŁ 40

North Platte, Nebraska

Patsy Kowak nie mogła się doczekać sobotniego ranka. Weźmie po drodze córkę i pojadą do miasta na spotkanie klubu miłośniczek książek. Zwykle spotykały się na śniadaniu w kawiarni. Zajmowały stolik w rogu, przy którym siadywały w siódemkę. Właściciel księgarni „Książki od A do Z” rekomendował im rozmaite nowości. Przez ostatnie dwa lata członkinie klubu przeczytały powieści, których Patsy nigdy by sama nie wybrała. W tym tygodniu był to kryminał miejscowej autorki Patricii Bremmer.

Patsy skończyła go w dwa dni, częściowo dzięki temu, że Ward z nią nie rozmawiał. Może, jeśli te ciche dni jeszcze potrwają, uda jej się zrobić wiele innych rzeczy.

Do wesela został tydzień. Musiała przyznać, że była przejęta, nie tylko dlatego że to ślub jej syna, ale z tego powodu, że

wyjedzie choć na chwilę z domu. Lubiła swój dom i ranczo, ale zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Od wieków nigdzie z Wardem nie wyjeżdżali. Co prawda to tylko Cleveland, z przerwą w podróży na lotnisku O’Hare, ale nawet Cleveland brzmiało teraz dla niej egzotycznie. Niewielu członków jej rodziny i przyjaciół będzie w stanie dotrzeć tam z Nebraski.

Conrad powiedział Patsy, że spodziewają się ponad dwustu gości, głównie znajomych i przyjaciół. Patsy nie wyobrażała sobie nawet, że wiceprezes firmy farmaceutycznej i dyrektor agencji reklamowej mogą mieć tylu przyjaciół. Ale Conrad był szczęśliwy, a to najważniejsze. Ta kobieta uszczęśliwi Conrada jak nikt inny na świecie.

Przeczesała włosy szczotką. Nie wyglądały tak źle, poza tym, że miała zwyczaj podcinać je sama. To był nerwowy nawyk, zwłaszcza w sytuacjach stresowych. Prawdę mówiąc, Ward zawsze wiedział, kiedy miała zły dzień. Na początku tygodnia spytał ją, czy skróciła grzywkę. Usłyszawszy krótkie tak, skinął głową i wyszedł.

Ale teraz zamiast na włosy Patsy zwróciła uwagę na swoje dłonie. Były bardziej czerwone i spierzchnięte niż zwykle, od szczotkowania koni i kopania w ogrodzie. Zamieniła szczotkę na zestaw do manikiuru i zaczęła usuwać skórkę, by paznokcie wyglądały lepiej. Niestety, skaleczyła się przy okazji i zaczęła krwawić.

Od lat nie robiła sobie profesjonalnego manikiuru. Wiedziała, że to nie wchodzi w rachubę. Ward już zrobił jej wykład na temat karty kredytowej. W ten sposób wyrażał swoje niezadowolenie ze ślubu syna, bo przecież Patsy kupiła jedynie nową suknię i torbę podróżną. Oświadczyła, że nie pojedzie ze starą zniszczoną torbą. Nie miała nawet kółek. Nic dziwnego, że Conrad był przekonany, iż ojca nie obchodzi nic prócz pieniędzy. Co jej przypomniało, że nie ma pieniędzy i musi po drodze wpaść do banku.

Wysunęła dolną szufladę komody i otworzyła kwadratowe pudełko, w którym przechowywała zaskórniaki i świecidełka. Tam też schowała foliową torebkę z pieniędzmi od Conrada. Ward nie grzebał w szufladach Patsy, wiedziała, że są tam bezpieczne. Właściwie nie zamierzała korzystać z tych pieniędzy. Po śniadaniu wstąpi do banku, a zaraz potem dołoży brakującą sumę do szuflady. W końcu nic się nie stanie, jeśli pożyczy sobie parę groszy z tej torebki, a potem odda, prawda?

Otworzyła torebkę i wyjęła jeden banknot.

ROZDZIAŁ 41

Quantico, Wirginia

Tully usłyszał go za pierwszym razem. George Sloane nie musiał go znowu informować, że mają z Ganzą „najwyżej piętnaście minut”, zanim Sloane pójdzie do sali wykładowej.

Tully patrzył, jak Sloane zasiada przed dokumentami, niczym ksiądz, który ma odprawić jakiś święty rytuał. Bardzo dobrze grał rolę profesora, nawet ubierał się odpowiednio – czarny golf, dość obcisły, by podkreślić atletyczne ciało, odprasowane spodnie i marynarka. Nie należał do wysokich mężczyzn, miał jakiś metr siedemdziesiąt wzrostu. Wkraczając dumnie do pokoju, aż prosił się, by zwrócić na niego uwagę, lecz nie do końca mu się to udawało. Był rówieśnikiem Tully’ego, ale trudno by u niego dostrzec ślady siwizny, które Tully odkrył na swych skroniach. Gęste włosy Sloane’a, tak długie, że podwijały się na golfie, były niemal kruczoczarne. Tully podejrzewał, że zawdzięczał to raczej odsiwiaczowi marki Grecian niż genom młodości.

– Światło tutaj jest okropne – oznajmił Sloane na powitanie. – Czy Cunningham oczekuje ode mnie cudu?

Tully miał na końcu języka: „Nie, tylko normalnych czarów”. Zamiast tego powiedział coś, co jak wiedział,

udobrucha Sloane’a, by nie tracić cennych piętnastu minut.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni, że poświęciłeś nam swój czas, George. Będziemy zobowiązani za wszystko, co uda ci się zrobić.

– Sprawdź, czy nie ma gdzieś lepszej lampy – rzekł Sloane do Ganzy, machając ręką, jakby Ganza, szef laboratorium, był jego studentem.

Przez sekundę czy dwie Ganza patrzył na plecy Sloane’a, po czym zerknął na Tully’ego, który tylko wzruszył ramionami. Ganza spojrzał na zegarek, ściągnął w dół daszek swojej czapki Red Soxów i ruszył do magazynu obok sali konferencyjnej.

– Więc terroryści umieszczają teraz listy z pogróżkami na dnie pudełka z pączkami? – rzekł Sloane, przysuwając krzesło bliżej stołu. – Gdzie wtedy byłeś? – zapytał. – Jeśli dobrze pamiętam, nie potrafisz się oprzeć pączkom z czekoladą.

– Utknąłem w korku. – Tully starał się nie okazać zniecierpliwienia. Slone zmarnował już pięć minut.

– Dzięki Bogu za poranne korki, co?

Ganza wyciągnął z magazynu długie metalowe ustrojstwo, które wyglądało jak eksponat z wyprzedaży garażowej, i postawił je na stole obok Sloane’a.

– Co to jest, do diabła? – Sloane cofnął się z obrzydzeniem. Ganza go zignorował, rozwinął kabel, włożył wtyczkę do gniazdka i włączył fluorescencyjną lampę.

Paliła się dość jasno, teraz nawet Sloane nie mógł narzekać, chociaż i tak burknął coś pod nosem, nim wrócił do poprzedniej pozycji. Wziął do ręki foliową torebkę z kopertą, podniósł ją i przyglądał się, ściągając wargi i marszcząc brwi. Tully od razu pomyślał o postaci Carnaca Wspaniałego odgrywanej przez Johnny'ego Carsona.

– Drukowane litery – mruknął Sloane pod nosem, jakby tego właśnie oczekiwał. – Każdy maniak od Unabombera po Zodiaka pisał drukowanymi literami. Na co dzień niewiele osób pisze tak całe słowa, więc trudniej je zidentyfikować.

– Łatwiej zatem ukryć prawdziwy charakter pisma – rzekł Ganza, zerkając przez lewe ramię Sloane'a.

– Właśnie to powiedziałem. Skoro już wszystko wiecie, po co Cunningham mnie wzywał?

Tully patrzył z drugiego końca pokoju, jak dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Ganza był kompletnie pozbawiony agresji, nie należał do ludzi, którzy angażują się w głupie ambicjonalne gierki. Był zawodowcem, i to, prawdę mówiąc, nieco introwertycznym. Być może Sloane wzbudzał we wszystkich najgorsze instynkty.

Kiedy Sloane wydawał się usatysfakcjonowany, że Ganza nie będzie mu więcej przeszkadzał, jeszcze bardziej wyprostował się na krześle, jakby nagle urósł.

– Nie chodzi tylko o ukrycie własnego charakteru pisma – podjął. – Drukowane litery nadają wiadomości znaczenie. On jakby to wykrzykuje. Ale spójrzcie tutaj. – Wskazał palcem. – Mocniej naciskał pióro, robiąc kropki. Nie spieszył się, pisał litera po literze, ale stawiając kropki,

mało nie przedziurawił papieru. Tutaj odkrywa trochę emocje.

– A o czym świadczy to, że stawia kropkę po każdej literze skrótu FBI? – spytał Ganza, a Tully mało się nie skrzywił. Czy Ganza nie zrozumie, że ma siedzieć cicho, bo wtedy pójdzie szybciej? Będzie mniej bolało? Tully czekał, aż Sloane obrzuci Ganzę wściekłym wzrokiem, i się nie zawiódł. Ganza jednak jakby niczego nie zauważał.

– Na pewno nie traktuje tego jak akronim – rzekł Sloane, wymawiając powoli każde słowo, jakby mówił do cudzoziemca. – Dla niego to jest Federalne Biuro Śledcze.

– Więc może to ktoś, kto ma coś za złe federalnym? – spytał znów Ganza.

Sloane, zamiast odpowiedzieć, obrzucił szefa laboratorium gniewnym spojrzeniem. Odłożył na bok kopertę, zerknął na zegarek i wziął do ręki drugą foliową torebkę.

– List jest otwarty – zauważył Tully. – Ale kartka była złożona, żeby zmieściła się w kopercie. Widać to w miejscach zagięcia…

– Typowych dla farmaceuty – skończył za niego Sloane. Przeniósł wzrok na Tully’ego, unosząc gęste brwi. – Wasi ludzie to ruszali, pomimo takiego zagięcia?

– Koperta nie była zaklejona. – Tully nie chciał, by zabrzmiało to, jakby się bronił, niezależnie od oskarżycielskiego tonu i wściekłości Sloane’a. Czuł się w obowiązku bronić kolegów, chociaż to nie on rozłożył kartkę. Może to przez tę profesorską aurę Sloane’a, aurę

wyższości, wszyscy czuli się przy nim jak studenci. – W środku nic nie było – oznajmił, nie dodając, że to Cunningham rozłożył list, bo te słowa zabrzmiałyby dziecinnie.

Sloane znowu ściągnął wargi. Przypominał Tully'emu nadąsane dziecko. Zerknął na zegarek.

– George – rzekł Tully. – Wiemy już, że ten człowiek posiada wszelkie cechy zabójcy, który chce nami kierować. Zapewne wyśle kolejną specjalną przesyłkę. Co możesz nam o nim powiedzieć? Czy znajdziemy go ukrytego w jakiejś leśnej chacie, czy raczej w podmiejskim garażu?

Sloane skrzyżował ramiona na piersi.

– On nie siedzi w lesie – rzekł, kończąc jakby prychnięciem, które mówiło Tully'emu, że dla Sloane'a nie jest wart ani centa. – Nie jest też z branży farmaceutycznej. Ten, który zabijał wąglikiem jesienią 2001 roku, stosował to samo zagięcie. Powiedziałbym, że dokładnie to samo.

– Zajmowałeś się tamtą sprawą? – spytał Ganza.

– A jak myślisz, kto im powiedział, żeby szukali na terenie naszego stanu, w naszych laboratoriach i wśród pracowników naukowych, a nie wśród muzułmanów w jakiejś dziurze w Afganistanie? – Sloane zaczął wiercić się na krześle. – Chociaż nie powinienem się dziwić, że tego nie wiecie. Tutaj trudno o wyrazy uznania. – Zawahał się, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć jeszcze coś. – Oczywiście, to nie jest najważniejsze – podjął, machając torebką. – Wy w FBI wierzycie w to, w co chcecie wierzyć, jak na przykład w wasz portret psychologiczny w sprawie

snajperów z Beltway. Trzymaliście się kurczowo opinii, że to młody biały mężczyzna, samotnik w białej furgonetce. Nie przyszło wam do głowy, że to może być dwóch czarnych facetów w podrasowanym wozie.

– Nie było mnie wtedy w Waszyngtonie – rzekł Tully.

– Ach tak. Byłeś jeszcze w Connecticut.

– W Cleveland.

– Wybacz, pomyliłem się. – Sloane wcale nie mówił przepraszającym tonem. Spojrzał z bliska na list i przeczytał, grzmiąc jak sprawozdawca sportowy:

NAZWIJCIE MNIE BOGIEM
DZISIAJ NASTĄPI ATAK
W ELK GROVE 13949
O 10 RANO
NIE CHCIAŁBYM ŻEBY WAS TO OMINĘŁO
JESTEM BOGIEM
PS. WASZE DZIECI NIGDY I NIGDZIE
NIE BĘDĄ BEZPIECZNE.

Potem odłożył torebkę na stół i odsunął krzesło, aż zapiszczało, sunąc po linoleum. Ganza i Tully patrzyli na niego wyczekująco.

– To bystrzak – stwierdził Sloane, nie podnosząc wzroku. – Mało tego, jest dobrze wykształcony i dba o szczegóły. Chce wam wmówić, że jego działanie może mieć podłoże religijne, ale moim zdaniem nawiązuje do Boga bardziej dosłownie. Po prostu uważa, że jest od was lepszy. Nawet to, że składa kartkę jak farmaceuta, to rodzaj gry... – Sloane zamachał rękami, a Tully zobaczył w nim kaznodzieję, który

gestem podkreśla ważne punkty kazania. – On się z wami bawi, chce was zmylić.

Potem wzruszył ramionami i wstał, jakby nie miał nic więcej do dodania. Mimo to ciągnął:

– Wybór godziny dziesiątej rano może być znaczący. Adres czy numery w adresie mogą być znaczące. Nie powiem wam tego, nie mając więcej informacji.

– A jakie jest twoje przypuszczenie? – spytał Tully, a Sloane się żachnął.

– Przypuszczenie? Tak nazywacie wasze portrety psychologiczne? Bo ja nie nazywam swoich przypuszczeniami.

Tully powstrzymał westchnienie irytacji. Sloane przenosił wzrok z Ganzy na Tully'ego, jakby nie mógł się zdecydować, czy są godni litości.

– Moje przypuszczenie – przeciągnął to słowo, aż zasyczało – jest takie, że to ktoś dobrze poinformowany. Radzę znowu poszukać w laboratoriach. Tego od wąglika dotąd nie złapano. Nie byłby pierwszym, który chce powtórnie zaistnieć. Niektórzy nie mogą znieść pustki wokół siebie. Weźmy choćby zabójcę BTK [1]. Nigdy nie zostałby ujęty, gdyby nie jego żądza sławy.

– Może to coś ci powie. – Tully wyciągnął zdjęcie odciśniętej notatki. – To było na kopercie.

Sloane wziął zdjęcie i spojrzał na nie w świetle lampy, kąciki jego warg uniosły się w uśmiechu. Jeśli Tully się nie mylił, wreszcie profesorowi zaimponowali.

– Sukinsyn – rzucił. – I to wy to znaleźliście?

ROZDZIAŁ 42

Cela

Kiedy przynieśli Maggie tacę, pora śniadania dawno minęła. Jedzenie było ostatnią rzeczą, jaka ją teraz interesowała. Zjadła trochę jajecznicy, połowę grzanki z pełnoziarnistego pieczywa, wypiła dwa łyki soku pomarańczowego i zostawiła resztę. Czuła ciężar na piersiach, który nie pozwalał jej oddychać. Nawet przełykanie stało się wysiłkiem. Złapała się na tym, że wsłuchuje się w bicie swego serca. Położyła dwa palce na szyi, w miejscu, gdzie bada się puls. Czy spodziewała się wyczuć albo usłyszeć, jak wirus się w niej mnoży? Czy to był ten dodatkowy ciężar przygniatający jej klatkę piersiową?

Pułkownik Platt spytał, czy chciałaby jeszcze do kogoś zadzwonić, albo może wolałaby, żeby on zadzwonił do kogoś w jej imieniu. Nie przychodziła jej do głowy ani jedna osoba. Może Gwen, ale na pewno nie Nick Morrelli. Raczej nie jej przyrodni brat, którego poznała dopiero w zeszłym roku. Jak by wyglądała ta rozmowa?

„Cześć, braciszku, nie zgadniesz, ale właśnie odbywam kwarantannę z powodu zakażenia bardzo groźnym wirusem. Może z tego nie wyjdę. A mieliśmy się spotkać w Święto Dziękczynienia”.

Nie zadzwoni też do matki, która znalazłaby sposób, żeby zlekceważyć jej problem.

„Ale mamo”! – Maggie wyobrażała sobie tę wymianę zdań. – „To ja umieram z powodu śmiertelnego wirusa, a nie ty”. „A jak ja mam to wszystkim wytłumaczyć?” – brzmiałaby odpowiedź matki, chociaż najpierw spytałaby, czy to zaraźliwe.

Nie, nie miała do kogo zadzwonić. Żadnej bliskiej rodziny. Nikogo, kto byłby dla niej ważny. Pusta lista na nazwiska osób, które należy zawiadomić w razie nieszczęśliwego wypadku. Zresztą jej też nikt nie wpisał na swoją listę. Po rozwodzie z Gregiem była tak wyczerpana, że czuła raczej ulgę niż żal. Pobrali się jeszcze w college’u. Był dla niej czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej, próbą normalności, szansą na normalne życie. Udawało im się do chwili, gdy Greg postanowił oderwać ją od jedynej rzeczy, która dawała jej poczucie sensu – jej pracy w FBI.

Zakończyła ten związek okaleczona, ale zadowolona. A równocześnie straciła wiarę, że kiedykolwiek pozna mężczyznę, który zaakceptuje jej pracę, a co ważniejsze fakt, że zawsze będzie dla niej najważniejsza. Nawet Adam Bonzado i Nick Morrelli nie bardzo się sprawdzili. Oczywiście to nie ich wina. Maggie nikogo nie dopuszczała do siebie na tyle blisko, by dać mu prawdziwą szansę. Wiedziała, że sama jest sobie winna. Może za bardzo wzięła sobie do serca lekcję swojego mentora Cunninghama. Nie chciała opowiadać o tym pułkownikowi Plattowi. Więc kiedy

zaproponował, że zadzwoni do kogoś w jej imieniu, tylko pokręciła głową.

Pułkownik mówił jeszcze inne rzeczy. Niektóre pamiętała już jak przez mgłę. Wyjaśniał, dlaczego badanie jej krwi nie wykazało obecności wirusa… jeszcze. To ostatnie słowo było jak ołowiana kotwica. Mówił coś o procesie inkubacji. Mówił wszystko wprost, tak jak prosiła, nie owijając w bawełnę.

Uważaj, o co pytasz, powiedziała sobie. Wiedziała co nieco na temat wirusów. Na przykład że nawet jeśli dotąd nie ma żadnych objawów, to nie znaczy, że wirus nie znajduje się w jej organizmie i nie czeka na odpowiedni moment, by zaatakować.

Po wyjściu Platta siedziała ze wzrokiem wlepionym w szklaną ścianę, w monitory po drugiej stronie. Wszystko to wydawało się nierealne, zupełnie jakby wyjęte ze „Strefy zmroku”. Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, aż w końcu trochę się otrząsnęła.

Wciąż miała w uszach wyjaśnienia Platta. Podał jej zbyt wiele szczegółów. Pewnie sądził, że medyczne wykształcenie pozwoli jej to zrozumieć. Ale wiedza niekoniecznie daje siłę czy pewność siebie. Czasami odnosi wręcz przeciwny skutek. Zwłaszcza w tym przypadku. Im więcej rozumiała na temat wirusów, tego jakie są silne i niepowstrzymane, tym bardziej czuła się bezbronna.

Platt przekazał jej tyle informacji, że nie mogła czuć się dobrze. Jego pytania wciąż nie dawały jej spokoju.

Czy dotykała pani Kellerman? Czy miała bezpośredni kontakt z jej krwią? Z pościelą? Czy dotykała Mary Louise? Czy brała ją za rękę? Czy wymiociny dziewczynki były na jej twarzy? Oczach? Wargach?

Wymiociny dziewczynki zabrudziły jej żakiet, ale chyba nie miała ich na twarzy. A Cunningham? Tak, pamiętała, jak wycierał twarz. Trzymał Mary Louise na rękach, kiedy zwymiotowała. Potem wziął ją do łazienki i pomógł jej się umyć, każąc Maggie zostać w pokoju.

A co z Mary Louise, tą śliczną dziewczynką, która wdrapywała się na łóżko matki, na zakrwawioną pościel, i żyła w tym otoczeniu, nie wiadomo ile dni?

Wtedy Maggie przypomniała sobie zdanie z listu: „Wasze dzieci nigdy i nigdzie nie będą bezpieczne”.

Te słowa korespondowały z celem mordercy, podobnie jak Mary Louise i jej matka, które nosiły to samo nazwisko i miały podobny adres, jak jedna z ofiar tylenolu. Maggie wiedziała jednak, że sam tych słów nie wymyślił. Podejrzewała, że za kimś je powtórzył. Tylko za kim?

Wróciła do komputera i usiadła. Przeczesała włosy palcami i zdała sobie sprawę, że ręce jej drżą. Siedziała i czekała, aż się uspokoi, aż minie nagły atak nudności, aż serce się uciszy. Nic z tego. Musi zignorować rosnącą panikę, odsunąć ją na bok. Już to robiła, więc i tym razem da radę, przynajmniej na chwilę, by uciec, by pracować.

Wróciła do wyszukiwarki i wciąż niezbyt pewnymi palcami wpisała zdanie z listu tak, jak je zapamiętała: „Wasze dzieci nigdy i nigdzie nie będą bezpieczne”.

Natychmiast otrzymała tuzin stron odpowiedzi. Nie mogła w to uwierzyć. Na ekranie komputera widniały dokładnie te same słowa. Zostały użyte w postscriptum innego listu. Dlaczego ich wcześniej nie rozpoznała?

Znajdowały się tam również pozostałe zdania. „Jestem Bogiem” i „Nazwijcie mnie Bogiem”. Zamiast „Dla pana agenta F.B.I.” było podobne: „Dla pana policjanta”.

Tak jak zgadywała, wszystkie te sformułowania zostały wzięte z listów i wiadomości innego zabójcy, a dokładnie pary zabójców. Posługiwali się nimi snajperzy z Beltway, John Muhammad i Lee Malvo w październiku 2002 roku.

ROZDZIAŁ 43

USAMRIID

Platt wolałby odłożyć rozmowę z Janklowem do poniedziałku. Dowódca mianował go szefem tego zadania, a mimo to zaglądał mu przez ramię. Jak wyjaśni, że znów czegoś od niego chce? Platt ledwie zajrzał do czwórki swych pacjentów, a już szef wezwał go na dywanik. Podejrzewał, że McCathy powiadomił dowódcę, gdy tylko zobaczył robale przez mikroskop, pewnie nawet zanim wezwał Platta.

Drzwi gabinetu Janklowa były otwarte, jego sekretarka gdzieś wyszła. Platt uprzytomnił sobie, że jest sobota. Janklow stał przy oknie i wyglądał na dwór. Dopiero wtedy Platt zdał sobie sprawę, że pada deszcz. W ramie okna widniał ponury szary dzień naszpikowany złotymi i czerwonymi plamami wirujących barw. Kiedy liście zaczęły zmieniać kolor? W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin stracił poczucie czasu, nie wiedział, jaka to pora roku.

– Pułkownik Platt. – Janklow zerknął na niego, potem wrócił wzrokiem do okna, jakby nie całkiem gotowy.

– Tak, sir – odparł Platt.

Przez ostatnich kilka godzin tylko adrenalina trzymała go na nogach. Janklow miał szczęście w nocy się wyspać. Platt

przeżywał już podobne historie z innymi oficerami wyższej rangi. Spodziewał się, że Janklow mu przypomni, że powierzył mu bardzo ważne zadanie i liczy, że Platt nie tylko je wykona, ale weźmie za nie odpowiedzialność. Innymi słowy upewni się, czy Platt rozumie, że jeśli coś pójdzie nie tak lub przecieknie do mediów, to Platt zbierze cięgi.

Platt trzymał ręce opuszczone, kiedy instynkt kazał mu przetrzeć zmęczone oczy. Potarł brodę, by sprawdzić, że nie została na niej kropla mleka. Dopiero po długich naleganiach przekonał Mary Louise, by zjadła śniadanie, kiedy zgodził się zjeść razem z nią kolorowe płatki śniadaniowe.

Chociaż dzieliła ich szklana ściana, dziewczynka uparła się, by zaczęli od żółtych. Prawdę mówiąc, była to miła chwila wytchnienia – chociaż odrobinę nierzeczywista. W jednej chwili znajdował się w strefie najwyższego zagrożenia, obserwując wijące się wstążki wirusa, jednego z najgroźniejszych, aby w następnej jeść Fruit Loops z pięcioletnią dziewczynką. Od razu przypomniała mu się Alicja w Krainie Czarów, która popijała herbatę z Szalonym Kapelusznikiem.

– Więc jest dużo gorzej – rzekł nagle Janklow, nie odwracając się ani nie patrząc na Platta.

To dobrze. Jego głos przywrócił Platta do teraźniejszości. Może to dziwne, ale dałby wszystko, by znaleźć się znowu z Mary Louise, udawać Szalonego Kapelusznika i jeść płatki z mlekiem, zamiast stać tutaj i tłumaczyć się Janklowowi.

– Tak, sir – odparł. Sądził, że Janklow spodziewa się usłyszeć, jakie ma plany, więc zaczął od spraw podstawowych. – Nadal izolujemy i pilnujemy domu Kellerman.

– W cywilnych ubraniach?

– Tak. Firma budowlana i samochód służb publicznych. CDC mógłby odnaleźć wszystkich, którzy mieli kontakt z Kellerman. Jesteśmy gotowi natychmiast rozpocząć szczepienia…

– Nie kontaktował się pan dotąd z CDC, tak? – Janklow odwrócił się gwałtownie.

– Nie, jeszcze nie.

Dowódca skinął głową i splótł ręce za plecami. Platt rozpoznał w tym geście skrywaną satysfakcję. Janklow podszedł do biurka na środku gabinetu, z rękami z tyłu, z brodą opuszczoną. Platt wiedział, że musi czekać. Janklow każe mu kontynuować, kiedy będzie gotowy.

– W tej chwili czwórka pacjentów, których ma pan w celi, to jedyne osoby, o których wiemy, że miały z tym kontakt? Czy tak? – spytał Janklow.

– Tak, sir.

– Matka, dziecko i dwóch pracowników agencji rządowej?

– Zastępca dyrektora FBI Cunningham i jedna z agentek specjalnych.

– Rozumiem, że matka jest w stanie agonalnym?

– Na to wygląda – przyznał niechętnie Platt. – Jej nerki przestają pracować. Daliśmy jej…

Janklow uniósł rękę. Platt nie znosił tego gestu, ale zamilkł, jak mu kazano.

– Ona z tego nie wyjdzie – stwierdził Janklow rzeczowo, jakby rozmawiali o giełdzie. – Mam rację?

Platt całą noc robił wszystko, co możliwe, by ją uratować. Jako lekarz nie był gotowy przyznać się do porażki.

– Najprawdopodobniej – zgodził się. – Chociaż znam przypadki...

Ręka znowu znalazła się w górze. Tym razem towarzyszyło jej pełne irytacji westchnienie.

Janklow podszedł znów do okna, z rękami złączonymi, z brodą na piersi, być może była to jego wersja „Myśliciela” Rodina. Z tego, co Platt wiedział o dowódcy, to była pierwsza tak poważna sprawa w jego karierze, i zapewne najbardziej decydująca. Nie sprawiał wrażenia spanikowanego ani udręczonego tym wyzwaniem. Był raczej dość spokojny, właściwie zbyt spokojny, jak człowiek, który kalkuluje, kupić czy sprzedać, a może wstrzymać inwestycje.

– McCathy powiedział mi, że ten wirus łatwo przeskakuje z jednej ofiary do drugiej – odezwał się Janklow, krążąc wolnym krokiem po gabinecie i nie patrząc na Platta, jakby wygłaszał wykład. – Podobno w Afryce zabija całe wioski.

Więc podejrzenia Platta okazały się słuszne. McCathy i Janklow już sobie o tym pogadali.

– McCathy stwierdził, że wystarczy mikroskopijna ilość wirusa, szczelnie zamknięta i przesłana komuś, może nawet

zwykłą pocztą, żeby wybuchła epidemia. Coś takiego – rzekł Janklow – może wywołać masową panikę.

Platt nie zaprzeczał i czekał na spodziewane instrukcje dotyczące ukrywania sprawy przed mediami. A jednak Janklow go zaskoczył.

– Co by było, gdyby oni wszyscy zniknęli?

Z początku Platt nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Słucham?

– Jest ich tylko czworo. Dwie osoby są już i tak skazane na śmierć – ciągnął Janklow, przystając. – Sam pan powiedział, że matka nie przeżyje. Niemożliwe, żeby córka spędziła z nią nie wiadomo ile dni i nie złapała wirusa.

Platt starał się ukryć osłupienie. Janklow wziął je za zakłopotanie, ponieważ podjął:

– Zapewnimy im dobre warunki i wsparcie. Niech wirus sam wygaśnie.

– A co ze szczepionką?

– Nie udowodniono, że powstrzymuje wirusa, nie mówiąc już o leczeniu. Dlaczego mielibyśmy ryzykować, że nie zadziała?

– Ale jak możemy nie zaryzykować, sir?

– Myśli pan jak lekarz, pułkowniku Platt. Musi pan myśleć jak żołnierz. Czy mam panu przypominać, że pana zadaniem jest nie dopuścić do rozprzestrzenienia się wirusa? Jeśli pozwoli mu pan wygasnąć, nie będzie tkwił gdzieś uśpiony, ukryty pod przebraniem szczepionki, która może, ale nie musi zadziałać. – Unikając wzroku Platta, dodał: – Nikt nie wie, że oni tutaj są.

– Rozmawiamy o FBI – rzekł Platt, przełykając z trudem ślinę. Nie mógł uwierzyć, że Janklow sugeruje podobne rozwiązanie. Był zmęczony. Skok adrenaliny wyczerpał go fizycznie i psychicznie. Nie był w stanie myśleć. Może źle zrozumiał słowa dowódcy.

– FBI! – prychnął Janklow, jakby to nic nie znaczyło. Znowu opuścił brodę na piersi. – FBI to agencja rządowa, tak samo jak my. Czasami konieczne są poświęcenia. – Obejrzał się na Platta. – Dla dobra sprawy. Podczas wojny... czy najwyższego zagrożenia.

Potem podszedł do okna i zajął to samo miejsce, w którym Platt go zastał.

Platt czekał z nadzieją, że jeśli okaże dość cierpliwości, Janklow odwoła swoje słowa. Sugerował przecież, by pozwolili wirusowi zrobić swoje w organizmie pani Kellerman, a także jej córki, Cunninghama oraz agentki O’Dell.

Innymi słowy Janklow proponuje, by pozwolili im wykrwawić się na śmierć.

ROZDZIAŁ 44

Szpital św. Franciszka
Chicago

Minęło wiele lat, odkąd Claire Antonelli operowała razem z szefem chirurgii, doktorem Jacksonem Milesem. Od momentu, gdy rozpoczęła prywatną praktykę, jej wizyty w szpitalu ograniczały się do odwiedzin zdrowiejących pacjentów i od czasu do czasu przyjmowania na świat dzieci. Nie była chirurgiem. Znała swoje ograniczenia i doceniała swoje umiejętności. Laparotomia diagnostyczna nie należała do jej atutów.

Vera Schoder kręciła nosem. Jej mąż nigdy w życiu nie przeszedł żadnej operacji, nie spędził dotąd ani jednego dnia w szpitalu.

– Markus bardzo o siebie dba – oświadczyła w przekonaniu, że to kolejny dowód, iż to wszystko to jakaś straszna pomyłka.

– Ale gdzieś w jego organizmie jest infekcja – tłumaczyła Claire Verze.

Markus leżał tuż obok i patrzył na nie przekrwionymi oczami, do połowy ukrytymi pod ciężkimi powiekami. W ciągu zaledwie dwóch dni jego twarz zamieniła się w pozbawioną wyrazu maskę, mięśnie opadły, jakby tkanka

się rozpadała. Nic nie wskazywało na to, że je słyszy. Claire martwiła się, że zaczął tracić przytomność.

Co gorsza, Vera udzielała odpowiedzi, nie czekając na męża. Dotykała jego ręki i odsuwała mu włosy z czoła, nie oczekując, że on zareaguje na pytanie czy jej dotyk. Claire już wcześniej zauważyła, że nawet kiedy Markus był przytomny, to Vera mówiła, gestykulowała, poklepywała i głaskała Markusa, a on tylko stał albo siedział biernie.

– Może to być stan zapalny lub ropień – ciągnęła Claire. – Albo nawet perforacja jelita, której nie wykazują badania.

– Podejrzewa pani, że to rak? – spytała Vera szeptem.

Claire uważała, że z pacjentami należy rozmawiać szczerze. Nie chciała straszyć Very Schroder, ale nie zamierzała niczego przed nią ukrywać. Powiedziała już, że niczego nie wykluczają. Muszą po prostu sprawdzić, co dzieje się w organizmie Markusa. W końcu Vera zamilkła. Chciała tylko, by mąż wrócił do domu, by wszystko było tak jak dawniej.

Teraz Claire przyglądała się, jak doktor Miles nacina powłoki brzuszne pacjenta. Miała nadzieję, że coś znajdą, dowiedzą się, dlaczego ten zdrowy czterdziestopięcioletni mężczyzna tak nagle zamienił się w wymiotującego i gorączkującego zombie.

– Sprawdzimy wszystko po kolei – rzekł Miles, nie podnosząc wzroku. Jego duże dłonie pracowały pewnie i delikatnie. – Zaczniemy od woreczka żółciowego, potem wyrostek, trzustka, wątroba.

Jego głos był spokojny i kojący. Claire przypomniała sobie, jak o nim myślała, gdy była rezydentem. Wszyscy tak o nim myśleli. Było w nim coś nadludzkiego, nawet jego głos był jak głos Boga. Jeśli doktor Miles nie stwierdzi, co złego dzieje się z Markusem, nikt tego nie wyjaśni.

– Trzustka wygląda normalnie – orzekł.

Claire zebrała krew gąbką, podczas gdy pielęgniarz, młody Azjata o imieniu Urie, poprawił ssawkę. Krew nadal tryskała. Claire przykładała kolejne gąbki. Urie zastosował żel tamujący krwawienie. Pielęgniarka, drobna i ruchliwa, stanęła na palcach i starła krew z brwi Milesa. Doktor użył zacisku. Potem drugiego.

Cięcie wciąż napełniało się krwią. Zazwyczaj podczas operacji krew w przeciętych przez chirurga naczyniach krwionośnych dość szybko krzepnie. Dodatkowe krwawienie można powstrzymać specjalnymi tamponami, gąbkami albo żelem. Zdarza się, że krew z rany trzeba odessać. Ale w tym wypadku nic nie działało.

Miles zaczekał, aż Claire znowu zbierze krew, ale jej gąbki nasiąkały szybciej, niż zdołała je zmieniać. Ten sam problem miał Urie. Gdy tylko nałożył żel, krew wypływała tak czy owak. Pielęgniarka pomagała zbierać ją gąbkami. Nawet anestezjolog był gotowy się włączyć.

Miles spojrzał na Claire, unikając wzrokiem pozostałych członków zespołu. W jego oczach pojawił się cień niepewności, którego dotąd nie znała. Przyłapała się na myśli, że to tak, jakby zobaczyła zmartwionego Boga. Widząc panikę na twarzy Milesa, poczuła ucisk w żołądku.

Urie odessał kolejną porcję krwi, a Miles usiłował złapać naczynia w kleszcze kolejnego zacisku. Claire wciąż przykładała gąbki. Wszystko na nic. Jama brzuszna Markusa Schrodera napełniała się krwią. Claire nasunęło się porównanie z wykopywaniem dołka na plaży. Gdy tylko wyciągniesz garść piasku, z góry sypie się nowy i wypełnia dołek tak szybko, jak szybko kopiesz.

– Niedobrze – rzekł w końcu Miles. – Wezmę wycinek i się zmywamy.

Szybko pobrał materiał, wzbudzając podziw Claire, która nic już nie widziała w tej ilości krwi. Przekazał wycinek pielęgniarce. Potem razem z Claire zaczęli zaszywać jamę brzuszną, a Urie cały czas wycierał krew.

Kiedy wreszcie skończyli, cała szóstka cofnęła się od stołu operacyjnego. Wymienili spojrzenia, nikt nic nie powiedział. Claire czuła, że pot spływa jej po plecach, dostrzegła strużkę potu na twarzy Milesa. W pewnym momencie spojrzał jej prosto w oczy. W jego oczach było tyle samo znaków zapytania, co strachu.

W końcu Urie przerwał milczenie:

– Facet ma poważny problem.

ROZDZIAŁ 45

Cela

Kiedy telefon znowu zadzwonił, Maggie miała ochotę go zignorować. Siedziała z pochyloną głową, wpatrzona w ekran komputera. Dopóki była tam, w świecie wirtualnym, nie musiała myśleć o tym, że jej pokój ma szesnaście kroków szerokości i czternaście długości. Nie musiała pamiętać, że wirus zapewne po cichu mnoży się w jej organizmie. Praca zawsze pomagała jej odsunąć na bok emocje, opanować stres, chaos, walenie serca w piersi. To się uda. To może się udać, jeśli ten durny telefon zamilknie.

Po sześciu dzwonkach podniosła wreszcie wzrok, bardziej zirytowana niż chętna do rozmowy.

Kiedy ujrzała kobietę po drugiej stronie szyby, odsunęła się z krzesłem i wlepiła w nią wzrok. W końcu zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Bała się, że ma halucynacje. Jeśli spróbuje oddychać, jeśli się poruszy, czy ten obraz zniknie?

Wstała i przetarła szybko oczy, udając, że jest zmęczona, a nie wzruszona do łez. To idiotyczne.

Spędziła dwadzieścia cztery godziny w tym miejscu i już kompletnie głupieje. Zostawiła sanktuarium komputera i chwyciła słuchawkę.

– Cześć, mała – powiedziała Gwen Patterson z uśmiechem, który nie zdołał ukryć troski.

Drobna kobieta o włosach rudoblond miała na sobie czarną garsonkę. Zrobiła staranny makijaż, chociaż była sobota. Dla wojskowych naukowców z USAMRIID-u wyglądała pewnie na szarą eminencję z Wall Street. Dla Maggie była liną ratunkową. Maggie z trudem przełknęła ślinę, starannie ukryte emocje zaczęły ją dławić. Nie mogła wykrztusić słowa.

– Jak ty się tutaj dostałaś, na Boga?

– Żartujesz? Połowa pułkowników ze stolicy przychodzi do mnie na sesje.

Maggie zaśmiała się z trudem. Tak dobrze było znów się śmiać. Wiedziała jednak, że Gwen nie do końca żartuje. Na liście jej pacjentów znajdowali się kongresmani, senatorowie, a nawet pułkownicy.

– Boże, tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała z westchnieniem, które bardziej przypominało nabranie powietrza w płuca. Nie przejmowała się, że brzmi tak żałośnie, w końcu to Gwen.

– Spałaś trochę? – Gwen przyłożyła dłoń do szklanej ściany, jakby czuła, że Maggie wymaga przynajmniej namiastki dotyku. – Jadłaś coś?

Maggie się uśmiechnęła.

– Pytam poważnie, jadłaś? Potrzebujesz czegoś?

Maggie potrząsnęła głową, myśląc, że Gwen jak zwykle jej matkuje. Gwen Patterson była od niej starsza o piętnaście lat i czasami dawało się to odczuć.

W końcu Gwen poprosiła gestem, by usiadła. Sama zajęła miejsce na plastikowym krześle po swojej stronie szklanej ściany. I znowu Maggie przetarła oczy. Cholera jasna. Nie będzie płakać. To idiotyczne, że cztery ściany i stalowe hermetyczne drzwi doprowadzają człowieka na skraj załamania nerwowego, a łzy co rusz cisną się do oczu.

– Dostałaś moją wiadomość. Rozmawiałaś z Tullym – rzekła Maggie.

– Powinien był do mnie zadzwonić od razu.

– Nie miej mu za złe – powiedziała Maggie. – Popełniliśmy z Cunninghamem błąd. Powinniśmy byli się domyślić.

– Dobrze, więc wszystko mi opowiedz – odparła Gwen, poprawiając się na krześle i krzyżując nogi, jakby znalazły się w Old Ebbitt Grill, ich ulubionej knajpce, i szykowały do pogawędki. – Tylko niczego nie opuszczaj.

ROZDZIAŁ 46

USAMRIID

Pułkownik Benjamin Platt nie był pewien, jak długo siedział w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami, po ciemku. Siedział i gapił się przez okno, o wiele mniejsze niż to w gabinecie dowódcy. Widział, jak mokry szary dzień zamienia się w niebieski zmierzch. Wcześniej oparł głowę i zamknął oczy z nadzieją, że uciszy nieustający w głowie szum. Jego oczy, ciało i umysł domagały się chociaż kilku minut odpoczynku.

Zmęczenie dawało mu się we znaki. Pod powiekami przepływały urywki wspomnień. Ali tuląca białego szczeniaka Westie. Ali w ulubionej białej letniej sukience. Wyglądała jak mały anioł. Potem nagle pojawił się obraz Ali całej w błocie, z uśmiechem od ucha do ucha, z umazaną twarzą i brudnymi rękami, w których trzymała najbrzydszą żabę, jaką zdarzyło mu się widzieć. „Tatusiu, zobacz, co znaleźliśmy z Diggerem”.

Nagły ból w piersi kazał mu podnieść powieki. Usiadł prosto. Zacisnął mocno palce na skraju biurka, jakby inaczej mógł upaść.

Wstąpił do wojska, żeby mieć pieniądze na studia. Ale wierzył, naprawdę wierzył w każdą misję. Patriotyzm nie był dla niego pustym słowem. Szanował autorytety.

Wiedział, co znaczy honor. Cenił dyscyplinę. I zawsze wykonywał rozkazy. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby odmówić… aż do dzisiaj.

Wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Mijając biurko, zapalił lampkę i dalej krążył. Potem musiał się na moment zatrzymać i przypomnieć sobie, jaki to dzień. Ile godzin minęło od chwili, gdy razem z McCathym zabrali panią Kellerman i jej córkę z domu?

Dwadzieścia cztery godziny? Trzydzieści sześć?

Miał wrażenie, że upłynął tydzień. Potem znowu starał się zebrać myśli. Musi się skupić.

Co takiego powiedział Janklow? Jakich słów użył?

Powiedział: „Co by było, gdyby”. Platt był pewien, że tak właśnie brzmiały słowa dowódcy.

„Co by było, gdyby” to nie jest rozkaz.

Miał świadomość, że ostatecznie to on poniesie odpowiedzialność za tę misję, niezależnie od tego, czy postąpi zgodnie z sugestią Janklowa. Jeśli sprawa trafi do sądu wojskowego, kariera Platta, a nie Janklowa, będzie skończona. Stara jak świat linia obrony: „Ja tylko wykonywałem rozkaz” nie uratowała ostatnio żadnego żołnierza.

Musi podjąć decyzję. Jeśli będzie ostrożny, może zlekceważyć słowa dowódcy, zanim ten zda sobie z tego sprawę. A jeśli wystarczy mu sprytu, znajdzie sposób, by Janklow nie mógł zdradzić, jak brzmiał jego rozkaz – czy też sugestia.

Starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o szczepionce. Znał raporty, chociaż minął już prawie rok od czasu, gdy je czytał. Szczepionkę testowano wyłącznie na makakach. Najważniejsze było to, że skutek jej działania zależał od tego, jak szybko po kontakcie z wirusem podano ją małpom. Szczepienie trzydzieści minut po kontakcie ratowało dziewięćdziesiąt procent zwierząt. Dobę później dawało już tylko pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

Amerykańska Agencja do Spraw Żywności i Leków FDA nie zaakceptowała jeszcze tej szczepionki, poza sytuacjami, gdy do kontaktu z wirusem dochodziło w laboratorium badawczym. Na szczęście takie przypadki eboli należały do rzadkości. Ale z tego powodu istniało bardzo niewiele informacji na temat skuteczności szczepionki u ludzi. Nawet gdyby Platt zdecydował się ją teraz wypróbować, zwłaszcza na cywilach, wymagałoby to zgody FDA.

Odruchowo zerknął na zegarek.

Minęło trzydzieści sześć godzin od chwili, gdy dwoje jego pacjentów miało kontakt z wirusem. Dla pozostałej dwójki to już kilka dni. Nie mógł tracić czasu i czekać, aż FDA rozpatrzy jego prośbę o zastosowanie szczepionki w wyjątkowych okolicznościach.

Stanął przy oknie, ale nie zwracał uwagi na ciemność, jaka się przed nim roztaczała, pochłaniającą ostatnie oznaki zmierzchu.

Dostęp do szczepionki to nie problem. Ma ją na miejscu, dwa piętra wyżej. Posiadali jej sporo, gdyż USAMRIID należy do instytucji, które nad nią pracowały.

Platt usiadł. Poczuł ciężar zmęczenia i oparł łokcie na biurku. Potarł skronie, potem powieki. Wciąż huczało mu w głowie. Zerknął znów na zegarek. I wtedy podjął decyzję. „Co by było gdyby” to nie jest rozkaz. Janklow powiedział to tak, jak chciał powiedzieć. Decyzję zostawił Plattowi.

To jego decyzja.

A dla niego było oczywiste, co ma zrobić. Oczywiste było także to, że nie będzie się konsultował ani informował o tym McCathy’ego.

ROZDZIAŁ 47

Cela

Maggie zauważyła panikę w oczach przyjaciółki. Była zła. Znała Gwen Patterson zbyt długo, żeby ta stosowała wobec niej swoje zawodowe sztuczki.

– To dobry znak – rzekła Gwen spokojnym, pełnym optymizmu głosem, najwyraźniej nieświadoma, że oczy ją zdradzają. – Pułkownik Platt powiedział, że nie znaleźli tego w twojej krwi.

– Jeszcze nie znaleźli – uściśliła Maggie.

– Z tego co wiem o wirusach, działają dość szybko.

– Albo pozostają w uśpieniu w organizmie ofiary.

– Jesteś silna i zdrowa. Mówiłaś, że nigdy nie chorowałaś.

– Objawy mogą być lekkie, prawie jak przy grypie.

– Ale ta mała nie zwymiotowała na ciebie.

– Na mój rękaw. Chyba miałam jej wymiociny na rękawie. – Maggie usiłowała się uśmiechnąć, pociągając za troczki niebieskiej szpitalnej koszuli. – Musiałam zdjąć swoje ciuchy i włożyć tutejszy najnowszy model.

– To za mało. – Głos Gwen zadrżał. Zobaczyła, że Maggie to zauważyła. Poprawiła się na plastikowym krześle, wygładziła spódnicę, przeniosła telefon z prawej do lewej ręki, jakby te zabiegi miały dodać jej siły. – Jeśli miałaś je na rękawie, to za mało. Wirus przenosi się przez krew.

– Przez wszystkie płyny ustrojowe.

– Okej, przez wszystkie płyny. Ale przecież nie drogą wziewną.

– Testy laboratoryjne wykazały zdolność…

– Przestań! – krzyknęła Gwen tak nagle, że Maggie aż podskoczyła.

Wyglądało na to, że panika w oczach Gwen zamieni się we łzy. Maggie nie była pewna, dlaczego zaczęła mówić, jakby czytała z podręcznika. Mówiła na głos wszystkie te przerażające rzeczy, których się nauczyła, rzucała je w twarz Gwen, ponieważ Gwen była jej buforem. Ale to nie było fair. Maggie nie przywykła widzieć przyjaciółki w takim stanie. Gwen przygryzła wargi, wolną rękę zacisnęła w pięść. Zawsze była mentorką Maggie, jej oparciem, jej adwokatem. To ona z nich dwóch była tą opanowaną, logiczną optymistką. Ale to nie w porządku zmuszać ją do słuchania takich rzeczy, i to teraz.

Gwen oparła się wygodnie i głęboko odetchnęła. Maggie dopiero teraz zdała sobie sprawę, że boli ją serce. Panika Gwen była zaraźliwa.

– Wyjdziesz z tego – powiedziała Gwen.

Maggie przesunęła się na krześle. Nagle ogarnął ją chłód, otuliła się koszulą szczelniej. Teraz, kiedy Gwen wydawała się znów spokojna, panika przeszła na Maggie. Czyżby to było tylko chwilowe potknięcie Gwen, które natychmiast naprawiła, uprzytamniając sobie, że musi być silna za obydwie?

Patrzyła Maggie prosto w oczy.

– Chciałabyś, żebym do kogoś zadzwoniła?

– Już do ciebie dzwoniłam.

– A twoja matka?

– Zdenerwowałaby się tylko.

– Ale to matka.

– Tak, to moja matka, która nigdy się o mnie nie troszczyła. A ja teraz nie mogę się nią zająć. Wierz mi, tak by się to skończyło. Musiałabym się nią zająć.

Gwen skinęła głową z uśmiechem.

– Będzie dobrze. Mogłoby być inaczej, gdyby wymiociny tej małej wylądowały na twoich oczach czy wargach. Ale tak się nie stało.

– Stało się – rzekła Maggie, i na samo wspomnienie rozbolał ją żołądek. – To właśnie przydarzyło się Cunninghamowi.

ROZDZIAŁ 48

Reston, Wirginia

Emma rzuciła Harveyowi trochę popcornu. Garść dla niej, garść dla psa. Usiedli razem na podłodze w salonie, otoczeni przez najnowsze numery ulubionych kolorowych magazynów Emmy.

W „Bride” był artykuł zatytułowany: „Śliczna w różu”, ogłaszający miesiąc raka piersi. Emma wciąż nie mogła uwierzyć, że jej mama będzie miała różową suknię ślubną.

Okej, to nawet fajne, a jednak trudno sobie wyobrazić pannę młodą w innym kolorze niż w bieli. Prawdę mówiąc, gdyby nie ten artykuł i kilka podobnych, Emma pomyślałaby, że to jej mama – absolutna niewolnica mody – wymyśliła cały ten szum wokół różowych sukien ślubnych. Z drugiej strony, powiedzmy sobie szczerze, kto jest do tego stopnia poprawny politycznie, by wyrażać swoje poglądy za pomocą ślubnej sukni?

Nie, pracując w reklamie jej mama prawdopodobnie zobaczyła w całym tym zamieszaniu z różem wymówkę, by uniknąć bieli. Jej matka była mistrzynią w wysyłaniu podprogowych komunikatów. Jesteś tym, za kogo biorą cię inni. To jej ulubione stwierdzenie. W jej wypadku sprawdzało się w stu procentach. Poza tym miała już na sobie białą suknię, wychodząc za mąż za ojca Emmy. Nie

ma sensu przypominać tego ludziom, a równocześnie dlaczego nie udawać, że obchodzi ją problem raka piersi?

Emma była przekonana, że kiedy przyjdzie kolej na nią, wybierze biel. Oczywiście, w tej chwili to nie jest jej kłopot. Jak ma znaleźć czas na chłopaków, kiedy tata wciąż marudzi o podaniu do college'u, stypendium i poprawianiu ocen? A Emmę tak naprawdę obchodziły wyłącznie cudowne pantofle bez pięt, które pasowały do jej sukni druhny. Nawet jeśli nie przepadała za różem, w tych pantoflach wyglądała bosko.

Zerknęła na rozłożone wokół magazyny otwarte na stronach z artykułami, które koniecznie trzeba przeczytać. „Cztery rzeczy, których on nie odważy się ci powiedzieć", ostrzegano w „Cosmo". „Entertainment Weekly" pisał o reality show „Paszport do świata mody". Do „TV Show" i „The Office" jeszcze nie zaglądała. J. Lo lśniła pełnym blaskiem w „People". Same fascynujące rzeczy, a jednak Emma wybrała pakiet listów.

16 września 1982

Droga Liney!

Tak się cieszę, że mogłem Cię zobaczyć. Szkoda, że musiałaś wyjechać. Nie do wiary, jak za tobą tęsknię.

J.B. wciąż mówi o winogronowych żelkach, które mu przywiozłaś. Jest po prostu zazdrosny. Nigdy mi nie dorówna i nie zdobędzie kogoś takiego jak Ty. Wiesz, to

zabawne, nawet nie pamiętam, żebym Ci wspominał, że on najbardziej lubi winogronowe, ale ty jesteś zdumiewająca.

Nosisz ten T-shirt, który Ci podarowałem? Wiedziałem, że ci się spodoba. Tak strasznie chciałem ci go dać. Kupiłem go tamtego dnia, kiedy wybraliśmy się do Instytutu Sztuki. Pamiętasz, jak nie chciałem tam iść? Sztuka Watykanu? A kogo to obchodzi? Pamiętasz? Ale dzięki Tobie to była wspaniała przygoda i chciałem Ci się jakoś odwdzięczyć. Mam bzika na tym punkcie. Zawsze się odwdzięczam, jak ktoś zrobi mi przysługę. Wymknąłem się na chwilę niepostrzeżenie i kupiłem Ci ten T-shirt, kiedy stałaś tam jak zaczarowana. Dokładnie to było wtedy, jak oglądałaś obraz tego Caravaggia, „Zdjęcie z krzyża". Widzisz, zapamiętałem. Mówiłem Ci, że mam pamięć do szczegółów.

Chciałem Cię też jeszcze raz przeprosić za to, że Cię zostawiłem, kiedy dostarczyli pizzę, chociaż to była tylko godzina. Moja siostra jest straszną kretynką. Nie do wiary, że musiała zadzwonić akurat w sobotę wieczorem. Chciała wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, że nie pojechałem do domu. Ale jak Ci mówiłem, to już nie jest mój dom. Wiem, powiedziałaś, że nic się nie stało i wiem, że nie jesteś na mnie wściekła. Czasami chciałbym, żeby moja rodzina po prostu zniknęła.

Emma usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. Złożyła list i owinęła cały pakiet bluzą. W chwili, gdy ojciec wszedł do domu, wzięła do ręki magazyn „People".

ROZDZIAŁ 49

USAMRIID

Platt zajął mały pokój konferencyjny tuż obok swego gabinetu. Zaparzył dzbanek kawy i zjadł jabłko, które znalazł w szufladzie biurka. Zaczął szukać informacji, rozłożył na stole zawartość teczek. Odszukał odpowiednie dokumenty w laptopie, przejrzał je albo przeczytał, i wydrukował parę stron, które ułożył osobno. Zrobił kilka list i notatki.

Na jednej kartce zapisał informacje na temat eboli zair.

Objawy:

Stadium pierwsze (1-2 dni od zakażenia):

gorączka, silne bóle głowy, ból gardła, ból mięśni, osłabienie, krwawienie z nosa.

Następne stadium (od 3 dni do tygodnia od zakażenia):

wymioty, ból brzucha, żółtaczka, biegunka, zapalenie spojówek (czerwone oczy).

Stadium finalne (7 do 21 dni od zakażenia):

destrukcja tkanki, organy przestają pracować, silne krwawienia, szok, zatrzymanie oddechu, śmierć.

Na oddzielnej stercie leżało wszystko, co znalazł na temat szczepionki, w tym kopia oryginalnego raportu, który ukazał się po raz pierwszy w „Journal Public Library of

Science Pathogens”, w styczniu 2007. Zespół badawczy, który stworzył szczepionkę, pochodził z kanadyjskiego Państwowego Laboratorium Mikrobiologicznego w Winnipeg i USAMRIID-u w Fort Detrick.

Na drugiej kartce Platt zapisał informacje na temat szczepionki:

Najbardziej skuteczna, kiedy jest podana seriami porównywalnymi do szczepienia przeciw wściekliźnie.

Podana w ciągu 30 minut od zakażenia – 90% szans na przeżycie.

24 godziny po zakażeniu – 50% szans na przeżycie.

Podana przed zakażeniem potencjalnie chroni, chociaż do dziś tego nie udowodniono.

Wszystkie dotychczasowe testy przeprowadzano na makakach.

Nieliczne próby na ludziach. Zbyt mało danych, żeby określić szanse na przeżycie.

Nie zaaprobowana przez FDA.

Zastosowanie w wyjątkowych okolicznościach wymaga specjalnego pozwolenia FDA.

Platt podkreślił „wyjątkowe okoliczności”. Nie ma czasu na dyskusje z FDA, ale jako pracownik wojskowego instytutu badawczego spróbuje znaleźć wyjątek od reguły. Zrobi wszystko, co należy. Janklow powiedział, że podczas wojny i w strefie najwyższego zagrożenia czasami trzeba być gotowym do poniesienia ofiar. Ale tak samo trzeba czasem zrobić wyjątek od reguły.

Przypomniał sobie Afganistan i tymczasowy szpital polowy na tyle ciężarówki. Ilekroć znajdowali się pod ostrzałem, protokół nakazywał im odjechać, uciekać, ale nie można przerwać amputacji w połowie i szukać schronienia. Więc człowiek tkwi na linii ognia i usiłuje coś zrobić, by żołnierz na noszach się nie wykrwawił. I liczy, że nie wylecą w powietrze.

Nikt nigdy nie kwestionował tego, że nie trzymali się protokołu. W wyjątkowych okolicznościach człowiek robi to, co musi. Chroni i ratuje. Nie zostawia żołnierza, by wykrwawił się na śmierć. Nie skazuje na śmierć czterech ludzi, których miał ratować.

Platt szybko spakował to, co mogło mu się przydać, odkładając na później sprzątanie bałaganu. Wyszedł i zamknął drzwi na klucz, po czym pewnym krokiem ruszył do laboratoriów. Jako ich szef nie potrzebował niczyjego podpisu. Nie potrzebował pozwolenia Janklowa. Nie potrzebował McCathy’ego.

Teraz potrzebował wyłącznie szczepionki.

ROZDZIAŁ 50

Reston, Wirginia

Tully grzebał w szafkach kuchennych. Muszą mieć gdzieś papierowe talerze. Jak to możliwe, żeby nie mieli papierowych talerzy?

Emma oparła się o blat i go obserwowała. Oczywiście nie pomagała, tylko się przyglądała. Potem zapytała ni stąd, ni zowąd:

– Jak się poznaliście z mamą?

– Słucham? – Tak go zaskoczyła, że uderzył głową w drzwi otwartej szafki.

– Gdzie poznałeś mamę?

– Chyba na jakiejś imprezie – powiedział takim tonem, jakby to było bez znaczenia, zamiast dodać, że Caroline miała na sobie błękitny sweter i korale z pereł. Pomyślał wtedy, że nigdy nie spotkał dziewczyny z taką klasą. – Przyszła z moim kumplem.

– Odbiłeś mu ją?

Wreszcie znalazł te talerze.

– Niezupełnie – odparł. – Chyba uznała, że jestem czarujący czy coś takiego.

Wyjął ostrą paprykę i tarty parmezan. Nagle sobie przypomniał, że Caroline nie znosi ostrej papryki. Potem

zdał sobie sprawę, że nie wie, czy Gwen lubi ostrą paprykę albo tarty parmezan. Mimo wszystko położył je na blacie.

– A kiedy przestałeś? – zapytała zn

ów Emma.

– Kiedy co przestałem?

– Być czarujący.

Przestał szperać w szafce i zerknął na córkę.

– Musisz spytać o to mamę. – Odwrócił się do niej. – Skąd to nagłe zainteresowanie? Sądziłem, że cieszysz się ze ślubu mamy.

– Chyba cieszę się, że jest szczęśliwa. Tylko że… sama nie wiem. On bardzo różni się od ciebie.

– Widocznie mama potrzebowała zmiany.

– Chyba tak. Ale to taki głupek.

Tully nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Więc ja nie jestem głupkiem?

– Jasne, że nie. Ty jesteś… jak Indiana Jones.

– Indiana Jones? – Zdziwiło go, że coś takiego mówi nastolatka. Ale potem przypomniał sobie, że na ekrany wszedł kolejny film z tej serii. Mimo wszystko to dziwne, że jego córka porównuje go do kogoś, a zwłaszcza do bohatera filmowego, którego Tully akurat zna.

– No, Indiana Jones. Trochę gburowaty, ale luzak. Może nie taki gładki, za to zabawny… no i w ogóle cool.

– Cóż, Conrad uszczęśliwia twoją mamę. To się liczy, prawda?

– Tak, chyba tak. – Obeszła barek i zaczęła mu pomagać, wyjęła serwetki i sztućce. – A doktor Patterson… chyba

uszczęśliwia ciebie?

Wsadziła kosmyk włosów za ucho i wyjęła szklanki.

– Tak, to prawda.

– A Maggie?

– Co Maggie?

Emma wzruszyła ramionami. Unikała jego wzroku. Znowu poprawiła włosy.

– Chyba nie jest zainteresowana tym Nickiem czy jak mu tam.

– Dlaczego tak sądzisz?

– No tato. On nawet nie wiedział, że nie ma jej w domu. To znaczy, że do niego nie dzwoniła.

– Słuszna uwaga. – Tully skinął głową, zapisując to sobie w pamięci. Nie powiedział Morrelliemu, gdzie jest Maggie ani dlaczego zabiera jej psa. Pomyślał tak samo jak Emma – gdyby Maggie chciała, by facet to wiedział, sama by go poinformowała.

– Ale lubisz ją, nie?

– Maggie? Oczywiście, że lubię, Słodki Groszku. Maggie jest moją partnerką w pracy.

– Mama współpracowała jakiś czas z Conradem, zanim zaczęli się spotykać.

– To co innego. – Nie miał pojęcia, dlaczego Emma poruszyła ten temat. – Oni nie pracowali w tej samej firmie. Twoja mama jest szefową agencji reklamowej. A on? Wiceprezesem jakiejś firmy farmaceutycznej.

Otworzył lodówkę, by sprawdzić zapas wody sodowej, a tak naprawdę chciał kazać Emmie usiąść i dowiedzieć się,

o co jej właściwie chodzi. Miał jednak świadomość, że nie powinien tego robić, bo Emma już nigdy o nic go nie zapyta.

– Maggie i ja przyjaźnimy się – rzekł i sprawdził, co jest z maszynką do lodu. – Zobaczysz, że polubisz Gwen.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia. Odrzuciła włosy dla podkreślenia tego faktu.

Jak na zawołanie odezwał się dzwonek do drzwi. Harvey, obrońca Emmy, wpadł do kuchni i ją okrążył. Emma uśmiechnęła się, a Tully wiedział, że to pies wywołał ten uśmiech, a nie jego słowa. Poszedł otworzyć drzwi i wziął głęboki oddech, gdy był już pewien, że córka go nie widzi. Wszystko się uda. Dwie kobiety, na których mu zależy, oczywiście się polubią.

ROZDZIAŁ 51

U Razzy'ego
Pensacola, Floryda

Rick Ragazzi wprost nie wierzył własnemu szczęściu. Właśnie wtedy, kiedy fachman skończył naprawiać lodówkę – no dobra, zażądał siedemset siedemdziesiąt osiem dolców – Rick dostał telefon od swojego najlepszego kelnera, który oświadczył, że nie przyjdzie dziś do pracy. Mówił coś o wypadku skutera wodnego i że jest na oddziale ratunkowym szpitala baptystów. Rick słyszał w tle syreny karetek.

Sobotni wieczór to najgorszy moment na znalezienie zastępstwa, zwłaszcza na godzinę przed zmianą obsługi. Co za tym idzie, Rick musiał zastąpić tego cholernego kelnera. Czuł się okropnie, miał wszystkie objawy rozwiniętej grypy – gorączkę, ból głowy, ból mięśni i krwawienie z nosa, które ustawało chwilami, i wtedy mógł przyjmować zamówienia. Gdy tylko wracał do kuchni, znowu się zaczynało.

Joey z tego powodu mu nagadał, nazwał go kokainistą, bo wiedział, że może tak mówić bezkarnie. Rick miał tyle samo wspólnego z kokainistą, co Joey z ministrantem. To było nawet zabawne aż do czwartego czy piątego razu, ale później kuzyn Joey zaczął się niepokoić. Złapał Ricka za rękę i odciągnął go na bok.

– Co się dzieje, stary? Nic ci nie jest? Kiepsko wyglądasz.

– To tylko jakiś wirus – odparł Rick.

Potem zdał sobie sprawę, że pewnie zaraża tym czymś klientów. Musi być ostrożniejszy, bo już niechcący zamoczył palec w czyjejś zupie. Mały chłopiec przy stoliku numer pięć wtykał mu frytki do ucha za każdym razem, gdy Rick nachylał się, by obsłużyć pozostałych członków rodziny. Kto wie, co jeszcze się stało? Nie czuł się najlepiej. Nie potrafił się skupić. Pod koniec wieczoru przestało go to obchodzić.

Joey wziął go znowu na bok, kiedy przyszli ci goście od deseru. Kazał mu wypić jakąś mieszankę, gęstą i słodką jak syrop, o smaku czarnej lukrecji i kawy.

– Mój tata przysięga, że to działa – rzekł Joey. – Twierdzi, że wyleczy wszystko od kaca do wąglika. Mogę potwierdzić, jeśli chodzi o kaca. Na szczęście nie mam pojęcia o wągliku.

– O czym ty gadasz? Wuj Vic nigdy nie był pijany ani nie chorował.

– Tak, akurat – żachnął się Joey. – Mama twierdzi, że niezły był z niego balangowicz, zanim wstąpił do FBI.

Rick nie mógł oprzeć się myśli, że Joey powiedział to jeśli nie z dumą, to z satysfakcją.

– Ale my znamy go tylko jako Pana Agenta – ciągnął Joey. – Pieprzonego Macho. Dyktatora.

– Słyszę rozżalenie w twoim głosie.

– Nie, nie jestem rozżalony. Chciałbym tylko, żeby czasami pamiętał, że nie jest taki doskonały.

Rick patrzył na Joeya, który wrócił do swojego sufletu. I z całą jasnością uświadomił sobie, że nigdy nie będzie w stanie powiedzieć kuzynowi o tysiącu dolarów, które przysłał jego ojciec.

ROZDZIAŁ 52

Reston, Wirginia

– Pośrodku stołu będzie dekoracja z białych i różowych kalii – mówiła Emma do Gwen.

Tully siedział po drugiej stronie stołu z nieszczęśliwą miną, mając nadzieję, że wydarzy się coś, co sprawi, że jego córka przestanie opowiadać o zbliżającym się ślubie jego byłej żony. Rozważał nawet, czy pod stołem jej nie kopnąć.

Gwen zaś uprzejmie słuchała i potakiwała. Tully wyobrażał sobie, że tak samo słucha swych pacjentów, zwłaszcza tych najbardziej narcystycznych. No ale z drugiej strony, czy jest ktoś bardziej skoncentrowany na sobie niż nastolatek?

Dopiero kiedy zjadł dwa kawałki pizzy – jeden jego ulubionej supreme i drugi pepperoni – uprzytomnił sobie, że Gwen jakimś cudem odgadła ich gusty. Jeśli chodzi o niego, to było zrozumiałe, gdyż chodzili razem na pizzę. Ale czy kiedykolwiek wspominał, co lubi Emma? Czy to przypadek, że Gwen wybrała pepperoni? W końcu pepperoni lubi wiele osób.

Gwen uśmiechała się do Emmy. Mój Boże, ta kobieta ma wspaniały uśmiech. Marszczy odrobinę jej nos i podkreśla maleńkie piegi. A jednak tego dnia ten uśmiech był jakiś sztuczny. Oznajmiła, że właśnie wraca od Maggie.

– I jak ona się czuje? – zapytał.

– Potem ci powiem – odparła szybko. Wyraźnie nie chciała o tym rozmawiać podczas kolacji ani w obecności Emmy.

Spytała za to Emmę o pantofelki bez pięt, które tradycyjnie noszą druhny. Tully uznał, że jest cierpiętnicą, choć całkiem dobrze udawała zainteresowanie.

Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że to nie przez przypadek Gwen przyniosła ich ulubioną pizzę. Gwen jest psychologiem, na Boga, a psycholog niczego nie zgaduje. Wszystkie wcześniejsze pytania Emmy na temat jego i Caroline obudziły w nim nostalgię. Gwen, która przyszła z ich ulubioną pizzą, przypomniała mu, że kiedyś Caroline kupowała mu jego ulubione żelki. Nigdy nie był pewien, czy robiła to, ponieważ jej na nim zależało, czy chciała wzbudzić zazdrość w swoim byłym chłopaku. Motywy Caroline nigdy nie były do końca jasne i jednoznaczne.

– Zaprosili ponad dwie setki gości – oznajmiła Emma, jakby to był jakiś konkurs.

Tully pomyślał, że Caroline niewiele się zmieniła. Przypuszczalnie chce zrobić wrażenie na kolegach i znajomych. Nieraz zastanawiał się podczas ich małżeństwa, czy żałowała, że za niego wyszła. Zwłaszcza kiedy zaczął pracować w biurze FBI w Cleveland. Nie był ważniakiem ze stolicy, o którym trąbią w wieczornych wiadomościach, i nie rozwiązywał sprawy Unabombera czy snajperów z Beltway, nie brał nawet udziału w przeczesywaniu lasów w poszukiwaniu Erica Rudolpha.

Caroline, niezależnie od swych sukcesów – była w końcu szefową ważnej agencji reklamowej – wciąż zdawała się szukać kogoś albo czegoś, co jeszcze doda jej znaczenia. Jestem niesprawiedliwy, pomyślał Tully. Może naprawdę kocha tego swojego VIP-a. Uświadomił sobie, że poza pewną nostalgią nie ma już poczucia straty, jakie towarzyszyło mu w pierwszych dniach po rozwodzie. Nie pamiętał nawet, kiedy zniknęło. Aż do tej chwili nie wiedział, że zanikło zupełnie. Ale już nie cierpiał i to było ważne.

W końcu Emma zrobiła dość długą przerwę, żeby nabrać powietrza, i Gwen mogła się wtrącić. Kiedy Tully zaczął znowu przysłuchiwać się ich wymianie zdań, nie wierzył własnym uszom. Od różowych sukien ślubnych i pantofli bez pięt przeszły do opowieści Gwen o wydziale projektowania odzieży na Uniwersytecie Nowojorskim.

Boże, on kocha tę kobietę. Nagle poczuł jakiś skurcz w żołądku. To był wieczór objawień. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zależy mu na Gwen, a może nawet, jak bardzo ją kocha.

Usiadł wygodnie i przyglądał się Emmie i Gwen. Chyba zapomniały, że on znajduje się w tym samym pokoju, a co więcej, siedzi przy tym samym stole. Harvey położył mu ufnie łeb na kolanie. Tully go poklepał. Więź między nimi umacniała się, kiedy zostali odrzuceni przez ich panie. Choć szczerze mówiąc, Harveyowi chodziło o kawałek pizzy.

Rozmowę przerwała im komórka Emmy. Emma sięgnęła po telefon, lecz nie od razu odebrała.

– To Andrea. Mamy napisać pracę na anglika.

Tully natychmiast zrozumiał, że to wymówka. Prawdopodobnie zaplanowały z Andreą tę przerwę, a raczej ucieczkę. Mimo to Emma czekała na pozwolenie ojca. I miała minę... przepraszającą, a może nawet odrobinę smutną. Jego córka zaskoczyła samą siebie, bo dobrze się czuła w towarzystwie Gwen.

– Idź! – Machnął ręką, pozwalając jej wstać od stołu.

– To nie potrwa długo – powiedziała Emma do Gwen.

Tully odczekał, aż córka zniknie w sypialni.

– Ona cię lubi. – Wiedział, że mówi, jakby sam miał naście lat.

– Czy to ważne?

Nie takiej reakcji się spodziewał. Oczywiście, że to ważne, a jednak na chwilę zamilkł. Najwyraźniej Gwen nie to chciała usłyszeć.

– Czy to źle, że cieszyłbym się, gdyby dwie najważniejsze kobiety w moim życiu darzyły się sympatią?

– A gdybyśmy się nie polubiły?

Dobre pytanie. Uzasadnione. A on nawet go sobie nie zadał.

– Przepraszam – rzekła półgłosem, nie dając mu szansy na odpowiedź. Oparła łokcie na stole, wsparła brodę na rękach. Wyglądała na przemęczoną. – Mówią, że Maggie i Cunningham zarazili się wirusem.

– Więc to nie wąglik ani rycyna? – Uznał, że to dobra wiadomość, ale Gwen miała dość przerażoną minę.

– To ebola.

– Jezu! Jak to możliwe? Skąd się tu wzięła? Ebola nie występuje w Stanach.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Był jeden przypadek, tutaj, w Reston. W latach osiemdziesiątych. Rząd to zatuszował. Do prywatnego laboratorium przywieziono statkiem małpy. Zaczęły chorować, a potem zdychać. Ale to był 1989 rok. Prawie dwadzieścia lat temu.

Tully uniósł brwi, zastanawiając się, skąd Gwen o tym wie.

– Sprawdziłam to po wyjściu od Maggie – oznajmiła Gwen. – To był wirus ebola, ale nie przeniósł się na ludzi. Ebola reston, tak go nazwali. Nadają nazwy różnym odmianom wirusa od miejsca, gdzie występuje po raz pierwszy.

– A Maggie i Cunningham? Czy to ebola reston?

– Ebola zair.

– Ten groźny?

– Nazywają go „wymiataczem”.

Tully się wzdrygnął. Gwen to zauważyła i odwróciła wzrok. Za późno. Zobaczył strach w jej oczach. Potrząsnął papierowym talerzem z okruchami pizzy.

– Ta informacja może pomóc odnaleźć tego terrorystę. Jeśli nie podróżował do Afryki w ciągu ostatniego pół roku, musiał to mieć z jakiegoś laboratorium, może nawet rządowego czy uniwersyteckiego. Nie mógł sobie tego zamówić.

Tully bębnił palcami po stole. Sytuacja jest gorsza, niż się spodziewał. To znaczy, że gość jest dużo bardziej

niebezpieczny, niż uważał. Miał nie tylko motyw i okazję. Miał też dostęp.

– Wąglik w 2001 – rzekł Tully, czekając, aż Gwen wróci do niego spojrzeniem. – Pamiętasz tę sprawę?

– Niezbyt dobrze. Pamiętam, że listy wyglądały zwyczajnie i były wysłane pocztą. Jeden wylądował w biurze Toma Brokawa, kilka innych u kongresmanów. Tak? To było po 11 września. Byłam zbyt otępiała, żeby się tym przejąć.

– Dwadzieścia dwa przypadki. Pięć śmiertelnych ofiar. Nikomu nie postawiono zarzutów, nikogo nie skazano.

Tym razem Gwen uniosła brwi.

– George Sloane, ten facet od analizy dokumentów, dzisiaj rano o tym wspomniał, więc trochę poszperałem.

Przestał bębnić palcami, podrapał się po brodzie i przekonał się, że zaciska zęby.

– Jeden z podejrzanych był naukowcem – ciągnął. – Był kiedyś pracownikiem USAMRIID-u. Oskarżano go o kradzież próbek wąglika z laboratorium w Fort Detrick. – Przestraszył się tego, co powiedział. – Podejrzewam, że mają tam też ebolę.

ROZDZIAŁ 53

Chicago

Doktor Claire Antonelli miała sobie za złe, że zawiodła Verę Schroder. Twarz kobiety była lustrzanym odbiciem twarzy męża, pozbawionym wyrazu i jakichkolwiek emocji obliczem żywego trupa. Ale u Very tę zmianę spowodował szok, a nie ból.

Claire zaprowadziła ją z poczekalni przed blokiem operacyjnym do pomieszczenia na tym samym piętrze, przeznaczonego dla rodzin. Chciała, by Vera odpoczęła, nim będą w stanie powiedzieć jej coś więcej. Chociaż nie miała pojęcia, co mogliby jeszcze dodać. Ustabilizowali Markusa, ale po tym, co widziała, nie spodziewała się, by przeżył noc. A najgorsze było to, że nie zbliżyli się ani o krok do wyjaśnienia powodu jego stanu.

Claire zdążyła zadzwonić do syna. Zapytała go o plany na sobotni wieczór. Cokolwiek by od niego usłyszała, nie miałoby to dla niej w tej chwili znaczenia. Po prostu chciała usłyszeć jego głos, upewnić się, że u niego wszystko w porządku, przypomnieć sobie, jaka z niej szczęściara.

Syn spytał, czy może wybrać się z kolegami na mecz piłki nożnej między drużynami dwóch college’ów. Zamówili sobie duże kanapki z Chicago Dog. Żadnego piwa, obiecał. Pusta obietnica, ale Claire wiedziała, że nie musi się o niego

martwić. Uzgodnili godzinę, o której syn ma wrócić do domu. Pytał jeszcze, kiedy ona wróci. Jak jej minął dzień? Czy ma zamówić dla niej dodatkową kanapkę?

Tak, bardzo dobrze, naprawdę.

Potem Claire dołączyła do doktora Milesa, który siedział w swoim małym gabinecie na końcu korytarza. Tkwił milczący za biurkiem, ze złożonymi rękami. Kiedy Claire weszła do gabinetu, nie od razu się odezwał. Gdy usiadła naprzeciwko niego, tylko skinął głową. Odniosła wrażenie, że siedzą tak całe wieki.

Potem Miles odchylił się, jego krzesło zaskrzypiało. Podrapał się w świeży zarost, po czym ponownie splótł ramiona na piersi. Nadal nic nie mówił.

Claire zerknęła na zegarek, a Miles to zauważył. Wszystko, co miała do powiedzenia, zdawało się zbyt oczywiste albo niekonieczne. Minęło kilka godzin od chwili, gdy zaszyli jamę brzuszną Markusa i wysłali wycinek do laboratorium. Teraz pozostało im tylko czekanie.

Na biurku Milesa zadzwonił telefon. Oboje podskoczyli. Miles chwycił słuchawkę swoją potężną dłonią.

– Doktor Miles.

Claire obserwowała go, szukała w jego oczach jakiegoś wyjaśnienia. Przeniósł wzrok z drzwi na jej twarz, a potem na biurko i słuchał. Nie zdążyła wykryć w jego spojrzeniu ulgi, paniki czy konsternacji. Potem przygarbił plecy, a zmarszczki na jego czole pogłębiły się jeszcze bardziej.

– Jakie potwierdzenie? – spytał i tym razem popatrzył na Claire. W oczach mężczyzny, który stanowił dla niej oparcie,

nagle pojawił się strach.

Słuchał znów przez parę minut, po czym rzekł:

– Okej – i odłożył słuchawkę. – Muszą wysłać wycinek do CDC, żeby uzyskać potwierdzenie – rzekł do Claire.

– Czy to gronkowiec złocisty? – zapytała.

Na oddziałach szpitalnych zakażenie gronkowcem nie należy do rzadkości. Gronkowiec złocisty jest najgorszą odmianą, o bardzo wysokiej odporności na antybiotyki. Nie tak dawno wykryto go w jednej ze szkół w Wirginii. Cała okolica została zamknięta, a administratorzy i pracownicy służby zdrowia czyścili i dezynfekowali obiekty.

– Gorzej – odparł Miles.

– To znaczy? Gorzej niż gronkowiec złocisty?

– Oni uważają, że to wirus.

Claire patrzyła na niego, czekając na dalsze informacje. Jeśli wysyłają materiał do CDC, muszą podejrzewać, że jest bardzo zakaźny.

– Jeszcze nie mieliśmy z tym do czynienia – podjął Miles.

– Krwawienia, fioletowe plamy na ciele, gorączka... – Claire urwała. – Dżuma? Ospa wietrzna?

– Chyba nie powinniśmy zgadywać. – Wstał, w ten sposób zawsze kończył rozmowę. – Poza tym nie mamy na to czasu. Kazali mi zamknąć to piętro i blok operacyjny.

– Kwarantanna?

Skinął głową.

– Nikomu nie wolno opuszczać szpitala.

ROZDZIAŁ 54

Niedziela, 30 września 2007
Cela

Maggie stała w łazience, małej, ale przynajmniej ukrytej przez wzrokiem intruzów. Pod gorącym prysznicem próbowała pozbyć się przejmującego chłodu, który przeniknął ją do szpiku kości. Potem włożyła czystą szpitalną koszulę – był tu spory zapas takich koszul. Nie liczyła ich, by nie myśleć, jak długo zamierzają ją tutaj trzymać.

Z wilgotnymi włosami położyła się do łóżka i zdrzemnęła. Nie wiedziała, ile to trwało. Powiedziała sobie, że musi zamknąć oczy, chociaż na minutę albo dwie. Po całym dniu siedzenia przy komputerze rozbolała ją głowa. Tak, to tylko zmęczenie oczu. Niedostatek snu. Stres. A nie żaden wirus pasożyt, który mnoży się w jej krwiobiegu.

Nie wolno jej dopuszczać do siebie takich myśli. Nie powinna tego robić. A jednak przerażające wizje nawiedzały ją we śnie. Zupełnie jak w filmie wyświetlanym na starym projektorze, który się rwie i zacina, jakieś fioletowe i różowe ameby przeskakiwały z jednej strony na drugą, wpadały na siebie i dzieliły się na pół. Kolejne zderzenie, kolejny podział. Dziesiątki zamieniały się w setki.

Kilka razy zamrugała powiekami, nim go zauważyła. Stał po drugiej stronie szklanej ściany. Patrzył na nią, pilnował jej. Takie odniosła wrażenie. Ciepłe brązowe oczy, poważne i smutne – wciąż na straży. Na sekundę czy dwie w tym półśnie prawie przekonała samą siebie, że zdoła ją ochronić.

Uśmiechnął się, widząc, że się obudziła, lecz on nie ruszył się z miejsca, ani drgnął, nie pomachał do niej. Tylko stał z rękami splecionymi na piersi i uniósł kąciki warg w uśmiechu. Jego uśmiech i jego oczy.

Usiadła na brzegu łóżka, rozczarowana, że pulsowanie w tyle głowy nie ustaje. Towarzyszyło mu teraz przyspieszone bicie serca, które spowodowały te ameby. Odpoczynek nie przyniósł jej ulgi.

Równocześnie sięgnęli po słuchawki. Jakby na znak.

– Nie spodziewałam się ujrzeć pana tak szybko.

– Żartuje pani? Jest pani moją ulubioną pacjentką.

Jak na pułkownika jest naprawdę czarujący. Dołeczki w policzkach jeszcze wzmacniały ten efekt.

– Jak samopoczucie? – Znowu spoważniał, w oczach miał szczerą troskę.

Koniec żartów.

– Boli mnie głowa. – Normalnie by to zbagatelizowała, tym razem jednak powinien wiedzieć.

– Gdzie dokładnie panią boli?

Usiadła, on także usiadł. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w pulsujący ból.

– Z tyłu – odparła, nie podnosząc powiek. – U podstawy czaszki, tuż nad karkiem. To bardziej pulsowanie niż tępy ból.

Kiedy otworzyła oczy, spotkali się wzrokiem. Nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Przypomniała sobie, że jest dobry w skrywaniu emocji. Jest lekarzem i żołnierzem, to kombinacja, która gwarantuje sukces. Zdradzały go tylko oczy, mówiły jej, że nie jest łatwo, że to ciągłe wyzwanie.

– W pani krwi nadal nie widać wirusa. Nie ma pani żadnych objawów. Zwykle ból jest za oczami, krąży, jakby ktoś stukał w czoło od wewnątrz. Niewykluczone, że pani złe samopoczucie wynika ze stresu i zmęczenia. Poza tym niewiele pani jadła. Każę pani przysłać wszystko, co mamy najlepszego. Trzeba wzmocnić pani system odpornościowy. Musi pani być silna. I dopilnuję, żeby doktor Drummond przyniosła pani advil w kapsułkach.

Doktor Drummond. Maggie dopiero teraz uświadomiła sobie, że do tej pory nie przedstawiono jej kobiety w niebieskim kosmicznym kombinezonie. A ona dopiero po dwóch dniach zastanowiła się, dlaczego nie spytała, z kim ma do czynienia.

Będąc profesjonalnym cynikiem, Maggie zlustrowała Platta, szukając jakiegoś pęknięcia w tej gładkiej fasadzie, jakiegoś znaku, że coś przed nią ukrywa.

– Nie wierzy mi pani – zaczął, zaskakując ją. Nie zdawała sobie sprawy, że jej sceptycyzm jest aż tak widoczny.

– Czytałam, że wirus może tkwić uśpiony w organizmie ofiary – powiedziała szybko.

Musi go zaatakować i trafić swoją najlepszą bronią. Żadnych przeprosin, żadnych usprawiedliwień. W końcu chodzi o jej życie, na Boga.

Spostrzegła, że Platt się zawahał. Czy ona wie zbyt wiele? Czy on żałuje, że był z nią taki szczery?

– Wirus żyje gdzieś w Afryce. Tak, uważamy, że trwa uśpiony w jakimś idealnym dla niego żywicielu, choć nie potrafimy powiedzieć, co to jest. Niewykluczone, że chodzi o nietoperze. Naukowcy przeszukali każdy centymetr jaskini Kitum u podnóża Mount Elgon na granicy Kenii i Ugandy, szukając jakiegokolwiek śladu eboli. Chcieli dowiedzieć się, gdzie ten wirus żyje, kiedy nie przeskakuje na naczelne albo ludzi. Ale jedno nie ulega wątpliwości. – Czekał, aż Maggie będzie go słuchać z uwagą, a może chciał być pewien, że mu uwierzy. – Ebola nie tkwi uśpiona w małpach ani w ludziach. Niszczy ich, i to szybko.

– Ale przecież okres inkubacji trwa od dwóch do dwudziestu jeden dni. Czy to znaczy, że można mieć kontakt z wirusem i przez dwadzieścia jeden dni nie mieć o tym pojęcia?

– Objawy pojawiają się zazwyczaj w okresie od jednego do trzech dni. Okres inkubacji oznacza czas potrzebny wirusowi na cały proces, od pierwszych objawów przez rozwój choroby, zaprzestanie pracy organów aż do...

– Wykrwawienia się na śmierć – dokończyła.

– Tak – potwierdził i kontynuował: – Proszę zrozumieć, nie wykluczam, że u osoby zarażonej objawy pojawią się dopiero dwudziestego pierwszego dnia. Mówię pani to, co

jest statystycznie prawdopodobne. To, co zostało udowodnione, i co sam widziałem. Ten wirus zazwyczaj nie tkwi uśpiony w ludzkim organizmie. Instynkt każe mu się mnożyć, i to migiem.

Maggie kiwnęła głową. Dopiero po chwili była w stanie skupić wzrok w jednym miejscu.

Platt był świadomy, że jej nie przekonał. Jego szczere wyjaśnienia nie uspokoiły tej kobiety. Zaczęło jej się zdawać, że pulsujący ból przeniósł się za oczy. Widziała jak przez mgłę. Nie przejmowała się, że on na nią patrzy.

Pochylił się i pociągnął za wycięcie swetra pod szyją, jakby nagle zrobiło mu się gorąco. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze, ale starał się nie dmuchać do słuchawki.

– Nawet jeśli pojawią się u pani jakieś objawy, nie oznacza to wyroku.

– Ebola zair? Wymiatacz? – Uniosła brwi, dając mu znać, że odrobiła zadanie domowe. W tym punkcie nie da się nabrać.

Nie była pewna, skąd w niej tyle cynizmu, najpierw w rozmowie z Gwen, a teraz z Plattem. Odezwał się jej instynkt samozachowawczy. W chwilach strachu miała zwyczaj oglądać się przez ramię i sprawdzać każdy cień, a nie siedzieć bezczynnie i czekać, aż ktoś rzuci jej koło ratunkowe. W tym szczelnie zamkniętym pokoju nie miała nic innego do roboty prócz sprawdzania cieni.

Platt znowu westchnął. Tym razem ze zmęczenia, nie z frustracji. Potarł brodę, a potem policzek.

Maggie zauważyła jego długie palce, starannie obcięte paznokcie, wypukłe żyły. Była to ręka silna, a równocześnie delikatna. Pomasował skronie. Mylnie wziął jej obserwacje za przemyśliwanie. Uznał pewnie, że w końcu skupiła na nim uwagę. Jego poważne spojrzenie nie opuszczało jej twarzy przez długą minutę, zanim powiedział:

– Musi mi pani zaufać.

Poczekał, aż te słowa zapadną jej w pamięć. Maggie milczała, ale nie protestowała, więc dodał:

– Istnieje szczepionka. Nie została jeszcze zaakceptowana przez FDA. Udowodniono, że jest bezpieczna i skuteczna w przypadku naczelnych. Mieliśmy tylko parę okazji zastosować ją u ludzi, w laboratorium, kiedy jeden z naukowców przez przypadek się zaraził.

Tym razem Maggie usiadła prosto. Nie czytała niczego na temat tej szczepionki. W całej literaturze, na jaką trafiła, mówiono tylko o leczeniu wspierającym, żeby pacjent w jak najlepszym stanie czekał na to, co nieuniknione.

– Jest najbardziej skuteczna – ciągnął Platt – kiedy poda się serię zastrzyków. Podobnie jak przy wściekliźnie. Pomaga systemowi odpornościowemu walczyć z wirusem. Ale rezultat zależy też od tego, jak szybko się ją poda. Nie będę pani okłamywał. Jeżeli system odpornościowy został już osłabiony albo pokazały się pierwsze symptomy, istnieje pięćdziesiąt procent szansy. Ale to nie pani przypadek.

Maggie nie musiała pytać. Zgadywała, że to przypadek pani Kellerman. Czy także Mary Louise? Cunninghama?

– Chciałbym podać pani tę szczepionkę. Nie mam zgody FDA na zastosowanie jej u cywilów, więc nie mogę tego zrobić, jeśli pani nie podpisze...

– Podpiszę wszystko, co trzeba – przerwała mu. To nie wymagało zastanowienia.

Był chyba zaskoczony, że poszło mu tak łatwo. Ale nie zadawał jej żadnych pytań, nie dopytywał się, czy chce to jeszcze rozważyć. A Maggie rozumiała, że nie ma czasu na pytania.

– Doktor Drummond przyjdzie niedługo z pierwszą dawką – wstał, kończąc ich rozmowę. – Poproszę, żeby przyniesiono pani coś do jedzenia. Musi pani jeść. Ma pani jakieś życzenia?

– Mam jedną prośbę – odparła. – Ale nie chodzi o jedzenie.

Skinął głową i czekał.

– Chcę się zobaczyć z dyrektorem Cunninghamem.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Nie ma go tutaj?

– Nie, jest. Czemu pani myśli, że go tu nie ma?

– Nie muszę z nim rozmawiać. Chcę go tylko... zobaczyć. – Wyglądało na to, że Platt nie zmieni stanowiska. – Muszę go zobaczyć. Przekonać się, że jest dobrze.

Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Maggie dostrzegła, że zacisnął zęby. Znała jego argumenty. Nie mógł wyjawić nic na temat żadnego z pacjentów. Zapewne sprawa została opatrzona klauzulą tajności. Nie pozwolą Maggie zdradzić nikomu, gdzie przebywała. Sądziła, że właśnie z tym

problemem zmaga się pułkownik. Czy złamać reguły i zgodzić się na spotkanie dwojga pacjentów.

– Nie mogę na to zezwolić – oświadczył Platt. – Ponieważ z nim nie jest dobrze.

ROZDZIAŁ 55

Chicago

Doktor Claire Antonelli oparła czoło o szybę na oddziale intensywnej terapii dla noworodków. Niemowlaki, w tym syn państwa Haney, różowe i ruchliwe, na pierwszy rzut oka wyglądały tak samo jak dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Ale teraz, z jej winy, cały oddział poddano kwarantannie.

Claire spędziła noc, pobierając krew od wszystkich, którzy mogli zostać zakażeni przez Markusa Schrodera. Wstępny raport CDC wywołał szok u kilkorga pracowników administracyjnych i lekarzy. Doktor Miles naciskał na zwołanie konferencji prasowej, żeby ostrzec tych, którzy przebywali w szpitalu w ciągu ostatnich kilku dni.

Administracja wolała z tym zaczekać. CDC także chciało czekać. Wszyscy bali się paniki. Ale Claire już wyczuwała panikę w milczących spojrzeniach, wzruszeniach ramion, które zastąpiły odpowiedzi, nerwowym napięciu, które już wytrącało ludzi z równowagi. Tego nie da się długo ukrywać. Pracownicy powiedzą swoim żonom czy mężom, że nie mogą wrócić do domu po dyżurze. Rodziny zaczną się domagać wyjaśnień, dlaczego nie wolno im odwiedzać bliskich. Rodzice zechcą widzieć swoje nowo narodzone

dzieci. Claire była przekonana, że panika wybuchnie, i to wkrótce.

Reprezentant CDC, Roger Bix, przyjechał o czwartej nad ranem, ubrany w kurtkę drużyny bejsbolowej Atlanta Braves i kowbojskie buty ze szpiczastymi czubkami. Bardziej przypominał agenta sportowców niż specjalistę od chorób zakaźnych. Był też młody – zbyt młody, pomyślała Claire. Młody i pewny siebie, wydawał polecenia, nim się przedstawił. Niedobry styl.

Claire zrobiła sobie przerwę i zajrzała na oddział noworodków. Nie po to, by sobie uświadomić, że śmiertelny wirus mógł zaatakować te słodkie dzieciaki, tylko dlatego, by jej przypomniały, że wciąż istnieje dobro i niewinność.

Doktor Miles prosił ją, by się zastanowiła, gdzie Markus Schroder mógł zarazić się wirusem. CDC do poniedziałku nie potwierdzi, jaki to wirus, ale Miles już powiedział Claire, że są prawie pewni, iż to ebola.

Markus był księgowym w firmie prawniczej w Chicago. Kilka dni wcześniej, szukając jakiegoś wyjaśnienia, Claire spytała Verę, gdzie Markus mógł złapać coś tak niecodziennego. Ale oni wyjeżdżali tylko dwukrotnie do Terre Haute w stanie Indiana, gdzie od lat mieściła się firma należąca do rodziny Very. Nie odbyli żadnej wyprawy w najmniejszym stopniu przypominającej afrykańskie safari ani wycieczki objazdowej po laboratoriach badawczych. Nie byli w żadnym miejscu, gdzie Markus mógłby mieć kontakt z czymś takim jak ebola.

Teraz Vera czuwała w milczeniu przy łóżku Markusa. On był nieprzytomny, a jej twarz przypominała jego wcześniejsze oblicze, maskę bez wyrazu. Prawie nie reagowała na bodźce, nie wspominając już o pytaniach, jakie jej zadawano.

Ale, jak zauważyła Claire, i od razu doniosła o tym Milesowi, Vera nie sprawiała wrażenia zarażonej. W każdym razie Claire nie zaobserwowała u niej żadnych objawów. Wkrótce upewnią się co do tego na podstawie badania krwi. To było najtrudniejsze pobranie, jakie Claire tej nocy musiała wykonać. Vera najpierw odmówiła. Oznajmiła, że nie życzy sobie, by Claire dotykała jej czy męża. Potem jednak uległa, wyciągnęła rękę i szepnęła – strach na moment przebił się przez jej maskę – że nie chce przechodzić przez to, przez co przechodzi Markus.

– Jak pani się czuje? – spytał doktor Miles, stając za plecami Claire.

Nie słyszała, jak się zbliżał. Nie zauważyła jego odbicia w szybie.

– Jestem zmęczona. Ale poza tym nie najgorzej. – Pomasowała kark, oglądając się na niego. – A pan?

– Dobrze.

Dał jej znak, by za nim poszła. Na tym oddziale panowała cisza przerywana tylko okazjonalnym płaczem dziecka, w przeciwieństwie do wrzącego chaosu na chirurgii i intensywnej terapii.

– Wszyscy, którzy postępowali zgodnie z procedurą, powinni być bezpieczni – zaczął. – Jeśli mieli rękawiczki

i właściwy kontakt z płynami ustrojowymi Schrodera.

– Pan Bix potwierdził, że najprawdopodobniej wirus nie rozprzestrzenia się przez powietrze, tylko podczas bezpośredniego kontaktu z płynami ustrojowymi.

– To dobrze, ale oboje wiemy, że niektórzy chadzają na skróty.

– Tym razem nikt się tego nie wyprze, jeśli faktycznie tak zrobił. Poprosiłam, żeby sekretarka obdzwoniła wszystkich, którzy przebywali w pokoju Schrodera, od chwili, gdy go przyjęliśmy, nawet jeśli ktoś wchodził tam tylko po to, żeby wymienić żarówkę.

Claire zdała sobie sprawę, że Miles okrąża oddział, oazę śpiących dzieci.

– Chirurgia to inna historia. – Zerknął na nią, nie zatrzymując się. – Oboje widzieliśmy, do czego zdolny jest wirus. Było tam cholernie dużo krwi. Wszyscy mieliśmy ją na rękach. Mam nadzieję, że nasze rękawiczki nie były dziurawe i nikt ich nie zsuwał, żeby się podrapać. – Uśmiechnął się przepraszająco.

– Powiedział pan: płyny ustrojowe? – Claire starała się przypomnieć sobie swoje wizyty u Markusa.

Czy zawsze badała go w rękawiczkach? Potem przypomniała sobie czarne wymiociny. Strach w jej oczach musiał stać się widoczny, gdyż Miles spojrzał na nią wnikliwie.

– Niech pani posłucha, Claire. Szpital wyraził zgodę, żeby CDC dyktował warunki. Teraz to ich robota. – Zniżył głos. – Z nas wszystkich pani spędziła najwięcej czasu ze

Schroderem. Oddział ratunkowy szykuje miejsca dla członków rodzin pracowników, którzy powinni zgłosić się na badanie krwi. Niech pani sprowadzi tutaj syna, i to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 56

USAMRIID

Tully odniósł wrażenie, że Maggie schudła. Ale ona wmawiała mu, że coś sobie ubzdurał.

– To tylko dwa dni – powiedziała.

Przez szklaną ścianę pokazał jej białe kwadratowe pudełko.

– Od Ganzy. – Przytrzymał ramieniem słuchawkę przy uchu i otworzył pudełko. – Zapewnił mnie, że docenisz jego poczucie humoru.

– Pączki. – A jednak się uśmiechnęła. – Czekoladowe, twoje ulubione.

– Są dla ciebie.

– Nie wierzę, że cię z nimi wpuścili.

– Ufają, że agent FBI nie przyniesie zatrutych pączków. Doktor Drummond obiecała nawet, że ci je przekaże. Ale jeden musiała zbadać.

– Tak? Pod mikroskopem?

– Nie, spróbowała go. Więc tego jednego z tuzina nie musisz się już obawiać.

Niezależnie od niecodziennych okoliczności przeszli do codziennych spraw. Tully czuł, że Maggie nie może się doczekać powrotu do pracy i wolałaby uniknąć osobistych

tematów. Od pierwszego dnia wspólnej pracy to właśnie ich łączyło.

Powiedziała mu o kopercie z domu pani Kellerman, a także o tym, że zdołała połączyć nazwisko Kellerman oraz adres zwrotny na tejże kopercie ze sprawą tylenolu z 1982 roku. Potem wyjaśniła, jak dokonała tego odkrycia, że zdania z listu dołączonego do pudełka z pączkami zostały zapożyczone od snajperów z Beltway.

– Zabawne, bo George Sloane właśnie wspominał o snajperach z Beltway i o tym, jak to my, federalni, spieprzyliśmy sprawę.

– Sloane został włączony do śledztwa?

– Cunningham prosił, żeby zerknął na list.

– Powinien był rozpoznać te zdania, jeśli zajmował się snajperami z Beltway.

– Chyba nie brał udziału w tamtym dochodzeniu. Chciał tylko zrobić przytyk pod naszym adresem. Pracował za to przy sprawie wąglika i rozpoznał podobny sposób złożenia kartki. Czyli ten ktoś wykorzystuje elementy trzech spraw: tylenolu, wąglika i snajperów z Beltway. Chce się popisać? Pokazać, jaki jest sprytny? Czy chce nam powiedzieć, kim jest i gdzie uderzy następnym razem?

– Myślę, że jedno i drugie po trochu. Wygląda mi na podręcznikowy przykład klinicznego narcyza.

– Jest żądny sławy, oczekuje, że jego błyskotliwość zostanie doceniona.

– Z pewnością planował to jakiś czas – dodała Maggie. – Czytał, szperał w dokumentach, szukał w pamięci.

Kalkulował. Obmyślał każdy ruch jak szachista. Teraz podsuwa nam fragmenty układanki, żebyśmy je sobie poskładali.

– Odszukał nawet panią Kellerman w Elk Grove, żeby powtórzyć nazwisko jednej z ofiar tylenolu. – Tully nie mógł się nadziwić. – Ten facet ma za dużo czasu. Może jest bezrobotny?

Maggie potrząsnęła głową.

– A może ma dostęp do tajnych informacji?

Może nawet do bazy danych, pomyślał Tully, ale zatrzymał to dla siebie. Nie był gotowy podzielić się z Maggie swoją teorią, że wirus pochodzi z USAMRIID-u. Nie miał na to żadnych dowodów. Byłoby z jego strony okrucieństwem, gdyby to sugerował, kiedy ona siedzi tam zamknięta. Wyglądała na wyczerpaną, miała worki pod oczami. W szpitalnej koszuli i białych skarpetkach sprawiała wrażenie niższej, a nawet bezradnej.

Zaczeka z tym.

A jeżeli ma rację? Jeśli to ktoś stąd? Ktoś, kto teraz zaciera ręce, obserwując, jak ofiary powoli wykrwawiają się na jego oczach? To pasowałoby do portretu psychologicznego sprawcy.

Tully żywił jednak nadzieję, że się myli.

– Pojawiły się nowe koperty? – spytała Maggie, a Tully znów skupił na niej uwagę.

– Nowe koperty? Takie jak ta, którą znalazłaś? Myślisz, że on w ten sposób rozprzestrzenia wirusa? Nie w pudełkach z pączkami czy z pizzą, ale w zwykłej kopercie?

– Pułkownik Platt to sprawdza, ale chyba tak. W kopercie była szczelnie zamykana foliowa torebka.

– Czy w ogóle da się przesłać ebolę pocztą? Wąglika to jeszcze rozumiem. Jest jak proszek, ale ebola? W jakiej formie miałby to przesłać? Masz jakiś pomysł?

Zawahała się, a Tully wiedział, że nie zna odpowiedzi. Zauważył komputer. A więc jej oczy nie są podpuchnięte z niewyspania. Ona nie chce spać. Już zabrała się do pracy, to jest jej koło ratunkowe, dzięki któremu w tym zamknięciu nie zwariowała.

– To muszą być prawdziwe komórki, zarażone komórki krwi albo tkanki. Bardzo niewielka, wręcz mikroskopijna ilość. To nie takie trudne. Wirus jest w stanie przeżyć bez żywiciela nawet kilka dni. Ale musi być dobrze zachowany, zamrożony albo szczelnie zamknięty w plastikowym opakowaniu.

– Więc każdy, kto otworzy taką torebkę i powącha…

– Nie, nie sądzę. Podobno tym nie można się zarazić drogą wziewną, jak wąglikiem. Ebola musi dostać się do organizmu.

– Do krwiobiegu?

– Tak, albo innych płynów ustrojowych: spermy, śliny, śluzu.

– Na przykład z wymiocinami, które lądują na twarzy, na oczach i na nosie?

Maggie zamrugała nerwowo, a Tully pożałował, że o to zapytał. Zanim podjął, dodała szybko:

– Wystarczy, że się skaleczysz, przetniesz choćby skórkę przy paznokciu. Albo zatniesz się przy goleniu.

– To wystarczy?

Skinęła głową.

– Cunningham uważa, że jest w tym osobisty motyw – zauważył Tully. On nie był przekonany, że to zemsta. – Czy szef zajmował się sprawą tylenolu?

Maggie wzruszyła ramionami.

– Nie pozwalają mi go zobaczyć. Dał mi numer telefonu, ale nie odpowiada.

Zapadło milczenie. Patrzyli na siebie, lecz żadne z nich nie chciało wyrazić w słowach swych podejrzeń.

– Może powinnam się przyjrzeć facetom, których Cunningham pomógł wsadzić za kratki?

– Albo tym, których nie udało mu się złapać.

Tully przypomniał sobie litery odciśnięte na kopercie.

– Niewykluczone, że ten gość popełnił jeden błąd. Czy: „Zadzwonić do Nathana o siódmej wieczór” coś ci mówi?

– W jakim kontekście?

– Zapisał to sobie na kartce, która leżała na kopercie. Mocno naciskał długopis, więc na kopercie został ślad. To nie były drukowane litery. Normalny charakter pisma. Sloane mówi, że gość to przeoczył.

Tully’emu zdawało się, że Maggie skądś to zna. A jednak w końcu pokręciła głową.

– Czy mam szukać kogoś o imieniu Nathan? – zapytał.

– Nie wiem – odparła. – Naprawdę nie wiem.

W jej głosie pobrzmiewało zmęczenie. Ale potem przesunęła się na brzeg krzesła, jakby znowu skoczyła jej adrenalina.

– Ten ktoś bardzo chce zwrócić na siebie uwagę, ale nie chce zostać złapany – powiedziała. – Nie tak jak morderca BTK, który pojawił się znowu po dwudziestu latach, bo tęsknił za sławą. Ten ktoś szykował się do tego latami, być może tłumił swoje prawdziwe albo urojone żale. Planował, wymyślał strategię krok po kroku. W jakimś momencie życia uznał, że ktoś robi mu krzywdę albo nie darzy go należnym uznaniem.

Może ma za złe organom ochrony porządku publicznego i dlatego chce nam udowodnić, że jesteśmy bezradni. Jest zdyscyplinowany, inteligentny, sprytny. Ryzykuje, ale do pewnych granic. Myślę, że pracuje w pełnym wymiarze godzin, ale jest dobrym kłamcą. Wygląda i zachowuje się spokojnie i normalnie. Potrafi funkcjonować w życiu codziennym, ale cały czas gotuje się w nim złość. Pamiętaj, że nie jest jak seryjni mordercy, którym zabijanie sprawia przyjemność. Jemu satysfakcję daje wymierzanie kary. Chce wyrównać rachunki. Chce, żeby jego ofiary chorowały, cierpiały, by miały świadomość, że umierają. To jego – perwersyjne – poczucie sprawiedliwości. On tak wykonuje wyrok śmierci.

Tully oparł plecy o krzesło i wypuścił powietrze. Portrety Maggie wciąż go zdumiewały. Dziewięć na dziesięć razy Maggie miała świętą rację. Inaczej niż George Sloane. Tully nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Sloane’em rządziły statystyki i ego, Maggie słuchała zaś instynktu.

Ufał instynktowi Maggie bardziej niż ego Sloane’a. I to zawsze.

Otarł czoło i gwizdnął, na co Maggie znowu się uśmiechnęła.

– Pytałem Sloane’a, czy powinniśmy przeszukać lasy.

– Ten gość się nie ukrywa, Tully. I wiem, że wysłał już kolejne listy.

ROZDZIAŁ 57

Platt opierał się o szklaną ścianę, by Mary Louise go widziała. Kolorowała jakieś rysunki, siedząc po turecku na małym dywaniku, otoczona przez rozrzucone wokół kredki. Jej oczy zalśniły na widok pudełka z dziewięćdziesięcioma sześcioma ołówkami. Kiedy dał jej ten prezent, oznajmiła, że nigdy nie widziała tylu kredek.

– Żadnej z nich nie złamię – obiecała.

Teraz od czasu do czasu zerkała na niego przez ramię i unosiła książeczkę do kolorowania, pokazując mu swoje dzieło. Uśmiechał się i kiwał głową z aprobatą, a ona wracała do pracy. Jej dolna warga wystawała w skupieniu. Starała się nie wyjeżdżać kredką poza linie, wybierała kolory z wielkim namysłem.

Chciał jej powiedzieć, że nie musi tak się starać, ale ktoś już widocznie powiedział jej coś innego. Wcześniej przyglądał się, jak grała w jedną z gier planszowych, które jej podarował. Przesuwała po kolei pionki z dwóch zestawów, na zmianę z wyobrażoną przyjaciółką. Ta mała dziewczynka nauczyła się bawić sama z sobą na długo przedtem, zanim trafiła do celi. Platt powinien się cieszyć, że jest zadowolona. Tymczasem bolało go to, poruszało jakąś strunę w sercu, o której istnieniu już zapomniał.

Janklow wydał rozkaz, że do poniedziałku nie wolno o niczym informować rodzin pacjentów. Platt zerknął na

zegarek. Dla niego poniedziałek zacznie się minutę po północy. Miał w kieszeni kartkę z numerem telefonu babki Mary Louise. U dziewczynki nadal występowały tylko łagodne objawy. W jej krwi pojawiły się jakby bloki wirusa, ale nie było robali. Ani niczego, co robale by przypominało. W przeciwieństwie do krwi matki, krew Mary Louise nie świeciła podczas testu z wirusem ebola.

W każdym razie jeszcze nie świeciła.

Platt znał statystyki na pamięć. Dziesięć do piętnastu procent zarażonych ebolą odzyskuje zdrowie. Nikt nie rozumiał jak ani dlaczego. To mały procent, ale Platt miał nadzieję, że Mary Louise znajdzie się w tej liczbie. A szczepionka zwiększy jej szanse.

Jej matka była nieprzytomna, babka nieobecna, i nie miał kto podpisać dokumentów. A zatem Platt sam podał Mary Louise pierwszą dawkę szczepionki. I tak cała wina spadnie na niego. Chętnie weźmie na swoje barki i ten ciężar.

Powiedział dziewczynce, że ukłucie zapiecze, ale tylko przez sekundę albo dwie, jakby ukąsił ją duży komar. Zmarszczyła nos, a potem się zaśmiała i spytała:

– Będzie swędziało?

Liczył w myślach godziny i minuty. Nie mógł przestać, nawet gdy próbował. Czas uciekał, lecz Platt już nie pamiętał, jaki to dzień tygodnia.

Niedziela, jest niedziela.

Mary Louise wybierała kolejną kredkę. Wydawała się zupełnie zadowolona, kompletnie nieświadoma burzy, która toczy się wokół niej.

Niedziela. Dla Mary Louise to nic nie znaczy. Rodziny w niedzielę chodzą do kościoła. Czytają niedzielne gazety. „Przeczytaj mi na głos ten komiks, tatusiu”. Bawią się frisbee na podwórzu za domem. Chodzą do kina. To właśnie rodziny robią w niedziele. Spędzają ten dzień razem, prawda? Zresztą skąd on ma to wiedzieć? To było tak dawno temu.

Jego niedziele – jeśli brał wolne – były spokojne. Siedział z Diggerem na ganku z tyłu domu i patrzył na las. Jego rodzice opiekowali się Diggerem, gdy pracował do późna. Nigdy nie sugerowali, że powinien znaleźć inny dom dla psa. Wiedzieli, że Platt i Digger są nierozłączni, pies i mężczyzna związani na zawsze brakiem małej dziewczynki, którą obaj wielbili.

Kiedy doktor Drummond weszła do pokoju Mary Louise, dziewczynka wstała. Platt pomachał jej na do widzenia, a ona odpowiedziała mu tym samym. Nie miał ochoty odchodzić. To głupie, ale myślał, że gdyby tam stał i patrzył na nią, ochroniłby ją przed złem.

Wyszedł z celi i ruszył na schody.

W pomieszczeniach poziomu 4 przebrał się znowu w ubranie ochronne i przygotował do włożenia kosmicznego kombinezonu, po raz trzeci w ciągu tych paru dni. Postanowił ograniczyć personel do osób zaangażowanych w najtrudniejsze zadania. Wcześniej przekazał sierżant Hernandez kopertę, którą agentka O’Dell zabrała z domu pani Kellerman. Miał świadomość, że to trudne zadanie dla początkującego naukowca, zanim

jeszcze dostrzegł jej zdumioną minę. Wiele razy asystowała mu w laboratorium i wiedział, że jest zdolna. Był też pewien, że sprawdzi wyniki testów niejeden raz, zanim mu je przedstawi, a to była dodatkowa wartość.

Kiedy wszedł, Hernandez wciąż pracowała. Stanął obok niej w milczeniu, upewniając się, że go zobaczyła i usłyszała, pomimo syku powietrza w kombinezonie. Nie poganiał jej ani nie naciskał.

Spięła z tyłu głowy loki, a mimo to wciąż je widział, stłoczone pod hełmem. Kilka kosmyków przylepiło się do jej mokrego czoła. Kiedy podniosła wzrok, Platt spojrzał w jej zielone oczy. Patrzyła na niego z powagą, trochę przestraszona. Coś znalazła.

– I co? – zapytał, bo nie mógł dłużej czekać.

– Znalazłam coś w tej foliowej torebce z koperty – wyrzuciła bez tchu. – Tkankę, komórki krwi.

– Wystarczy do zbadania?

– Tak.

– Ebola?

– Zdecydowanie. Komórki są pełne robali. – Znieruchomiała na moment. – Jest coś jeszcze, sir. To nie są ludzkie komórki.

– Małpy?

– O ile się orientuję, jest to makak. Sprawdzam jeszcze raz, porównuję z naszymi próbkami od makaków. Są prawie identyczne.

Nagle Platta ogarnęło lekkie przerażenie. Pytał McCathy’ego, czy mogło dojść do zanieczyszczenia krwi

pani Kellerman w ich laboratorium. McCathy zaprzeczył. Zbyt wiele ścian izolacji. Wykluczone, by jedna z ich próbek zmieszała się z próbką krwi pani Kellerman czy któregoś z trojga pozostałych pacjentów. Mają wszystko na oku, na sto procent.

Ale skąd ktoś wziął zarazki eboli i jak przesłał je pani Kellerman? Skąd pochodzi mikroskopijna próbka od makaka zakażonego ebolą? Czy jest prawdopodobne, że zniknęła z ich własnej zamrażarki? Wykorzystywali makaki do eksperymentów. Podobnie inne instytucje badawcze, chociaż niewiele z nich posiadało próbkę wirusa ebola. Czy ktoś z USAMRIID-u ją ukradł? Czy jeden z nich mógł to zrobić?

– Dobra robota – pochwalił ją. – Proszę pracować dalej. – Pokazał Hernandez, że wychodzi.

Musi zrobić inwentaryzację. Sprawdzi próbki eboli, wszystkie, jakie posiadali. Ale czy będzie w stanie powiedzieć, czy którejś brakuje? Wystarczy przecież mała ilość. Mikroskopijna. Przed laty pewien naukowiec, zatrudniony niegdyś w USAMRIID-zie, został oskarżony o wyniesienie stąd wąglika, który spowodował śmierć pięciu osób. Niestety, brakowało dowodów wspierających to oskarżenie, ale spekulacje zrodziły pytania na temat procedur i zabezpieczeń Instytutu.

Nagle Platt uzmysłowił sobie, że Janklow myśli dokładnie tak samo. Zastanawia się, czy wirus pochodzi z ich laboratoriów. Czy martwi się, że padnie kolejne oskarżenie?

Czy nie chce nagłaśniać sprawy, ponieważ boi się o reputację USAMRIID-u? Czy chodzi mu tylko o własną?

I co dowódca zamierza zrobić, żeby utrzymać to w sekrecie?

ROZDZIAŁ 58

Reston, Wirginia

Po wyjściu ojca Emma spędziła całe popołudnie nad listami od Indy’ego. We wrześniu pisał do niej codziennie, opowiadając o swoim życiu w Quantico, sprawach, jakimi się zajmował, kolegach Razzym i J.B. Niektóre były potwornie rozwlekłe, inne krótkie, ale słodkie. Pomyślała, że to takie wzruszające, że musiał z nią codziennie porozmawiać, choćby listownie. Z początku nie rozumiała, dlaczego po prostu do siebie nie dzwonili, do chwili, gdy się dowiedziała, że w tamtych czasach nie było telefonów komórkowych. A rozmowy międzymiastowe sporo kosztowały. Strasznie zacofana cywilizacja.

26 września 1982

Droga Liney!

Od paru dni jestem w Chicago. To okropne, że ja jestem tutaj, a Ty w Ohio na tej twojej konferencji na temat sztuki. Nie mogę uwierzyć, że się miniemy, ale tak jest pewnie najlepiej. Przyjechałem służbowo. Sprawa tajna, więc nie wolno mi o niej mówić. Nie mogę nawet powiadomić mojej rodziny, że tu jestem. Ale zdradzę Ci jeden sekret. Mam zamiar pojechać do ich domu w niedzielę rano, jak będą

w kościele. Chcę im coś zostawić. Może się ode mnie odczepią.

Aha, Liney, jeszcze nie mówią o tym w wiadomościach, ale trzymaj się z daleka od kapsułek tylenolu extra. Nie pytaj mnie, dlaczego ani skąd to wiem, tylko ich nie łykaj, dobrze? Ja nie żartuję. Nie mów nikomu, że Cię ostrzegałem, ale to będzie duża sprawa. Nie powinienem Ci w ogóle o tym wspominać.

Całuję, Indy

Emma przejrzała poprzednie listy. No, no, pomyślała. Po raz pierwszy napisał „Całuję, Indy". Zastanawiała się, co takiego się stało. Napisał to tak po prostu, niczego nie wyjaśniał. Może bardzo za nią tęsknił.

Wzięła kolejny list, ale nie zajrzała do środka, przeczytawszy datę na pieczątce: 24 grudnia 1982.

Przerzuciła pozostałe koperty. Czy dobrze je poukładała? Zostały tylko trzy. Czegoś jej brakowało. Jej mama nie należy do najbardziej pedantycznych osób, bo jak inaczej wyjaśnić, że Indy pisze, że ją całuje, a potem nie odzywa się przez dwa miesiące?

Otworzyła kopertę z datą 24 grudnia i znalazła w niej tylko kartkę świąteczną. Żadnego listu.

Na kartce przeczytała: „Wesołych świąt, Indy". Nic więcej. Żadnego postscriptum. Żadnego „Całuję, Indy".

ROZDZIAŁ 59

Artie nigdy nie zaglądał tutaj w niedzielę. Nie było żywej duszy. Doskonale, bardzo mu to odpowiadało. Z początku chciał tylko odstawić samochód i odłożyć na miejsce swoje rzeczy podróżne. Ale było tak pusto, że poczuł się dość swobodnie, by wziąć ze sobą jedzenie z fast foodu.

Wrócił do cheeseburgerów. Miał już dosyć taco. W ostatniej chwili postanowił zjeść swą kanapkę w sąsiednim laboratorium zamiast w małym pomieszczeniu z napisem „Kwarantanna” na drzwiach. Za bardzo śmierdziało tam środkiem odkażającym, tłumaczył sobie. Oczywiście, nie miało to nic wspólnego z martwą małpą w zamrażarce. Kartą magnetyczną mógł otworzyć wszystkie drzwi, więc dostęp nie stanowił problemu.

Na końcu korytarza żywe małpy dla odmiany siedziały cicho. Artie zjadł podwójnego cheeseburgera z dodatkową porcją ketchupu i ogórków konserwowych – zawsze oszukują na ogórkach, trzeba prosić o dodatkową porcję – oraz frytki. Pochłonął to łapczywie, a kiedy skończył, przeniósł się do pomieszczenia obok. Wyjął z plecaka mały notes, z którym się nie rozstawał, a potem zaczął rozkładać swoje najnowsze parafernalia.

Podczas podróży zdobywał prawdziwe skarby. Przechowywał je w jednej z małych szafek, więc wszystko, począwszy od włosa po obcięty paznokieć, znajdowało się

pod ręką, gotowe do kolejnego pakowania. Artie ułożył znaleziska na blacie i je podziwiał. Każdy przedmiot zapakował i podpisał jak dowód zbrodni, którym stanie się pewnego dnia. Był zwłaszcza dumny z zęba, znalezionego w narożnej kabinie w toalecie przy drodze międzystanowej numer 95. Miał pojedyncze włosy z czterech różnych stanów. Do każdej paczuszki coś dołączał, by technicy kryminalistyczni uwierzyli, że mają do czynienia z dowodem. By sądzili, że ich podejrzany jest niechlujny, podczas gdy tak naprawdę to on przechytrzy najlepszych i najbardziej wytrawnych oficerów śledczych.

Otworzył notes na liście odbiorców przesyłek. W drodze do Wallingford, w stanie Connecticut, ni stąd, ni zowąd coś mu wpadło do głowy. Chyba rozszyfrował kolejny fragment układanki swojego mentora. Teraz pragnął jak najszybciej przekonać się, czy ma rację.

Przejrzał listę:

Vera Schroder, Terre Haute, Indiana

Mary Louise Kellerman, Elk Grove, Wirginia

Rick Ragazzi, Pensacola, Floryda

Conrad Kovak, Cleveland, Ohio

Caroline Tully, Cleveland, Ohio

Potem wyciągnął książki w miękkich okładkach i artykuły, które skopiował z Internetu. Udało mu się już połączyć Mary Louise Kellerman z Elk Grove, w stanie Wirginia, z Mary Kellerman z Elk Grove Village, w stanie Illinois. Dzięki adresowi zwrotnemu Jamesa Lewisa potwierdził

związek tej przesyłki ze sprawą tylenolu. Trafił w dziesiątkę. To było naprawdę dziecinnie proste.

Z pozostałymi przesyłkami szło mu gorzej. Ich nadawcami, przynajmniej o ile Artie mógł sprawdzić, były osoby znane adresatom. Rick Ragazzi dostał pakiecik od Victora Ragazziego. To proste. To musi być ktoś z rodziny. Caroline Tully otrzymała przesyłkę od R.J. Tully'ego. Podobnie z Patsy Kowak. Conrad pisał swoje nazwisko przez „v", ale to też musi być krewny.

Ta ostatnia przesyłka to był prawdziwy przebłysk geniuszu. Wybrana ofiara, Conrad Kovak, występował na liście jako nadawca, a nie odbiorca. Artie miał niedostatecznie ofrankować kopertę, by nie dotarła do rąk Patsy Kowak, lecz została odesłana do Conrada.

Artie bardzo lubił takie dodatkowe smaczki. I rozpoznawał je. Unabomber wysłał co najmniej jedną przesyłkę z niewystarczającą opłatą pocztową. Osoba, którą Theodore Kaczynski zamierzał wysadzić w powietrze, występowała na kopercie jako nadawca. Kaczynski wiedział, że oficerowie śledczy zajmą się adresatami. Będą ustalać, kim są ich wrogowie, dlaczego właśnie oni stali się celem zamachu. Nadawało to określeniu „Odesłać do nadawcy" całkiem nowe znaczenie.

Artie uśmiechnął się. Tak, to jest kapitalne, naprawdę kapitalne.

Wyjątek, którego Artie nie potrafił rozgryźć, stanowiła Vera Schroder. Tylko ta przesyłka nie miała adresu zwrotnego. Pomyślał, że tym razem chodzi może o Terre

Haute w stanie Indiana. Podczas długiej jazdy samochodem owo Terre Haute nie dawało mu spokoju. Niedawno natknął się gdzieś na nazwę tego miasta, ale nie pamiętał gdzie.

Zaczął znów kartkować notes, zwracając szczególną uwagę na podkreślone informacje. Pierwsze zapiski dotyczyły tylenolu. Sprawa ta nie została do dziś rozwiązana. Między 29 września a 1 października siedem osób zmarło po połknięciu tylenolu extra, pięćsetmiligramowych kapsułek z dodatkiem cyjanku potasu. W tym trzech członków jednej rodziny. Pierwszą z ofiar była dwunastoletnia Mary Kellerman, która zażyła tylko jedną kapsułkę, kiedy rankiem 29 września obudziła się z bólem gardła i katarem.

Artie znał na pamięć nazwiska wszystkich siedmiu ofiar. Znał sześć sklepów w rejonie Chicago – z wyjątkiem jednego nieujawnionego detalisty – w których kupiono zatrute kapsułki. Podejrzewano, że zabójca ukradł opakowania z tylenolem, zabrał je do domu, dodał do nich cyjanek, a potem odniósł je do sklepu i odłożył z powrotem na półkę. Najprawdopodobniej zrobił to w ciągu tygodnia czy paru dni bezpośrednio poprzedzających 29 września.

Ale Artiego bardziej interesowały kolejne sprawy, których związku z zatruciem leku w Chicago nigdy nie potwierdzono ani nie obalono. W kolejnych miesiącach FDA otrzymało 270 raportów o zatruwaniu rozmaitych produktów. Od zanieczyszczonego mleka czekoladowego przez sok pomarańczowy ze środkiem na insekty aż po

cukierki na Halloween nadziewane igłami. A jednak tylko trzydzieści sześć z nich zostało potwierdzonych.

Nadal kartkował notes. Przypadki zatrucia tylenolem, ale już poza Chicago, dotyczyły jednej kobiety z Pittsburgha, starszego mężczyzny z Detroit i małżeństwa – tak, to jest to – z Terre Haute, w stanie Indiana. Ciała miejscowego biznesmena i jego żony zostały znalezione w domu przez ich córkę. Odnaleziono tam również zatrute kapsułki tylenolu extra.

Ta córka nazywała się po mężu Schroder, Vera Schroder. To właśnie był ten związek. Tego dokładnie szukał Artie. A jednak coś innego go zaskoczyło.

Świetnie znał nazwisko jej rodziców.

Cholera, to samo nazwisko nosi jego mentor.

ROZDZIAŁ 60

U Razzy'ego
Pensacola, Floryda

Rick Ragazzi popił kolejne dwie kapsułki, czytając etykietkę na opakowaniu. Miał wszystkie możliwe objawy grypy. To lekarstwo powinno przynieść mu ulgę, a przecież nie czuł się ani odrobinę lepiej, chociaż od połknięcia rekomendowanej dawki minęły już dwadzieścia cztery godziny. Chciał jakoś uciszyć ten huk w głowie, miał wrażenie, że ktoś wali tam młotem. Nawet lepka mikstura Joeya nic nie dała.

Włożył do ust następną kapsułkę i wypił resztę soku pomarańczowego. W tej samej chwili zauważył w drzwiach restauracji kolejną grupę gości. Normalnie byłby zadowolony. Niedziela wieczór, a u nich pełno. Wcześniej tego wieczoru mieli nawet listę gości, którzy musieli czekać po dwadzieścia minut. Ale jego najlepszego kelner wciąż nie było. Jakiś problem ze szwami i wstrząśnienie mózgu. Rick żałował, że nie może zwalić swojego bólu głowy na wypadek skutera wodnego.

– Wybacz, kochasiu – odezwała się Rita zza jego pleców. – Musiałam ich posadzić przy jednym z twoich stolików. Ten nowy dzieciak jest trochę ospały. Może przyjmiesz zamówienie, a ja zaniosę im talerze?

– Dobry pomysł – powiedział odruchowo, chociaż wolałby się już ulotnić.

– Marnie wyglądasz – stwierdziła Rita. – Nie powinieneś leżeć w łóżku?

Chciałbym, pomyślał Rick, ale odparł:

– Nic mi nie jest.

Wiedział, że właściciel nie powinien okazywać słabości ani bezradności wobec pracowników, za to zawsze musi stanowić dla nich przykład. Gdzieś to przeczytał. Czy nie dość, że pozwala Ricie zwracać się do niego „kochasiu”? Ale ona do wszystkich mówi „kochasiu” tym swoim fantastycznym południowym akcentem, który brzmi tak szczerze, że człowiek za każdym razem czuje się wyróżniony.

Rita posadziła trzech nowych gości i podała im menu. Rick przecisnął się między stolikami, sprawdzając, czy ma w kieszeni notes i pióro. Upierał się, by kelnerzy zapisywali sobie zamówienia w pamięci. Tak, owszem, powinien świecić przykładem, ale przez ten upiorny ból głowy pomylił już cztery zamówienia. Lepiej żeby stracił w oczach podwładnych, niż żeby oni tracili przez jego pomyłki.

Wszystkie trzy jadłospisy były wciąż otwarte, kryjąc twarze gości.

– Dobry wieczór. Czy mogę na początek zaproponować drinka? Nasza specjalność, rumba plażowa, dziś wieczorem tylko za pół ceny.

– Co to jest rumba plażowa, do diabła? – spytał jeden z mężczyzn, głośno odkładając na stolik kartę dań.

– Wuj Vic! – powiedział Rick. – Co wuj robi w Pensacoli? – Miał nadzieję, że jego uśmiech wygląda szczerze i dobrze skrywa wewnętrzny głos, który krzyczał: O kurde!

ROZDZIAŁ 61

USAMRIID

Platt siedział za biurkiem na krześle odwróconym w stronę okna. Znowu się rozpadało. Krople lekko stukały o szybę i po niej spływały. Powróciła ciemność. I znów w myślach liczył godziny i minuty. Nie był w stanie się uwolnić od tego odliczania zgodnego z rytmem deszczu.

Nie potrafił udowodnić ani zaprzeczyć żadnej ze swoich hipotez, swoich spekulacji, sprawdzając próbki eboli znajdujące się w Instytucie. McCathy był ostatnią osobą, która aktywowała kod i otwierała drzwi laboratorium przy pomocy specjalnie zabezpieczonej karty magnetycznej. Ile materiału zużył do testów porównawczych z krwią pani Kellerman i pozostałych ofiar? Czy to możliwe, by jakaś niewielka ilość zniknęła niezauważona?

Zmęczenie płatało mu złośliwe figle. Platt starał się o tym nie zapominać, rozważając swoje hipotezy. A jeśli ebola wysłana do pani Kellerman pochodzi z ich laboratorium? Jeśli Janklow o tym wiedział? Już na początku, kiedy Platt nie wykluczał, że to głupi kawał, Janklow wydawał się przekonany, że sprawa jest poważna. I dlaczego włączył w to McCathy’ego? Dlaczego tak niewzruszenie obstawał przy tym, że to musi być McCathy, mikrobiolog specjalizujący się w broni biologicznej? Platt miał dość

doświadczenia, by samemu przekonać się, czy mają do czynienia właśnie z tym rodzajem broni.

Czy Janklow wiedział, co znajdą w domu Kellerman? Jeszcze zanim tam pojechali? Czy spodziewał się, że McCathy będzie z nim współpracował, a Plattowi przeznaczył rolę kozła ofiarnego?

Był zmęczony. Wpadał w paranoję.

Przetarł oczy. Usiadł wygodniej, opierając plecy. Usiłował zebrać myśli.

Nie mógł jednak zapomnieć słów Janklowa: „Co by było, gdyby”?

Zerknął na zegarek. Jest późno.

Miał nadzieję, że nie za późno.

Bawił się małą kartką, składał ją i rozkładał. Widniało na niej dziesięć cyfr, prywatny numer telefonu komórkowego Rogera Bixa, szefa zespołu szybkiego reagowania i nadzoru CDC.

Platt znał Bixa z konferencji, kilku oficjalnych kolacji i kilku mniej oficjalnych spotkań w hotelowych barach. Na szczęście opowiadali sobie tylko przygody wojenne, i nigdy nie pracowali razem. Bix mógł przynajmniej potwierdzić albo zaprzeczyć, czy z innego laboratorium zniknęła próbka wirusa eboli. Platt wiedział też, że Bix może przekazać mu tę informację, niczego nie przyznając ani nie potwierdzając.

Bix odezwał się po dwóch dzwonkach, pomimo późnej pory.

– Tu Bix.

Platt usiadł prosto.

– Witaj, Roger, mówi Benjamin Platt. – Zanim powiedział cokolwiek więcej, Bix zapytał:

– Więc ile tej szczepionki jesteś w stanie uciułać?

– Słucham?

– Mówię o szczepionce.

Platt osłupiał. Czy Janklow już dzwonił do CDC? Co się dzieje, do diabła?

– Posłuchaj, Ben – podjął Bix, błędnie odczytując wahanie Platta. – Rozumiem twój dylemat. – W jego głosie, zwykle zaciągającym i powolnym, słychać było panikę. – Ale jak wyjaśniłem Janklowowi, nie możemy zbyt długo czekać. Mam tutaj w Chicago przypadek eboli zair. Otworzyli tego biednego sukinsyna na stole operacyjnym. Kto wie, ile osób zostało zarażonych. Nie mówię tylko o personelu szpitala. Są goście, pacjenci, a nawet noworodki.

Platt przycisnął komórkę do ucha. Serce tak mu waliło, że ledwie słyszał. Wciągnął powietrze w płuca. Odsunął telefon od ust. Wypuścił powietrze. Więc jest kolejny przypadek. Kolejne zakażenie.

– Leżał w tutejszym szpitalu. Schroder, Markus Schroder. Spędził tu trzy czy cztery dni. Księgowy, na Boga, jak to możliwe, żeby księgowy miał kontakt z ebolą? – Bix nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej: – To jakiś koszmar, a będzie gorzej. Departament Bezpieczeństwa Krajowego siedzi mi na karku. Wszyscy się boją, żeby pieprzone media nie wywołały paniki. Mówię ci, Ben, jak nie dostanę szybko tej szczepionki, będziemy zmuszeni martwić się tym, że media rozpętają panikę.

– Zaraz się tym zajmę, Roger. Oddzwonię do ciebie, gdy tylko szczepionka będzie gotowa do wysyłki.

– Tylko się pospiesz, Ben. Obaj wiemy, jak szybko działa wirus.

Kliknięcie, które usłyszał Platt, było nagłe i głuche, jakby ktoś nacisnął na spust i trafił na pustą komorę.

Platt siedział jak sparaliżowany.

Pojawił się kolejny przypadek. I to tak daleko, w Chicago. Czyżby terrorysta rozesłał kolejne przesyłki z mikroskopijną ilością eboli, zamkniętą w szczelnych plastikowych torebkach, czekających tylko, aż ktoś je otworzy? Było gorzej, niż wszyscy sobie wyobrażali. Janklow nie zdoła tego wyciszyć.

Wtedy Platta coś tknęło. Coś, co jak powiedział Janklow, McCathy mówił mu o wirusie. Że wystarczy mikroskopijna ilość, hermetycznie zamknięta i przesłana nawet zwykłą pocztą, by wybuchła epidemia. To było jeszcze zanim Maggie przekazała mu tę kopertę. Zanim dowiedzieli się, w jaki sposób wirus dostał się do domu pani Kellerman.

Czy McCathy wiedział to już wcześniej? Czy tylko wszystkiego się domyślił?

ROZDZIAŁ 62

Artie zastanawiał się, z kim mógłby się podzielić nowinami. Musiałby to być ktoś, kto doceni jego błyskotliwość i zdolność rozwiązywania zagadek. Znalazł odpowiedź na pytanie, na które detektywi, śledczy ani inni oficerowie organów ochrony porządku publicznego w całych Stanach nie potrafili odpowiedzieć przez dwadzieścia pięć lat. To było równie znaczące jak odkrycie, że Ted Kaczynski to Unabomber.

Jakby na zawołanie ktoś zastukał do drzwi. Nie było to walenie, a delikatne pukanie.

Pewnie to nic ważnego. Może mu się tylko zdawało. W weekendy nikt się tutaj nie pojawiał.

Zaczął znów przeglądać notes, pisząc coś na marginesach.

W korytarzu rozległy się kroki. Teraz był już tego pewien. Cholera!

Zamarł, rozglądając się nerwowo. Musi zgasić to pieprzone światło. Za późno.

Kroki się zbliżały. Ktoś jest tuż za drzwiami.

Obrócił się, szukając wzrokiem czegoś, czym mógłby się bronić, i chwycił to, co leżało pod ręką. Strzykawkę. Zdjął osłonę igły, słysząc, jak ktoś wsuwa kartę magnetyczną do czytnika w drzwiach.

– Co ty tutaj dzisiaj robisz, do diabła?

Artie odetchnął z ulgą, myśląc: „o wilku mowa”.

– Śmiertelnie mnie pan przestraszył.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że światło sączy się spod drzwi?

– Nikogo tu nie ma – bronił się Artie. – To był pański pomysł, żebym korzystał w weekendy z laboratorium.

– Myślałem, że miałeś wysłać tę przesyłkę wczoraj.

– Wysłałem – odparł Artie, wsuwając strzykawkę do kieszeni i starając się nonszalancko przesunąć stertę książek na zdradzające go strony notesu i znajdujące się pod nim artykuły. – Byłem wczoraj w Connecticut. I stamtąd je wysłałem.

– Je?

Cholera! To chyba nie pora na wyjawienie własnego wkładu w to dzieło.

– To znaczy przesyłkę. Wczoraj ją wysłałem.

– Więc co tutaj dzisiaj robisz? – Wzrok mężczyzny wędrował po blatach.

– Tylko coś podrzuciłem. Wie pan, próbki DNA, które zbieram.

Artie patrzył na mężczyznę, który wciąż się rozglądał, aż w końcu zatrzymał spojrzenie na książce o Unabomberze. Wziął ją do ręki.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie nosił tego w plecaku?

Rzucił książkę na stertę, która się rozsunęła. Artie wstrzymał oddech. Wiedział, że mężczyzna zobaczył dokładnie to, co chciał przed nim ukryć. Na domiar złego wyciągnął z pliku papierów artykuł o tylenolu.

– Po co ci to?

– Tak tylko czytam.

Nie kupił tego. Artie musiał szybko coś wymyślić. Potem nagle się uspokoił. Czym on się przejmuje? Przecież są tacy sami. Artie to wiedział. Nie są nauczycielem i uczniem, ale pokrewnymi duszami.

– Rozwiązałem tę zagadkę – oznajmił Artie.

Mężczyzna milczał. Uniósł brwi i czekał na wyjaśnienia.

– Jest pan bardzo inteligentny – oznajmił Artie szczerze. – Te zabójstwa tylenolem. To pan. Zawsze się zastanawiali, czy ktoś nie dokonał siedmiu przypadkowych morderstw po to, żeby skryć tę jedną ofiarę, której faktycznie chciał się pozbyć.

Żadnej odpowiedzi. Artie wziął to za dobrą monetę.

Kontynuował zatem:

– Umieszczając siedem opakowań leku w Chicago i okolicy sprawił pan, że wszyscy wierzyli, że pana prawdziwy cel, którym było Terre Haute, to tylko nieszczęśliwy wypadek.

Mężczyzna nawet się nie uśmiechnął, ale Artie pamiętał, że rzadko się uśmiechał. Dobrze, że nie wyglądał już na rozgniewanego.

Pocierał dłonią brodę, ale czekał i słuchał.

– Teraz postępuje pan tak samo, prawda? Wysyła pan przesyłki z wirusem pod przypadkowe adresy, żeby wyglądało na to, że robi to jakiś terrorysta amator. A tymczasem pan ma jeden prawdziwy cel, prawda? – Zerknął na notes, wciąż otwarty na liście nazwisk. – Więc kto to jest? Kto jest tym właściwym celem?

– Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny – odezwał się mężczyzna – ale to wszystko są prawdziwe cele. Zaopiekuję się każdym sukinsynem, który zaszedł mi za skórę.

Potem zrobił coś, co – z czego Artie powinien zdawać sobie sprawę – było podstępem. Uśmiechnął się.

– Jak rozpracowałeś tę historię z tylenolem? To znaczy z Indianą? Coś tam masz?

Wskazał na stertę książek i papierów, Artie zaś się uśmiechnął. Pochylił się i zaczął szukać. Nawet nie zauważył, że mikroskop celuje w jego głowę.

Artie świetnie zmieścił się nad martwą małpą. Był nieprzytomny, kiedy drzwi zamrażarki zamknęły się z trzaskiem i kliknął zamek kłódki.

ROZDZIAŁ 63

Cela

Maggie śniło się spalone ciało owinięte w folię. Czuła nawet jego zapach. Patrzyła z perspektywy dziecka: jej oczy znajdowały się na poziomie brzucha tłumu dorosłych, kiedy się między nimi przepychała. Lniane spodnie i metalowe guziki ocierały się o jej policzki, gdy przeciskała się między dwoma mężczyznami w granatowych garniturach i czarnych lśniących butach.

W końcu dotarła do celu, do trumny, która stała na przodzie. Wypolerowana mahoniowa trumna postawiona wysoko na złotym ołtarzu górowała nad nią. Otaczały ją kwiaty, ale ich słaba woń nie zdołała zneutralizować zapachu popiołu. Popiołu i spalonego ciała.

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Słyszała, jak ktoś szeptał te słowa. „Z prochu powstałeś”. Ale nikogo nie dostrzegła.

Wiedziała już, co zobaczy, zerkając do wnętrza trumny, za jej gładki brzeg z satynową wyściółką. Znała ten sen, odtwarzający prawdziwe wydarzenia. Znowu miała dwanaście lat i przeżywała pogrzeb ojca, krok po kroku, jeszcze raz.

Jej umysł zaakceptował już te obrazy, nie omijał żadnego z nich, zatrzymywał się przy szczegółach. Ujrzy swojego

ojca w brązowym garniturze, z rękami owiniętymi jak mumia i ułożonymi wzdłuż ciała. Usłyszy szelest marszczącego się pod nim plastiku. Przyjrzy się spalonej skórze na twarzy, pokrytej pęcherzami i czarnej pomimo najlepszych wysiłków pracownika zakładu pogrzebowego. Za każdym razem zapach był tak prawdziwy, że budziła się z nudnościami, czasami krztusiła się i trzymała się za brzuch. Nie mogła tego powstrzymać, a próbowała wiele razy. Posuwała się nawet do tego, że szczypała się przez sen w ramię i nic nie czuła, lecz wiedziała, że kiedy już obrazy się pojawią, przepłyną wszystkie pod jej powiekami, niczym cała rolka filmu.

Wspięła się na ołtarz, dwunastoletnie kolana otarły się o wypolerowane drewno, i chwyciła się brzegu spoconymi palcami, by zajrzeć do środka. Ale tym razem to nie jej ojciec tam leżał. Ujrzała Cunnighama, z zamkniętymi oczami, ze splecionymi rękami. Wyglądał na spokojnego, wręcz zadowolonego.

A potem zobaczyła jakiś ruch.

Najpierw drgnięcie materiału, zmarszczka pod guzikiem koszuli. Potem kolejna i jeszcze jedna, aż całe jego ciało zaczęło się gotować. Robaki wyłaziły ze szwów i przez rękawy, pełzły po jego rękach, twarzy, wyłaziły z ust.

Maggie przebudziła się gwałtownie. Poklepała się po rękach, otarła twarz, potrząsnęła głową i włosami. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Z trudem łapała oddech. Serce jej waliło. Tak bardzo starała się uspokoić i oddychać, że groziła jej hiperwentylacja. Objęła się ciasno

rękami. Jej skóra była mokra od potu. Przełknęła i poczuła smak krwi. Zdała sobie sprawę, że za mocno przygryzła wargę.

To sen, powiedziała sobie, to tylko głupi sen.

Mimo wszystko pokuśtykała w stronę szklanej ściany. Monitory po drugiej stronie mrugały czerwono i zielono. Jakieś linie tańczyły na ekranach, ale nikogo tam nie było. Podniosła słuchawkę i słuchała sygnału, patrząc na to urządzenie. Nie było na nim żadnych cyfr, żadnych przycisków. No jasne. To tylko interkom między dwoma pokojami. Uderzyła w szkło otwartą dłonią, powściągając chęć, by walnąć w nie pięścią.

Zerknęła na drugi telefon. Ale do kogo miałaby zadzwonić? Stała jak sparaliżowana, oparta o zimne szkło.

Nie ma nikogo.

Z własnego wyboru, przypomniała sobie.

Nie, gdzieś po drodze to przestał być wybór.

Dotarła do łazienki i zdjęła mokrą koszulę, włożyła świeżą, ze sterty. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Włosy miała potargane, skórę bladą i wilgotną, oczy podpuchnięte. Wyglądała okropnie.

Przeczesała włosy palcami. Spryskała twarz zimną wodą, a potem nabierała wodę w złożone dłonie i zanurzała w niej twarz. Miała nadzieję, że to ją odświeży.

Kiedy wróciła do pokoju, on stał po drugiej stronie szklanej ściany i na nią czekał. W jego poważnych oczach dojrzała troskę, zupełnie jakby wiedział.

Nie spuszczał z niej wzroku, kiedy szła przez pokój. Podniosła słuchawkę.

– Dobrze się pani czuje?

– Dobrze – skłamała.

– Nie sądzę. – Postukał palcem w wargę, przypominając jej, że przegryzła skórę. Potem wskazał na łóżko, gdzie leżała pozwijana pościel, w połowie zrzucona na podłogę.

– Miałam zły sen – powiedziała, wycierając wargę.

– Gorączka?

– Nie sądzę.

Czekał, przyglądał się jej jak lekarz zmuszony do diagnozowania wyłącznie przy pomocy wzroku.

– Muszę się zobaczyć z dyrektorem Cunninghamem. – Zanim zaprotestował, dodała: – Muszę go zobaczyć. On nawet nie musi o tym wiedzieć.

– Dobrze.

Zaskoczył ją. Spodziewała się sprzeciwu.

– Może go pani zobaczyć. A potem zabieram panią do domu.

Z początku myślała, że się przesłyszała.

– Słucham?

– Wypuszczam panią z celi.

Zamknęła oczy i oparła się o ścianę. Miała nadzieję, że to nie kolejny okrutny fragment koszmarnego snu.

– Oczywiście pod pewnymi warunkami – dodał, a jego głos zabrzmiał tak łagodnie.

Otworzyła oczy, ale nadal stała oparta o szklaną ścianę. Czuła się, jakby to o niego się opierała. Byli tak blisko,

mimo szklanego muru.

– Nadal codziennie będzie pani dostawać szczepionkę – podjął. – Gdyby pojawił się najmniejszy objaw, chcę panią widzieć tu z powrotem. I musi pani uważać. Nie wolno wymieniać z nikim płynów ustrojowych. – Urwał, a kiedy podniosła na niego wzrok, lekko się uśmiechnął. – Nawet jednego pocałunku.

– Naprawdę jest pan upierdliwy.

– Domyślam się.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego teraz?

– Bo minęło czterdzieści osiem godzin. W pani krwi nie widać wirusa. Nie ma pani żadnych objawów. – Zawahał się, jakby nie mógł się zdecydować, czy powiedzieć jej coś więcej. Stanął bliżej ściany. – I dlatego, że będzie pani bezpieczniejsza poza tymi murami.

ROZDZIAŁ 64

Reston, Wirginia

Tully zastał Emmę przed telewizorem. Siedząc na kanapie, jadła pizzę.

Otworzył usta, by o coś zapytać, ale go uprzedziła.

– Na blacie. Został tylko jeden kawałek supreme, ale jest pepperoni.

Jego córka zna go zbyt dobrze. Wziął papierowy talerz, wrzucił na niego pizzę, posypał ostrą papryką i padł na kanapę obok Emmy.

– Jest strasznie późno, Słodki Groszku.

– Jutro nie ma lekcji. Przerwa jesienna.

– Racja. Zapomniałem.

– A ty? Widział

eś się z Gwen?

– Nie, pracowałem. – Spędził cały wieczór w Quantico, przeszukując bazy danych i szukając związku między Cunninghamem i zabójcą. – Co oglądasz?

– Nic. Tak się gapię.

Przez kilka minut siedzieli i w milczeniu patrzyli na ekran telewizora.

– Ona jest całkiem w porządku – oznajmiła Emma.

Tully pomyślał, że mówi o aktorce.

– Ubiera się z większą klasą niż mama.

Był wykończony. Dopiero po chwili dotarło do niego, że „ona” to Gwen.

– Czasami mi się wydaje, że mama chciałaby mieć dwadzieścia parę lat zamiast czterdziestu paru.

– Cieszę się, że Gwen ci się spodobała – mruknął.

– Ty i mama byliście ze sobą bardzo długo, prawda?

Znowu pytania. Może wywołał je ten ślub. Czyż wszystkie dzieci nie wyobrażają sobie, że ich rozwiedzeni rodzice kiedyś się znów zejdą?

– Spotykaliśmy się dosyć długo, zanim się pobraliśmy. – Nie dodał, że nie chciał ożenić się z Caroline, dopóki nie zyska pewności, że ona pragnie właśnie jego, a nie jednego z jego kumpli. Nie lubił wspominać tamtej emocjonalnej szarpaniny. Czasami pionek, czasami rycerz.

Caroline tak działała na mężczyzn. W jednej chwili czuli się przy niej kimś wyjątkowym, a w następnej nic niewartym śmieciem, i cały czas konkurowali o jej względy.

– Znajomość na odległość – ciągnęła Emma. – Ty się wtedy uczyłeś w Quantico, a ona studiowała sztuki piękne w Chicago.

– To prawda.

– Jak trafiliście do Cleveland?

– Wychowałem się w Cleveland. Wiesz przecież. Mogę dostać łyka twojej dietetycznej coli?

Podała mu butelkę, nie przewracając oczami ani nie wzdychając znacząco. Była skupiona na czymś innym.

– A co z Indianą?

– Z Indianą?

– No. Czy nie nazywali cię Indy na tych kursach?

Kolejne wspomnienie, za którym nie przepadał. Pomimo upływu czasu.

– Nie, Indy to był mój kolega z pokoju w Quantico. Prawdę mówiąc, to on pierwszy umawiał się z mamą na randki. Tak właśnie ją poznałem.

Emma miała zakłopotaną minę.

– A jak ciebie przezywali? – Zanim się odezwał, sama sobie odpowiedziała: – Zaraz, ty byłeś J.B. Reggie to J.B. Miłośnik żelek.

Tully się skrzywił.

– Nie znosiłem imienia Reggie. Kiedy nazwali mnie J.B., postanowiłem oficjalnie używać pierwszych liter swoich prawdziwych imion.

– Prawdziwych imion?

– Reginald James.

– Wcale nie takie złe – powiedziała i zamilkła.

Kiedy się do niej odwrócił, zmarszczyła twarz w skupieniu, trzymając palec w ustach. Dawno temu przestała żuć kciuk i ogryzać paznokcie, ale czasami, gdy była zdenerwowana, jeszcze się jej to zdarzało.

– To mama powiedziała ci o Indym? – spytał Tully.

Pokręciła głową.

– Znalazłam listy schowane w starym biurku w nieużywanej sypialni. Myślałam, że to twoje listy do mamy.

– Nie do wiary, że trzymała je tyle czasu.

Ale z drugiej strony nie był zdziwiony. Kilka lat temu poczułby się zraniony tym, że Caroline przechowywała listy od Indy’ego. Teraz to już nie bolało, poczuł co najwyżej lekkie ukłucie, nic więcej.

– Przepraszam, tato. – Emma mówiła zatroskanym głosem, nie martwiła się jednak, że narobiła sobie kłopotów. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo się pomyliła. – Naprawdę myślałam, że to twoje listy.

– Nic nie szkodzi, Słodki Groszku. To bardzo odległa przeszłość.

– Właściwie nie taka odległa.

– Słucham?

– Większość listów jest z 1982 roku, ale są jeszcze trzy późniejsze. Najnowszy jest z lipca.

– Tego roku?

– Tak – odparła. – Gratulacje z okazji ślubu. Ale nie brzmią szczerze.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo on pisze coś takiego: Gratulacje z okazji wyboru niewłaściwego mężczyzny, i to po raz drugi. To dosyć nieuprzejme. – Przewróciła oczami. – Powinnam była wiedzieć, że ty byś tak nie napisał.

ROZDZIAŁ 65

USAMRIID

Powinna była się jakoś przygotować.

– Dostaje leki – oznajmił Platt, prowadząc ją korytarzami zbudowanymi z nieotynkowanych pustaków.

Maggie włożyła z powrotem swoje cywilne ubranie. Zadziwiające, jak taka prosta rzecz poprawia samopoczucie. Musiała jednak zostawić kwiecisty fioletowy żakiet. Został już wcześniej zabrany, z powodu wymiocin Mary Louise. Plam na rękawie. To jedno różniło los Maggie od losu Cunninghama.

Życie jest doprawdy pełne ironii, pomyślała. Jako agentka FBI stawała twarzą w twarz z mordercami, została zaatakowana nożem, postrzelona i zamknięta w zamrażarce. Ale nigdy by nie zgadła, że życie zależy od odległości dzielącej cię od wymiotującej małej dziewczynki.

– Jak się czuje Mary Louise? – spytała Platta, idąc labiryntem korytarzy.

Nie spodziewała się żadnych szczegółów. Dał jej jasno do zrozumienia, że stan pozostałych ofiar nie jest tematem do rozmowy.

– Ma się dobrze – rzekł, zerkając na nią. – Jak dotąd.

Dotarli do końca korytarza. Platt wbił kod, potem wsunął kartę magnetyczną do czytnika. Tym razem, słysząc syk

hermetycznych drzwi, Maggie nie poczuła skurczu żołądka. Platt położył rękę na klamce i znowu się obejrzał. W jego oczach dostrzegła obawę.

– Nie przywykła pani do takich widoków – uprzedził ją lojalnie.

Był pułkownikiem, dlatego w jego ustach wszystko brzmiało tak dramatycznie, dlatego brał wszystko z taką powagą. Musiał tak postępować, zwłaszcza w sprawach dotyczących życia i śmierci.

Weszła za nim do pokoju obserwacyjnego i natychmiast zauważyła, że wszystkie monitory i inne urządzenia szumią, błyskają i rytmicznie popiskują.

Była daleko od szklanej ściany dzielącej to pomieszczenie od małego szpitalnego pokoju. Starała się patrzeć na dwie osoby w kosmicznych kombinezonach, które się tam krzątały. Ustawiały właśnie kroplówkę, wieszały pojemniki, jeden z przezroczystym płynem, drugi z krwią albo plazmą. Od razu zrozumiała, że to nie żarty, tyle było tam różnych rurek i przewodów. No i cały ten sprzęt. Chociaż nie słyszała tych wszystkich dźwięków, widziała, jak jedna z osób naciska przyciski na urządzeniach i monitorach, połączonych z komputerami w ciemnym pomieszczeniu, gdzie stała z Plattem.

Z początku Maggie skupiła się na ludziach w kombinezonach i ich niespiesznych przemyślanych ruchach. Pracowali bez zarzutu, nieskrępowani kombinezonami, chociaż jakby w zwolnionym tempie.

Zupełnie jakby oglądała Discovery z wyłączonym dźwiękiem.

Jeden z kosmonautów przeszedł na drugą stronę pokoju i wtedy Maggie zobaczyła mężczyznę leżącego w łóżku.

Nie od razu go poznała. Jego przyprószone siwizną włosy wyglądały na przerzedzone, twarz była kredowo biała. Oczy miał zamknięte. Z jego rąk i nosa odchodziły rurki połączone ze sprzętem stojącym obok łóżka. Zmalał i schudł. Był taki drobny i bezbronny. Patrzyła na niego, szukając jakiegoś związku między tą bezradną postacią i jej pełnym energii szefem.

– U Mary Louise nie zaobserwowano dotąd żadnych objawów – rzekł nagle Platt. Zapomniała, że stał obok niej. – Być może wirus tkwi w niej w uśpieniu. Trudno to zrozumieć, czasami nie da się tego wyjaśnić. To pasożyt, który przenosi się z ofiary na ofiarę, jednych kompletnie wyniszcza, a drudzy służą mu tylko jako nośniki. Może u niej nigdy się nie pokaże. Tak jak u pani.

Stali w milczeniu chyba bardzo długo. Maggie przysięgłaby, że słyszy własny oddech. Nierówny oddech niczym wibrujące podmuchy w przejściu, gdzie zawsze wieje wiatr. Na pewno to tylko wyobraźnia. Albo jedno z tych urządzeń.

– Ale Cunningham nie miał tyle szczęścia? – Wreszcie to wydusiła, zerkając na Platta. – Ma już objawy? – spytała szeptem, którego sama nie poznawała. Może jednak ma problem z oddychaniem.

– Tak – odparł.

– Widział pan to już? W jego krwi?

Zawahał się. Po długiej chwili ciszy podniosła na niego wzrok. Tym razem popatrzył jej w oczy i zobaczyła w nich odpowiedź, zanim ją usłyszała.

– Tak.

ROZDZIAŁ 66

Poniedziałek, 1 października 2007

Platt odwiózł Maggie do domu. Odbyli godzinną podróż przed świtem, pod osłoną ciemności, jakby to była jakaś tajna operacja, wymagająca spektakularnych działań. Zerkał wciąż w tylne lusterko. Jego serce zaczynało bić szybciej, ilekroć jakiś samochód jechał za nimi zbyt długo. Za każdym razem okazywało się, że to nic takiego. Samochody skręcały albo ich mijały. Wpadał w paranoję.

Przed wyjazdem podpisał zezwolenie na wysyłkę szczepionki samolotem do Bixa do Chicago. CDC przesłało faksem oficjalną prośbę. Jako szef tej misji Platt na nią odpowiedział. W międzyczasie dowiedział się, że Janklow także wyraził zgodę na wysyłkę, ale o wiele mniejszej ilości szczepionki i z zastrzeżeniem, by przekazano ją wyłącznie dyrektorowi Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Nie CDC. Biurokracja? Osobista uraza? Platta to nie obchodziło. Zgadywał, że Janklow chciał być politycznie poprawny pomimo zagrożenia wybuchem epidemii.

Platt zauważył też, że w rozkazach Janklowa dotyczących przekazania szczepionki Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego nie było ani słowa na temat czterech ofiar wirusa przebywających w USAMRIID-zie. A przecież to idealna okazja, skoro już i Departament Bezpieczeństwa

Krajowego, i CDC zostały w to włączone. Ale Janklow nadal ukrywał to, co działo się na jego własnym podwórku.

Jeśli chodzi o McCathy'ego, Platt nie był pewien, czy i do jakiego stopnia był w to wszystko zaangażowany. Przyjdzie pora na konfrontację z obydwoma mężczyznami, ale najpierw musi się upewnić, że cztery osoby znajdujące się pod jego opieką są bezpieczne.

Etyka zawodowa nie pozwalała Plattowi nie leczyć dyrektora Cunninghama, pani Kellerman czy Mary Louise. Każde z nich wymagało specjalistycznej opieki medycznej, a także dziennej dawki szczepionki. Agentka O'Dell potrzebowała na razie tylko szczepionki. Gdyby okazała się jedyną osobą, która przeżyje, co Janklow by z nią zrobił? Platt wolał nie pozostawiać tej decyzji Janklowowi.

Zerknął na Maggie, na zarys jej postaci zaznaczony tylko poświatą zielonej lampki z deski rozdzielczej. Wydawała się inna niż za barierą szklanej ściany. Po zobaczeniu Cunninghama zrobiła się bardziej milcząca. Ale w swoim normalnym ubraniu nie wyglądała tak bezradnie. Platt pożyczył jej swoją bluzę college'u William and Mary zamiast żakietu, który musiała zostawić, bo noc była chłodna. Z początku się wahała, nadając jego gestowi więcej znaczenia, niż było to konieczne. Przeszło mu przez myśl, że Maggie O'Dell po prostu nie przywykła, by ktoś się o nią troszczył.

– To nie znaczy, że ze sobą chodzimy ani nic takiego – zażartował, spodziewając się złośliwego inteligentnego komentarza. Ale ona powiedziała tylko:

– Dziękuję – i włożyła bluzę.

Kiedy byli już w drodze, z dala od USAMRIID-u, odezwała się:

– Obawia się pan, że ten człowiek, który rozsyła wirusa, jest z waszego laboratorium?

Zerknął na nią, nie rozumiejąc, dlaczego się dziwi, że natychmiast, nie owijając w bawełnę, przeszła do rzeczy. Zawsze podczas ich rozmów tak robiła.

– Przemknęło mi to przez myśl.

Sam już nie wiedział, czy może się z nią podzielić wszystkimi podejrzeniami. Być może już grozi mu sąd wojskowy, mimo jego starań, by postępować jak należy.

– To ktoś ze zranionym ego – zauważyła. – Być może zajmował się czymś ważnym i nie został doceniony. Ktoś pragnący ukarać, wymierzający perwersyjnie pojmowaną sprawiedliwość. Zna pan kogoś takiego?

– Mówimy o instytucji pełnej osób o wybujałym ego, które pracują nad najbardziej tajnymi sprawami w kraju – odparł Platt, chociaż natychmiast pomyślał o McCathym.

Zamiast naciskać, Maggie zapytała:

– Czy wiedzą, jak doszło do zakażenia w Chicago?

– Księgowy z Chicago, niejaki Markus Schroder, zgłosił się do szpitala. Nie mieli pojęcia, co mu dolega. Skończyło się na tym, że otworzyli jamę brzuszną.

– Wie pan przypadkiem, czy otrzymał jakąś przesyłkę pocztą?

– Pytałem Bixa. To człowiek z CDC. Obiecał, że sprawdzi.

– Markus Schroder – powtórzyła, patrząc w ciemność.

– Sądzi pani, że to nazwisko coś znaczy? Jak w przypadku Kellerman?

– Zobaczymy. To nie przypadek, że zdarzyło się to w Chicago. To tam były ofiary tylenolu. Musi istnieć jakiś związek. Tyle mogę w tej chwili powiedzieć. Jeśli Markus Schroder otrzymał podobną przesyłkę co Kellerman, nie jest przypadkową ofiarą.

– Zawsze szuka pani logicznego wyjaśnienia, nawet w takim szaleństwie?

Czuł na sobie jej spojrzenie. Przyglądała mu się, sondowała go, czy mówi poważnie. Ale on nie spuszczał wzroku z drogi.

– Najłatwiej byłoby uznać, że ludzie popełniający takie zbrodnie to szaleńcy. Że w ich mózgu jest jakiś uszkodzony neuron albo dwa.

– Jeżeli to nie szaleństwo w nich siedzi, to co?

Zawahała się, ale tylko na moment, po czym odparła ze spokojem:

– Zło.

ROZDZIAŁ 67

Szpital św. Franciszka
Chicago

Doktor Claire Antonelli nie mogła dyskutować z Rogerem Bixem. Wiedziała, że on ma rację. Jej syn musi przejść kwarantannę. Nie chciała przyznać, że mógł zarazić się wirusem za jej pośrednictwem. Żadne z nich dwojga nie miało objawów. Musiała wierzyć, że są zdrowi, choć bała się śmiertelnie. Jej syn udawał, że to świetna przygoda.

– Właśnie czytaliśmy o eboli na lekcji historii. Może teraz potraktują mnie ulgowo – zażartował.

Pielęgniarki z chirurgii przygotowały dla niego pokój. Była jakaś ironia, a równocześnie coś uspokajającego w fakcie, że miała go tak blisko w samym centrum tego chaosu. Właśnie szła sprawdzić, czy już się rozlokował, kiedy spotkała Rogera Bixa. Nabrał zwyczaju zwracać się do niej ze wszystkimi sprawami. Przy kilku okazjach między Bixem i doktorem Milesem doszło do konfrontacji w kwestii procedur i strategii. Claire była zbyt zmęczona, by się sprzeczać… z kimkolwiek. Tego ranka pojawiły się media. WGN-TV i Channel 9 ustawiły przed szpitalem kamery. Jeśli Bix szuka kogoś, kto udzieli mu wywiadu, będzie musiał dalej się rozglądać.

Szedł obok niej, bo na jego widok nawet nie przystanęła ani nie zwolniła.

– Mamy szczepionkę – oznajmił.

To ją zatrzymało.

– Szybko.

– Specjalna dostawa drogą powietrzną.

– Ile?

– Na początek dosyć. To seria zastrzyków. Na tym musimy się skupić. Co mamy powiedzieć ludziom.

Więc jednak nie dosyć, pomyślała Claire. Właśnie to chciał jej oznajmić. Na myśl o fałszywej nadziei rozbolał ją żołądek. Zapewne dostrzegł jej sceptycyzm, gdyż dodał:

– Na pewno wystarczy. Dzisiaj rano dostaniemy pierwsze wyniki badania krwi. Nie każdy, kto miał kontakt z tym mężczyzną, zaraził się ebolą. Pierwsze zastrzyki to tylko środek ostrożności.

– Oczywiście – odparła, widząc, że Bix przeniósł wzrok gdzieś dalej.

– Chciałbym, żeby pani zapytała panią Schroder, czy Markus otrzymał w ostatnim tygodniu lub trochę wcześniej, zanim zachorował, jakąś niecodzienną przesyłkę.

– Przesyłkę? Jakiego rodzaju?

– Ze szczelnie zamykaną foliową torebką w środku.

Claire spojrzała na niego pytająco, ale najwyraźniej więcej nie zamierzał jej zdradzić. Zamiast tego zaczął mówić, gdzie i jak zaczną podawać szczepionkę.

W tej samej chwili szybkim krokiem podeszła do nich pielęgniarka Amanda Corey.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wyrzuciła z siebie bez tchu – ale chyba chcielibyście wiedzieć to jak najszybciej. Markus Schroder umarł.

ROZDZIAŁ 68

Quantico

Tully porozkładał otwarte teczki na całym biurku. Większą część poprzedniego dnia szukał czegoś, co wskazałoby na jakiekolwiek powiązania Cunninghama z tym terrorystą. Szef był zaangażowany we wszystkie najważniejsze dochodzenia w kraju: Unabombera, snajperów z Beltway, Erica Rudolpha, Timothy'ego McVeigha, wąglika. Lista nie miała końca. To było przytłaczające. Tully przeglądał oryginalne teczki spraw, szukając nazwisk, które się powtarzają, zwłaszcza związanych z USAMRIID-em.

Właśnie zabrał się za kolejne pudło, gdy w drzwiach pojawił się Ganza.

– Słyszałeś o Chicago?

– Wygrali Bears czy Sox? – spytał Tully, zanim zobaczył przerażone spojrzenie Ganzy.

– CDC stwierdziła przypadek eboli w podmiejskim szpitalu.

– Żartujesz.

– Chciałbym.

Ganza mu wszystko zrelacjonował, a potem wskazał na pobojowisko na biurku.

– Szukam jakiegoś powiązania – rzekł Tully – z Cunninghamem. Ale grzebanie w śledztwach, w których

brał udział, to jak szukanie igły w stogu siana.

– Odzywał się do ciebie?

Tully potrząsnął głową.

– Od soboty nie. Dał mi jakiś numer. Dzwoniłem, ale nikt nie odpowiada.

Obaj mężczyźni spuścili wzrok w milczeniu. W końcu Ganza mruknął, że zatelefonuje do kolegi z CDC.

– Dam ci znać, czego się dowiedziałem – rzekł i wyszedł, zostawiając Tully'ego z jego bałaganem.

Tully'emu trudno było teraz myśleć o Cunninghamie. Znał agentów, którzy zginęli, pełniąc obowiązki. Wszyscy agenci mieli świadomość, że może ich to spotkać. Ale to co innego. Cunningham należał do niezwyciężonych. Kule się od niego nie odbijały, ale gdyby tak było, Tully wcale by się nie zdziwił. Cunningham był ich liderem, ich podporą. Wydawało się okrutne i niesprawiedliwe, że dopadła go niewidzialna broń niewidzialnego zabójcy. Żadne szkolenie nie przygotowuje człowieka do takich sytuacji.

Przypomniał sobie własne szkolenie. Emma przywołała wspomnienia swoimi pytaniami. Kiedy on, Razzy i Indy byli razem, wierzył, że zmienią świat, pokonają zło. To były lata osiemdziesiąte. Związek Radziecki walił się razem z murem berlińskim. Koniec zimnej wojny. Przy Reaganie duma znowu przestała być czymś wstydliwym. A oni trzej byli młodzi, silni, pełni ideałów i bardzo różni. Łączył ich jeden wspólny cel. Jedna głupia, za to przepiękna flirciara ich rozdzieliła. Co za ironia!

Tully zerknął na zdjęcie Emmy stojące na rogu biurka. Zza stosu ledwie widział jej twarz. Przypomniał sobie wszystkie sprawy, nad którymi pracował przez minione ćwierć wieku. Miał też poważne śledztwa w swoim życiorysie: Unabombera, Jeffery'ego Dahmera, Alberta Stucky'ego, Timothy'ego McVeigha, 11 września. Ale to Emma była najważniejsza, dla niej warto było żyć. Emma, a teraz jeszcze może Gwen Patterson.

Myślał o Gwen, kiedy zadzwonił telefon.

– R.J. Tully – powiedział do słuchawki.

– Dlaczego przysłałeś mi pieniądze? I to w foliowej torebce, na Boga?

To dzwoniła jego była żona. Ta niegdyś głupia, za to przepiękna flirciara była wściekła jak wszyscy diabli.

ROZDZIAŁ 69

North Platte, Nebraska

Patsy Kowak nie mogła w to uwierzyć. Dotykała koperty zostawionej dla niej na środku kuchennego stołu. Jej zawartość wystawała na zewnątrz: były to dwa bilety lotnicze pierwszej klasy do Cleveland, w stanie Ohio. Znalazła je tego ranka, gdy usiadła do porannej kawy.

– Zarezerwowałem dla nas pokój w Hyatt Regency – oznajmił Ward zza jej pleców. Nie słyszała, kiedy wszedł. – Chciałaś się tam zatrzymać, prawda?

– Tak mówiłam. Nie myślałam, że w ogóle słyszałeś.

– Słyszałem. – Nalał sobie kubek kawy i usiadł naprzeciw niej. Nigdy nie siedział z nią przy stole i nie pił kawy. Zwykle napełniał termos i z samego rana znikał.

– Te bilety są na środę – zauważyła Patsy, bębniąc palcami w stół, jakby wciąż nie wierzyła, że są prawdziwe.

– Tak, mamy przerwę w podróży w Atlancie. Prawie cały dzień będziemy lecieć. Pomyślałem, że możemy mieć czwartek dla siebie, żeby posiedzieć i odpocząć. Trochę się zrelaksować.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Jesteś pewien, że wiesz, jak to się robi?

– Co? Odpoczywa? Chyba sobie poradzę. Lee i Betty obiecali, że wszystkim się tu zajmą.

Patsy wzięła do ręki bilety pierwszej klasy.

– Co się stało? Kiedy ostatnim razem rozmawialiśmy, nie chciałeś jechać.

– Zrozumiałem, ile to dla ciebie znaczy.

– Ale nie dla ciebie? – Jego odpowiedź ją rozczarowała.

Dostrzegł to. Jak mógłby nie dostrzegać takich rzeczy po trzydziestu dwóch latach małżeństwa?

– Nie zgadzam się z wyborem Conrada – oświadczył, unikając jej wzroku i patrząc na swój kubek z kawą, jakby w nim znajdował właściwe słowa. – Mogę się z nim nie zgadzać, ale to mój syn.

Patsy wyciągnęła rękę przez stół i położyła ją na jego zgrubiałej dłoni. Ward nie lubił okazywania czułości i szybko zmienił temat.

– Szykuj się, zrób sobie manikiur – powiedział, ujmując jej dłoń. Udawał, że tylko jej się przygląda. – Ciężko pracujesz. Zrób sobie przyjemność.

Miała zniszczone ręce, spierzchniętą i czerwoną skórę, a miejsca, gdzie za głęboko wycięła skórkę przy paznokciach, były zaognione. Tak, zrobi sobie przyjemność.

Wiedziała, że Ward zmieni zdanie. Jej mąż był dobrym człowiekiem. Dobrym ojcem. Tak się ucieszyła, że prawie zapomniała, iż wstała tego dnia z bólem głowy i pleców. Gdy się podniosła, natychmiast sobie o tym przypomniała. Zdawało jej się, że w jej głowie, zwłaszcza w okolicy czołowej, stuka tysiąc małych młoteczków. Przyłożyła dłoń do skroni. Chyba ma też gorączkę. Nie może się teraz

rozchorować. Za dwa dni wybiera się na ślub syna. Nie może teraz być chora.

Zerknęła na zegar na ścianie, wzięła do ręki telefon i z pamięci wybrała numer.

– Biuro Conrada Kovaka – odezwała się jakaś kobieta głosem, który zniechęcał rozmówcę do odpowiedzi.

Patsy zastanawiała się, czy powinna zwrócić na to uwagę synowi.

– Czy zastałam Conrada?

– Pan Kovak ma spotkania całe przedpołudnie.

– Mówi jego matka.

Patsy czekała. Dla poprzedniej asystentki Conrada ta informacja coś znaczyła. Jeśli Conrad był akurat przez chwilę wolny, Renae łączyła go z Patsy. Ale tej asystentce najwyraźniej nie robiło różnicy, kto dzwoni.

Po długiej przerwie kobieta zapytała:

– Chce pani zostawić wiadomość?

– Tak, chyba tak – odparła Patsy, i już miała poprosić, by Conrad do niej oddzwonił, kiedy po jakimś dziwnym kliknięciu odezwał się inny głos, mówiący, żeby zostawić wiadomość po sygnale.

Asystentka przełączyła ją na sekretarkę automatyczną. Renae nigdy by tego nie zrobiła.

– Conrad, mówi mama. Chciałam ci tylko powiedzieć, że w środę lecimy do Cleveland. Twój tata kupił bilety pierwszej klasy. I to sam, z własnej woli. Nawet nie musiałam mu mówić, że przysłałeś pieniądze. Zadzwoń do mnie później, kochanie.

Patsy się rozłączyła. Musi teraz coś połknąć, żeby grypa jej nie rozłożyła.

ROZDZIAŁ 70

Newburgh Heights, Wirginia

Benjamin Platt zasnął w pokoju gościnnym Maggie. Jej udało się wcześniej przespać parę godzin, a teraz bardzo chciała wrócić do normalnego życia. Włożyła T-shirt z długimi rękawami, krótkie spodnie i buty do biegania. Wzięła ze sobą komórkę i klucze i wybrała się na poranny jogging. Miała wrażenie, że musi nadrobić stracony czas.

Tak sobie powiedziała, kiedy przebiegła już ponad półtora kilometra. A jednak ból mięśni i w klatce piersiowej kazał jej zamienić bieg na szybki chód. Wdychała rześkie poranne powietrze, jakby była go pozbawiona przez wiele tygodni.

Zapomniała, jak pięknie wygląda niebo, po deszczu czyste i błękitne. Nad jej głową odezwało się stadko dzikich gęsi. Beagel na końcu ulicy już zaczął szczekać, czując, że zbliża się Maggie. Będzie zawiedziony, gdy odkryje, że nie ma z nią Harveya. Złote i pomarańczowe chryzantemy konkurowały na podwórkach z fioletowymi jesionami i ogniście czerwonymi krzewami. Ktoś podawał bekon na śniadanie.

Znała to wszystko zbyt dobrze, a mimo to jej zmysły rozpaliły się jak po długim bezwładzie. Nawet jej codzienna rutyna wydawała się teraz czymś nowym. Musi nastawić się

pozytywnie. Dotąd w jej krwi wirusa nie znaleziono. Może potrafi go powstrzymać.

Nie mogła jednak przestać myśleć o Cunninghamie. W kółko rozpamiętywała szczegóły. Kilka spraw nie dawało jej spokoju, choć nie pojmowała, dlaczego. Obudziła się z odpowiedzią na jedno z pytań tej łamigłówki, odpowiedzią tak oczywistą, że nie mogła uwierzyć, iż wcześniej jej nie dostrzegła. Nie była jednak pewna, czy to ważne.

Co z tego, że ten ktoś jest ekspertem od detali zbrodni? Może ten fragment układanki coś znaczy, a może nie. Może facet tylko się popisuje.

Zerknęła na zegarek i wyjęła telefon komórkowy.

Odebrał szybciej, niż się spodziewała.

– Agent Tully.

– Tu Maggie.

– Mój identyfikator rozmówcy mówi mi, że oddali ci komórkę.

– Tak, i wypuścili mnie do domu.

Zapadła cisza. Trwała tak długo, że Maggie pomyślała, iż straciła łączność.

– Wypuścili cię?

Powiedział to takim tonem, że aż się uśmiechnęła. Czy naprawdę martwił się, że uciekła bez niczyjej wiedzy?

– O świcie pułkownik Platt odwiózł mnie do domu. – Zdawało jej się, że usłyszała westchnienie ulgi. – Chyba znalazłam odpowiedź na jedno z naszych pytań.

Chodzi mi o „Zadzwonić do Nathana”. Mówiłeś, że to było odciśnięte na kopercie.

– Owszem.

– Myślę, że to było w dziewięćdziesiątym trzecim, ale nie dam głowy. FBI oferowało milion dolarów nagrody za informację dotyczącą niejakiego Nathana R. Miało to związek z Unabomberem.

– Okej, zaczyna brzmieć znajomo.

– Na liście, który Unabomber wysłał do „New York Timesa”, też był odciśnięty napis. Sądzili, że zapisał sobie coś na kartce, która leżała na kopercie, a potem to przeoczył. O ile mnie pamięć nie myli, były to słowa: „Zadzwonić do Nathana R. W środę o siódmej wieczorem”.

Na końcu ulicy Maggie zauważyła samochód. Zwolnił, zatrzymał się, choć nie było tam znaku stop, po czym ruszył dalej. W tej okolicy nie widywało się samochodów, które powoli sobie jeżdżą. Postanowiła zawrócić w stronę domu.

– Sprawdzę to w komputerze – rzekł Tully.

– Okazało się, że się mylili. Zdaje się, że to wydawca czy ktoś inny z „Timesa” zrobił sobie notatkę na tym liście, zanim dowiedział się, co to za list. To jego charakter pisma odcisnął się na liście Unabombera.

– Więc to nic nie znaczyło – powiedział Tully. – I nic nie znaczy w sprawie eboli. Poza tym, że facet bawi się z nami w kotka i myszkę.

– Może jego prawdziwym celem są pracownicy organów ochrony porządku publicznego, a ofiary są tylko fragmentami jego układanki.

– Może. – W tonie Tully’ego pobrzmiewało powątpiewanie.

– O co chodzi?

– Moja była żona dostała dzisiaj rano jakąś przesyłkę pocztą. Adres jest wypisany drukowanymi literami. W środku plastikowa szczelnie zamknięta torebka. A ja występuję jako nadawca.

– Jezu, Tully. Proszę, nie mów, że otworzyła tę torebkę.

– Nie, nie otworzyła. Nie wiem, czy to coś jest, czy tylko jakiś okrutny zbieg okoliczności.

– To nie jest zbieg okoliczności. Co jest w tej foliowej torebce?

– Powiedziała, że wygląda to na plik dziesięciodolarowych banknotów.

Maggie skrzywiła się. Czy to może być takie proste? Żeby ktoś bez wahania otworzył paczuszkę z wirusem ebola? Znowu ujrzała ten samochód. Od domu dzieliły ją jeszcze dwie przecznice.

– Tully, a wracając do tego „Zadzwonić do Nathana". George Sloane powinien był to rozpoznać.

– Tak, to samo pojawiło się w sprawie snajperów z Beltway. Spieszył się akurat. Był zniecierpliwiony. Wkurzony, że musi pracować ze mną, a nie z Cunninghamem.

– Myślę, że powinniśmy znowu z nim pogadać. Pokazać mu ten list jeszcze raz. Sprawdź, czy mogą nam przysłać faksem kopię koperty z domu Kellerman.

– Jasne. Jeśli uważasz, że to pomoże.

– Masz jakieś wiadomości z Chicago?

– Ganza miał zadzwonić do kogoś z CDC.

– Zadzwonię do Sloane’a. Spytam, czy może się z nami spotkać. Aha, Tully, musisz jedno poważnie przemyśleć. Cunningham mógł mieć rację, że to coś osobistego. Ale może chodzi o ciebie, a nie o niego.

– Już o tym myślałem.

Słyszała zbliżający się samochód.

– Muszę kończyć. Odezwę się później.

Zanim się rozłączyła, samochód znalazł się tuż obok niej.

– Halo, proszę pani. Pora wracać do domu.

Maggie odwróciła się i za kierownicą granatowego sedana zobaczyła Nicka Morrelliego.

ROZDZIAŁ 71

Newburgh Heights, Wirginia

Benjamin Platt czuł się świetnie, siedząc na patiu Maggie w T-shircie, dżinsach i na bosaka. Zostawiła dzbanek świeżo zaparzonej kawy, chociaż znając jej prośby z celi, wiedział, że za kawą nie przepada. Nalał sobie filiżankę i ruszył z nią na patio.

Podwórze Maggie było bardzo ładne. Prywatne sanktuarium pełne bujnej zieleni. Był zaskoczony. Przypominało mu to zalesiony teren za jego własnym domem i zabudowany ganek z widokiem na las. Niewiele wiedział o architekturze krajobrazu. Wyglądało na to, że Maggie przeciwnie. Wysokie na prawie dwa metry ogrodzenie ciągnęło się aż do strumienia. Potężne sosny okalały teren z drugiej strony, zasłaniając widok na sąsiednie podwórza i domy. Każdy kąt sprawiał wrażenie profesjonalnie zaprojektowanego. Angielski ogród z więdnącymi już kwiatami i skałkami otaczały krzewy różane.

Widząc pogryzione zabawki w wiklinowym koszu w rogu patia, Platt domyślił się, że mieszka tutaj także pies. Duży pies. Z kolei zauważywszy bukiet świeżych kwiatów – z bilecikiem i słowami: „Całuję, Nick” – zgadywał, że Maggie ma kogoś, z kim dzieli przynajmniej fragment

swojego życia. To też go nie zdziwiło. Była piękną, inteligentną kobietą. Nawet Platt, ślepy pracoholik, to zauważył.

I to na długo, nim zaoferowała mu sypialnię. Platt zdał sobie sprawę, że Maggie rzadko składa takie propozycje. Wzdłuż jednej ze ścian sypialni stały pudełka teczek z dokumentami, na komodzie leżały sterty książek. Mimo to spał mocno, choć tylko parę godzin. Nic mu się nie śniło. Żadna mała dziewczynka, Ali czy Mary Louise. Żadne helikoptery ratunkowe czy improwizowane ładunki wybuchowe. Po prostu spał. To była rzadka przyjemność.

Potarł zarośniętą szczękę. Zerknął na zegarek. Wypił łyk kawy. Musi wracać do USAMRIID-u. Musi skonfrontować się z Janklowem. Musi wiedzieć, czy Michael McCathy ma coś wspólnego z przypadkami eboli. Im dłużej o tym myślał, tym mocniej wierzył, że to możliwe. Ostatniej nocy sprawdził teczkę McCathy’ego. Był inspektorem broni biologicznej w Iraku. Wcześniej należał do zespołu, który jeździł po świecie, polując na wirusy. Nie po to, by je pokonać, ale po to, by je zdobyć.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że w latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych Stany Zjednoczone gromadziły groźne czynniki biologiczne, aby się nimi ewentualnie posłużyć w obronie własnej. Żeby ich użyć jako broni. To zapewne jeden z powodów, dla których McCathy został później wysłany do Iraku. Oczywiście, potrafił zidentyfikować broń masowego rażenia, skoro wcześniej zdobył ją dla swojej drużyny.

Platt przyłapał się na tym, że pije kawę duszkiem. Oparł głowę, zamknął oczy i wsłuchał się w ciszę. Pewnie prędko już takiej ciszy nie usłyszy.

ROZDZIAŁ 72

– Co tutaj robisz, Nick?

– Jestem w Waszyngtonie od piątku, na konferencji. Chciałem cię zobaczyć przed powrotem do Bostonu.

Kiedy nie odpowiadała, podjął:

– Zostawiłem ci wiadomość. – Uśmiechnął się znowu, tak jak tylko on potrafił. – I kwiaty.

– Nie było mnie. – Nie tłumaczyła się. Nick nie może pojawiać się w jej okolicy ni stąd, ni zowąd, kręcić się po ulicach, nawet jeśli dobrze mu w tym granatowym garniturze, który podkreśla jego niebieskie oczy. – Jestem zajęta, pracuję. Muszę już lecieć.

Ruszyła przed siebie, ignorując trzask drzwi samochodu. Nick dogonił ją i szedł obok.

– Czy jeszcze kiedyś usiądziemy i pogadamy?

– O czym mielibyśmy pogadać, Nick?

– Od miesięcy usiłuję z tobą pogadać o tym, co czuję.

– O tym, co czujesz? A nie o tym, co ja czuję?

– Nie, oczywiście. To znaczy, chcę wiedzieć, co czujesz. Moglibyśmy zjeść razem lunch i pogadać?

Może w innych okolicznościach stwierdziłaby, że jego wytrwałość jest miła, urocza, ujmująca. Ale biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszła w ciągu ostatnich paru dni, te... te naiwne umizgi wydawały się frywolne, puste,

może nawet nieszczere. Chociaż to nie jego wina. Nick Morrelli po prostu inaczej nie potrafi.

Zatrzymała się przed swoim domem, na skraju podwórza. Land-rover Platta wciąż stał na podjeździe.

– Twierdzisz, że coś do mnie czujesz, Nick, ale nawet mnie nie znasz.

– Znam cię. Wiem, że lubisz pizzę z włoską kiełbaską. Skończyłaś Uniwersytet stanu Wirginia. Jesteś twarda, piękna i inteligentna. A tego, czego nie wiem, chcę się dowiedzieć. To się chyba liczy.

Przeczesała włosy palcami, sfrustrowana i niepewna. Jeśli to się nie liczy, jeśli on się nie liczy, to czemu tak ją denerwuje, że on jej nie rozumie?

– Byłeś kiedyś sam, Nick?

– Jasne. Jestem sam, odkąd rozstałem się z Jill.

– Nie o to chodzi… – Nie była pewna, czy potrafi wyjaśnić, co czuła w celi. – Tak naprawdę sam. Masz rodzinę: mamę, Christine, Timmy’ego. I nigdy długo nie byłeś sam. Ile czasu najdłużej wytrwałeś bez kobiety?

– Czy to ważne? Niewiele z nich w ogóle coś dla mnie znaczyło. Tak, miałem dużo kobiet. To ci przeszkadza?

– Nie, oczywiście, że nie. – Przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę. Nie miała ochoty na tę rozmowę, a już na pewno nie przed swoim domem. – Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie.

Już miał coś wtrącić, ale go powstrzymała, unosząc ręce.

– Nie jestem gotowa na żaden związek, z nikim. Nie w tej chwili. Potrzebuję spokoju.

– Wszystko w porządku? – zawołał Platt.

Maggie się odwróciła. Platt stał w drzwiach jej domu, patrząc na Nicka, gotowy wkroczyć do akcji w razie konieczności.

– Tak – odparła.

Kiedy wróciła wzrokiem do Nicka, przeniósł spojrzenie na Platta, dopiero teraz zauważył land-rovera. Z jego twarzy zniknęły urok i pewność siebie. Przez chwilę wydawał się zmieszany, potem urażony.

– Rozumiem – rzekł, unikając jej wzroku.

Był zraniony, zakłopotany.

– To nie tak – powiedziała, chociaż raz jeszcze przypomniała sobie, że nie jest mu winna żadnego wyjaśnienia.

– Zostawię cię w spokoju. To miałaś na myśli, tak? Chcesz, żebym ja zostawił cię w spokoju.

– Nie to mówiłam.

Ale on już szedł do samochodu. Tak łatwo dał się samemu sobie przekonać, że ma rację. Wcale jej nie słuchał.

Gdyby to było ważne, gdyby Nick był ważny, pobiegłaby za nim. Zwykle podążała za instynktem. Jeszcze nigdy źle jej nie poprowadził. Teraz też go posłuchała. Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

ROZDZIAŁ 73

– Przepraszam – rzekł Platt.

– To nie pańska wina.

– Gdyby mnie tutaj nie było, nie odniósłby tego mylnego wrażenia.

– Odniósł takie wrażenie, jakie chciał odnieść.

Platt nie potrafił rozgryźć Maggie. Nie wiedział, czy jest zła, zmartwiona czy smutna. Przestraszył się, że Janklow wysłał po nią kogoś, by ją zabrać, a tymczasem okazało się, choć zrozumiał to zbyt późno, że wtrącił się do sprzeczki kochanków.

Paranoja. Wpada w paranoję.

– Muszę wracać do USAMRIID-u – oznajmił. – Ale przedtem zrobię pani zastrzyk.

Skinęła głową i usiadła przy blacie kuchennym, przesuwając na bok bukiet kwiatów. Wyglądała na wymęczoną, i to nie tylko sprzeczką.

– Jadła pani coś?

– Zwykle najpierw biegam, potem jem.

A więc biegała. Miał chęć ją zganić. Zamiast tego pozwolił sobie otworzyć lodówkę. Była dobrze zaopatrzona. Wyjął jajka, karton mleka, paczkę sera cheddar i zieloną paprykę.

– Patelnia? – spytał.

Wskazała na szufladę pod kuchenką.

– Nie mam czasu jeść – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. – Muszę brać się do roboty. Wziąć prysznic. Umówić się na spotkanie.

– Nie dam pani szczepionki na pusty żołądek, więc proszę się teraz umówić. Wziąć prysznic. A jak pani skończy, omlet będzie gotowy.

– Myślałam, że wojskowym lekarzom gotują żony.

– Wojskowi lekarze zbyt rzadko bywają w domu, żeby utrzymać przy sobie żony.

– Tak było w pana przypadku?

Spojrzał na nią, zastanawiając się, jak ona to robi. Potrafiła go kompletnie zaskoczyć, kiedy najmniej się tego spodziewał.

– Skąd pani wie, że jestem rozwiedziony?

– Stara sztuczka. Sam pan mi to oświadczył. Wiem też, że ma pan psa.

– Słucham?

– Białego, ale nie labradora, bo włos, który przyczepił się do pana bluzy, nie jest taki ostry.

– Skąd pani wie, że to nie kot?

– Zdecydowanie nie wygląda pan na właściciela kota.

– Hm… dosyć stara sztuczka. – Wyjął deskę do krojenia, nóż i zaczął kroić paprykę. – Nazywa się Digger. To west highland terrier. Dobry towarzysz. Należał do mojej córki.

– Pańska żona nie pozwalała córce trzymać Diggera w domu?

– Moja córka zmarła pięć lat temu.

– Mój Boże, Ben.

Czuł na sobie jej wzrok. Nie spojrzał na nią. Pokroił paprykę, rozbił jajka, wlał odrobinę mleka.

– Nic nie szkodzi – rzekł.

Znał tę frazę na pamięć.

– Tego nie wiedziałam.

– Zmarła z powodu komplikacji po grypie. Byłem wtedy w Afganistanie. To było tuż po rozpoczęciu wojny. Moja żona myślała, że Ali wydobrzeje. Zdawała sobie sprawę, że nie puszczą mnie do domu tylko dlatego, że Ali ma grypę, więc nic mi nie powiedziała. Nie mówiła nic, aż było już za późno.

Uświadomił sobie, że ściska brzeg blatu, jakby musiał się czegoś trzymać. Nie chciał wiedzieć, czy Maggie to zauważyła. Sięgnął po jajka zmieszane z mlekiem i starał się o czymś pomyśleć, o czymkolwiek, byle nie myśleć o tamtym.

– A skoro już się sobie zwierzamy – rzekł w końcu – to jak dawno pani się rozwiodła?

Teraz ona była zaskoczona.

– To nie sztuczka. – Uśmiechnął się. – To jest w pani dokumentach.

– Ach, oczywiście. Jakieś cztery lata temu.

Nie była pewna. Platt pomyślał, że to dobry znak.

– Czy to był pani eksmąż?

– Nie.

Nie wyjaśniła nic więcej. Nie nalegał.

– Ciekawe – powiedziała. – Ile rzeczy pan odgadł... ilu ja się domyśliłam...

Czekał i słuchał. Już wiedział, że Maggie nie lubi się zwierzać.

– Pytał mnie pan – podjęła – czy chciałabym, żeby pan do kogoś zadzwonił w moim imieniu. A ja sobie uprzytomniłam, że nikogo takiego nie ma.

– Ale ktoś panią odwiedził.

– Przyjaciółka. Bardzo wyjątkowa przyjaciółka.

Chciał zapytać o tego mężczyznę, z którym stała przed domem. Dlaczego nie wiedział, że spędziła weekend w celi? Dlaczego do niego nie zadzwoniła? Zamiast tego stwierdził:

– Większość osób uważałaby się za szczęśliwców, mając przynajmniej jednego wyjątkowego przyjaciela.

– Podejrzewa pan kogoś z USAMRIID-u. – To nie było pytanie. – Czy dlatego uznał pan, że pozostawanie tam może być dla mnie niebezpieczne?

Teraz podniósł na nią wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Mój zwierzchnik chciałby wyciszyć tę sprawę.

– Razem z czwórką ofiar. – W jej oczach przemknął cień paniki. – Może to zrobić?

– Nie, nie może. Dzisiaj z samego rana rodziny ofiar zostały o wszystkim powiadomione. Wczoraj bez jego oficjalnej zgody zacząłem podawać szczepionkę. Pojawienie się wirusa w Chicago oznacza kolejne ofiary. Tego, co stało się w Elk Grove, nie da się teraz wymazać.

– Czy jest prawdopodobne, że on kryje kogoś z Instytutu?

– Tego nie wiem.

– Ale nie wyklucza pan, że morderca ma dostęp do USAMRIID-u?

– Mamy tam kilka osób z dość wybujałym ego. Większość z nas ma dostęp do czynników znajdujących się na poziomie największego zagrożenia. Nie wiem, czy ktoś byłby zdolny rozesłać ebolę pocztą, ale się tego dowiem.

ROZDZIAŁ 74

Tully wiedział, że Maggie ma rację. W tym było coś osobistego. Jak inaczej miałby wyjaśnić, że Caroline otrzymała przesyłkę z foliową szczelnie zamykaną torebką? I z jego adresem jako adresem nadawcy? Przesłała mu faksem skserowaną kopertę. Na pierwszy rzut oka drukowane litery wyglądały identycznie jak te z listu z pudełka z pączkami. To musi być ten sam człowiek.

Tully zdał sobie sprawę, że sam może stanowić jeden z celów. Pudełko pączków. W piątek rano spóźnił się do pracy, inaczej mógłby być pierwszym, który sięgnąłby po pączka, znalazł list. To on znajdowałby się w tej chwili na miejscu Cunninghama.

Kiedy skończył rozmawiać z Maggie, zadzwonił do Emmy. Odruchowa reakcja. Tego dnia była sama w domu. Nie miała lekcji. Przerwa jesienna. Chciał ją prosić, by nie wychodziła ani nie otwierała nikomu drzwi. Nie, nie o to chodzi. Chodzi o to, by nie otwierała żadnych przesyłek. Zwłaszcza takich, w których są pieniądze.

Włączyła się jej poczta głosowa. Pewnie plotkuje przez telefon z koleżanką. Cholera. A on był zbyt skąpy, żeby dodać rozmowę oczekującą do ich abonamentu.

Musi wstąpić po drodze do domu. O której zwykle dostarczają pocztę? Czuł nerwowe napięcie i lęk. Kogo jeszcze morderca zamierza zaatakować? Sięgnął po kurtkę

i kluczyki do samochodu. Spiesząc do windy, wybrał numer Gwen. Po czterech dzwonkach odezwała się jej poczta głosowa. Czy nikt już nie odbiera telefonów?

– Gwen, mówi Tully. Nie otwieraj żadnych przesyłek, jakie dostaniesz pocztą. Później ci to wyjaśnię. Niczego nie otwieraj.

Z parkingu zadzwonił do Maggie.

– Maggie O'Dell.

– Gdyby chodziło mu o mnie, co ma do rzeczy Chicago? – Starał się ukryć panikę.

– Czy nazwisko Markus Schroder coś ci mówi?

– Nic. Przynajmniej na razie. – Pocił się, chociaż dzień był chłodny. Zdjął kurtkę, zwinął ją i rzucił na tylne siedzenie.

– Możesz być na jego liście. To taka jego lista przebojów. Ludzie, którzy przez lata nadepnęli mu na palce. To nie znaczy, że znasz wszystkich z tej listy.

– Słuszna uwaga. – Zapalił silnik i zygzakiem wyjechał z parkingu. Musi się uspokoić. – Ale dlaczego Caroline? Jest moją eks. Dlaczego on uważa, że zrani mnie, wyrządzając jej krzywdę?

– Może myśli, że wciąż ją kochasz – zasugerowała. – Posłuchaj, Tully. – Odczekała chwilę. – Pracowałeś kiedykolwiek z kimś z USAMRIID-u? Miałeś jakieś starcie czy przepychankę z którymś z ich naukowców?

Tully przypomniał sobie swoje podejrzenie, że ebola pochodzi z wojskowych laboratoriów. Teraz Maggie zapewne przypuszcza tak samo.

– Raczej nie – odparł powoli. Nie był w stanie logicznie myśleć. Chciał się tylko upewnić, czy Gwen i Emma są całe i zdrowe. – Zastanowię się jeszcze.

ROZDZIAŁ 75

Maggie wyszła z domu razem z Plattem. Każde z nich ruszyło w poszukiwaniu mordercy.

Po śniadaniu Platt dał jej zastrzyk. Jego dłonie były delikatne, spojrzenie kojące. Kiedy znajdował się tak blisko i nie dzieliła ich szklana ściana, Maggie przyłapała się na tym, że zastanawia się nad warunkami, pod jakimi wypuścił ją z celi. Żadnej wymiany płynów ustrojowych, żadnego pocałunku. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie wie, czym skończyłaby się jego wizyta, gdyby nie te restrykcje.

W drodze do Quantico zatrzymała się na parkingu przy stacji benzynowej. Przekartkowała swój notes z adresami i telefonami, który trzymała w teczce. Wybrała numer, spodziewając się, że będzie zmuszona zostawić wiadomość, tymczasem głos odezwał się natychmiast.

– Tak?

– Profesor Sloane? Mówi agentka Maggie O’Dell.

– Agentka O’Dell? Co mogę dla pani zrobić?

– Rozumiem, że w sobotę rozmawiał pan z agentem Tullym i Keithem Ganzą na temat listu, który znaleźliśmy.

Po chwili przerwy usłyszała szorstkie:

– Zgadza się.

– Chciałabym panu coś przedstawić i przekonać się, czy to nie zmieni pańskiej oceny.

– Co takiego?

Czuła jego niechęć. Z krótkich spotkań z profesorem wiedziała, że taka postawa to u niego norma.

– Wspomniał pan, że istnieją podobieństwa do sprawy wąglika. Wydaje mi się, że znalazłam cechy wspólne z jeszcze innymi sprawami.

– Brawo. – To był George Sloane, jakiego znała. – Nie mogę latać do Quantico za każdym razem, jak chcecie mi coś pokazać.

– Oczywiście, rozumiem. Po prostu zauważył pan związek ze sprawą wąglika, a ja z kolei podobieństwa do sprawy tylenolu z 1982 roku, snajperów z Beltway z 2002 i Unabombera.

– Aż tyle? Cóż, chyba mnie pani nie potrzebuje, agentko O'Dell. Wygląda na to, że już pani rozwiązała sprawę.

Zignorowała jego sarkazm.

– Nie jestem pewna, czy te związki coś znaczą, czy ten ktoś chce tylko się popisać?

– Popisać? – Teraz był raczej zły niż niechętny. – Sądzi pani, że tak się narobił, żeby popisać się swoją wiedzą na temat kilku słynnych zbrodni? Proszę mnie poinformować, agentko O'Dell, kiedy pani dojdzie do wniosku, że ten człowiek nosi dwurzędowy garnitur i mieszka z dwiema starszymi siostrami.

Sloane robił aluzje do Mad Bombera, który działał w Nowym Jorku w latach pięćdziesiątych, i jego portretu przygotowanego przez doktora Jamesa Brussela.

– Albo potrzebuje pani mojej pomocy, agentko O'Dell, albo już pani zna wszystkie odpowiedzi. – Znowu stał się

złośliwy. – Nie można zjeść ciastka i go mieć.

Maggie zaczynała tracić cierpliwość. Bawi się z nią. Nawiązanie do ciastka pochodzi z manifestu Unabombera. Odesłałaby go do diabła, gdyby nie to, że Cunningham go szanował. List i koperty zaś były jedynymi dowodami, jakie posiadali.

– Proszę posłuchać, profesorze. Mam tylko nadzieję, że pomoże nam pan znaleźć więcej odpowiedzi. Może wpadłabym później na uniwersytet? Wiem, że w tym tygodniu jest przerwa.

– Chryste – mruknął. Zastanawiała się, czy był zaskoczony, że sprawdziła jego grafik. – Jeśli to ważne. Przypuszczam, że znajdę chwilkę. Spotkajmy się za czterdzieści minut. Mój gabinet jest w suterenie budynku starej szkoły medycznej.

Rozłączył się, nim mu powiedziała, czy jej to odpowiada. Zerknęła na zegarek. Nie dotrze na uniwersytet wcześniej jak za czterdzieści minut.

Oparła się o siedzenie. Bolały ją plecy. Pewnie po porannym biegu. Ale to nie dotyczy bólu głowy. Zaczął się, nim zaczęła biegać. Kiedy zadzwoniła do Gwen, przyjaciółka powiedziała jej, że nie powinna wracać tak szybko do pracy.

– Kochanie, zostań w domu i odpocznij parę dni. Albo przynajmniej pracuj w domu.

Maggie próbowała jej wyjaśnić, że najlepiej jej teraz zrobi powrót do codziennej rutyny. Nie potrzebowała więcej czasu na przemyślenia. Miała go mnóstwo w celi.

Wybrała kolejny numer. Od razu włączyła się poczta głosowa.

– Cześć, Tully, mówi Maggie. Sloane zgodził się na rozmowę w jego gabinecie za czterdzieści minut. Dochodzi południe. Jadę teraz na uniwerek. Spotkajmy się tam.

Usiadła prosto. Wciąż mają za mało danych, by kontynuować dochodzenie. Co poradziłby jej w tej sytuacji Cunningham? Czasami to, co zwyczajne, staje się niewidzialne. Ale czego ona dotąd nie dostrzegła?

W tym momencie poczuła na brodzie coś mokrego. Na kierownicy zobaczyła kroplę krwi.

Przejrzała się w lusterku. Krew kapiąca z nosa wywołała w niej panikę. Sięgnęła po chusteczkę. To niemożliwe. Usiłowała się opanować, natychmiast. To nic nie znaczy. To tylko krwawienie z nosa.

Przyciskając chusteczkę do nosa, przechyliła do tyłu głowę, oparła ją na zagłówku. Zamknęła oczy i próbowała oddychać spokojnie.

O Boże, krew.

ROZDZIAŁ 76

USAMRIID

Platt stał naprzeciw biurka dowódcy nieruchomy, pełen determinacji i gotowy odeprzeć atak.

– Zachował się pan niewłaściwie, pułkowniku Platt – oświadczył Janklow. – Nie wydałem pozwolenia na podanie szczepionki komukolwiek.

– Nie dostałem żadnego rozkazu, który by tego zakazywał, sir. A jako szef misji…

– Niech mi pan nie wciska kitu, Platt.

Janklow go zaskoczył. Był zniecierpliwiony, ale w jego głosie nie było złości. Raczej jakieś napięcie, zdenerwowanie.

Platt czekał, niepewny, jak zareagować. Nie wiedział, jak daleko może się posunąć. Tego ranka Janklow wyglądał kiepsko, chociaż jego mundur był w idealnym stanie, a gabinet uporządkowany i jak zawsze czysty. Za to jego plecy lekko się pochyliły. Na twarzy pojawiły się zmarszczki, których Platt wcześniej nie widział. Oczy były przekrwione. A kiedy pokazał dłonie, Platt zobaczył, że lekko drżą.

– W jakimś punkcie swojej kariery, doktorze Platt – jeśli czeka pana dalsza kariera – będzie pan musiał wybrać, czy chce pan być żołnierzem, lekarzem czy politykiem. Te trzy

rzeczy pozostają ze sobą w sprzeczności. Nie mogą współistnieć. Dzisiaj chce pan być lekarzem. W porządku. Pewnie uważa pan, że postąpił pan szlachetnie. Jestem tutaj, żeby panu powiedzieć, że to nie jest szlachetne. To głupie.

Odwrócił się do okna, a Platt przez minutę myślał, że go odprawił. Postanowił jednak się odezwać.

– Sir, chyba wiem, dlaczego pan to zrobił.

Janklow obracał się powoli. Uniósł brwi, a jego twarz wykrzywiła złość.

– O co chodzi, doktorze Platt? Co ja takiego zrobiłem, pańskim zdaniem?

– Sam to rozważałem. Że ebola może pochodzić z naszego laboratorium, że chce pan chronić USAMRIID. Po wypadku z wąglikiem rozumiem...

– Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi.

– Sir, wiem tylko...

– Stwierdził pan brak próbek w naszym laboratorium?

– Nie, sir, ale to by było bardzo trudne.

Janklow uniósł otwartą dłoń. Tak, ręce mu się trzęsą, zdecydowanie.

– Z USAMRIID-u nie zginęły żadne próbki eboli.

Platt stał wyprostowany, niewzruszony.

– Pozwoli pan, że zapytam, doktorze Platt... – Głos Janklowa brzmiał teraz normalnie. – Ma pan pojęcie, ile na czarnym rynku kosztuje szczepionka przeciw eboli?

Platt widział, że Janklow nie oczekuje od niego odpowiedzi.

– Wolałbym, żeby pan tego nie wiedział – ostrzegł Janklow. – Bo chociaż z tej instytucji nie zniknęły żadne próbki wirusa, to zniknęła szczepionka.

ROZDZIAŁ 77

Reston, Wirginia

Tully zastał Emmę w salonie, gdzie siedziała jak zwykle na podłodze przed telewizorem. Odetchnął, nie widząc żadnej koperty, tylko kolorowe magazyny i jedzenie z fast foodu.

Nagle program został przerwany, podawano najnowsze wiadomości. Tully poprosił, by Emma nastawiła telewizor głośniej, kiedy zobaczył, że transmitują na żywo konferencję prasową ze szpitala św. Franciszka w Chicago.

Nie usłyszał nic nowego. Dwoje lekarzy i jakiś facet z CDC odpowiadali na pytania, trzymając się kwestii zasadniczych. W rogu ekranu znajdowało się zdjęcie Markusa Schrodera. Wyglądało na zdjęcie ślubne, była na nim także jego żona. Facet niczym się nie wyróżniał. Księgowy jakiejś firmy w Chicago. Tully nigdy wcześniej go nie widział. Cały ranek próbował dopasować do czegoś jego nazwisko, ale bez skutku. Nawet teraz, patrząc na zdjęcie, nie znajdował w mężczyźnie nic znajomego. Potem zerknął na jego żonę. Odniósł wrażenie, że zna skądś te oczy. Czyżby kiedyś ją spotkał?

– Smutne – powiedziała Emma.

– Mówili, jak ma na imię jego żona?

– Tak, coś na V, chyba Vera.

Vera Schroder. Nie, nazwisko i imię z niczym mu się nie kojarzą.

– Muszę lecieć, Słodki Groszku. Pamiętasz, o co cię prosiłem?

Ruszył w drogę. Odsłuchał wiadomość od Maggie i zmienił plany. Nie dotrze na uniwerek w czterdzieści minut. Szukał jakiejś stacji radiowej, która nadawałaby więcej informacji z Chicago, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Agent Tully.

– Mama Conrada dostała jedną z tych przesyłek z pieniędzmi. – To znowu Caroline, jeszcze bardziej wściekła. – Co jest, do diabła, Tully?

Miał wrażenie, jakby ktoś wstrzyknął mu mrożoną wodę w żyły. Wszystko zrozumiał.

Widział już kiedyś Verę Schroder. Teraz sobie przypomniał. To było zdjęcie z gazety. Jego współlokator z pokoju uparł się, by je przypiąć na tablicy, miało go motywować. Była na nim zrozpaczona młoda kobieta, która znalazła rodziców martwych w ich własnym domu, otrutych tylenolem z cyjankiem.

Tyle że wtedy nie nazywała się jeszcze Schroder. Wówczas nazywała się Vera Sloane.

I była siostrą George’a Sloane’a.

ROZDZIAŁ 78

Uniwersytet stanu Wirginia

Uniwersytet w Charlottesville był alma mater Maggie, więc kiedy profesor Sloane zaproponował spotkanie w starym budynku szkoły medycznej, wiedziała dokładnie, gdzie to jest. Wiedziała także z biuletynów dla absolwentów, że w budynku mieściły się obecnie biura wydziału. Poza tym były tam laboratoria i sale ćwiczeń dla studentów medycyny. Dzięki temu, że akurat zaczęły się ferie jesienne, Maggie bez trudu znalazła miejsce na parkingu.

Tylko raz pracowała z profesorem Sloane'em, ale znała go jako wykładowcę z Quantico. Po zajęciach z zachowań przestępczych miała ćwiczenia z analizy kryminalistycznej dokumentów. Cunningham często zwracał się do Sloane'a o konsultacje, gdy dokumenty stanowiły część materiałów dowodowych. Nie zdziwiła się, że Tully i Ganza nie naciskali profesora, kiedy usłyszeli jego wstępną ocenę.

Tully i Sloane nie przepadali za sobą. Wystarczyło, że znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, a już napięcie rosło. Miała nadzieję, że wyciągnie od Sloane'a informacje, których nie zdołał wydobyć od niego Tully.

Drzwi wejściowe starego budynku szkoły medycznej stały otworem, chociaż w holu nikogo nie było. Maggie wsiadła

do windy i zjechała na dół, a gdy tylko wysiadła, usłyszała w końcu korytarza coś jakby skrzek małp. Wszystkie drzwi otwierało się tam kartą magnetyczną. Kilka oznaczeń wskazywało, że większość z tych pomieszczeń na dole to laboratoria. Na jednych drzwiach widniał napis: Kwarantanna.

Maggie szukała gabinetu Sloane'a. Nie znajdując go, ruszyła w przeciwnym kierunku, nie zwracając uwagi na hałasy małp. Gdy zadzwoniła jej komórka, wyjęła ją z kieszeni.

– Maggie O'Dell.

– To Sloane – rzucił Tully zadyszanym głosem.

– Właśnie go szukam.

– Nie, nie rozumiesz...

Tylko tyle usłyszała, zanim otrzymała cios w tył głowy.

ROZDZIAŁ 79

Tully nie mógł pojąć, jak to się stało, że wcześniej na to nie wpadł...

Pruł autostradą 20, zjechawszy z I-95. Nigdy nie dotrze do tego pieprzonego Charlottesville. Komórka Maggie przełączała go na pocztę głosową. Czy Sloane już coś jej zrobił?

Teraz, oczywiście, wszystko trzyma się kupy.

Pamiętał, jak George Sloane spytał go, gdzie był, kiedy dostarczono pudełko z pączkami.

Sloane powiedział wtedy: „Jeśli dobrze pamiętam, nie potrafisz się oprzeć pączkom z czekoladą”.

Czekoladowe pączki były jedyną obsesją Tully’ego. Przeżywał różne fascynacje: czekoladowe markizy z masą waniliową, cukierki z lukrecją, a kiedyś żelki, ale czekoladowym pączkom był wierny od zawsze. To jednak okazało się za mało, by skierować go na właściwy trop. Sloane powiedział też: „Więc terroryści umieszczają teraz listy z pogróżkami na dnie pudełka z pączkami”?

Skąd wiedział, że list był na dnie pudełka? Tylko Cunningham, Maggie, Ganza i Tully mieli taką wiedzę. Nikt by nie pomyślał, że właśnie tam ukryto list. Sloane to wiedział, ponieważ sam go tam schował.

A dlaczego Caroline i jej narzeczony stali się celem Sloane’a, jeśli nie dlatego, że to była jego ukochana, z którą

wciąż utrzymywał kontakt, i to jeszcze w lipcu tego roku. Jego dawna ukochana. Indy, czyli George Sloane, wpadł w szał, kiedy za pierwszym razem nie wybrała jego. Z tego powodu wyrzucono go nawet z FBI przed zakończeniem szkolenia. Został specjalistą od kryminalistycznej analizy dokumentów, pracował dla FBI, ale zawsze na zewnątrz, zawsze na marginesie. Brał udział we wszystkich głośnych śledztwach, ale nigdy nie został doceniony jak należy. George Sloane zawsze chciał być agentem, a nie profesorem.

Ile jeszcze przesyłek wysłał?

A na dodatek teraz jest z nim Maggie. I nie odbiera telefonu.

Może Tully się myli. Może nic jej nie grozi. Może po prostu nie ma tam zasięgu. Może nie ma powodu do paniki.

Powtarzał to sobie, dociskając gaz do dechy.

ROZDZIAŁ 80

Uniwersytet stanu Wirginia

W głowie Maggie huczało. Oprzytomniała, słysząc dźwięk przypominający zgrzyt paznokci przesuwających się po tablicy. Zamrugała powiekami, widziała jak przez mgłę. Coś zielonego mignęło jej przed oczami. Powietrze cuchnęło czymś zjełczałym, przepoconym futrem, zwierzęcymi odchodami.

Rozpoznała piski i skrzeki, które słyszała wcześniej. Tyle że teraz nie rozlegały się w końcu korytarza, lecz gdzieś blisko. Otworzyła oczy i próbowała się skupić. Potem nagle otrzeźwiała.

Ujrzała utkwione w niej paciorki oczu. Zielone futro kłębiło się i przemykało. Między metalowymi prętami wystawały ostre pazury. Znajdowała się w środku małego pomieszczenia, gdzie przy dwóch ścianach stały klatki z wrzeszczącymi małpami.

Chciała się wyprostować i upadła. Jej nadgarstek był przywiązany plastikową taśmą do stolika. Szarpnęła ręką, lecz taśma tylko mocniej werżnęła się w skórę, a ruch wywołał głośniejszy wrzask małp, które teraz waliły jak oszalałe w klatki i wyciągały na zewnątrz łapy.

Maggie starała się opanować, siedzieć cicho.

Zupełnie się nie ruszać.

Wolną ręką dotknęła kieszeni żakietu i nie zdziwiła się nawet, że jej telefon komórkowy zniknął. Podobnie jak smith wesson. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby przeciąć taśmę, ale nie widziała tam nic prócz klatek. Grudki jedzenia i małpie odchody walały się po całej podłodze, leżały nawet pod nią. Uniosła się lekko. Nie mogła się zupełnie wyprostować, mając rękę przywiązaną do stołu.

Raz jeszcze zlustrowała pomieszczenie. Tym razem jej uwagę zwróciły dwie klatki w rogu ściany i ogarnął ją chłód. Ich drzwiczki były otwarte. W tej samej chwili dojrzała jakiś ruch, jakby trzepnięcie długiego zielonego ogona, za stołem przy drzwiach.

Instynktownie chwyciła za kaburę, zanim przypomniała sobie, że jest pusta.

Potem kątem oka dostrzegła drugą kulę zielonego futra. Małpa siedziała wysoko na jednej z klatek i patrzyła na nią.

Okej, więc co najmniej dwie małpy są na wolności. Ostre pazury, ostre zęby. Gdzieś z banku pamięci przywołała też informację, że małpy plują.

Nie patrz na nie. Siedź cicho i spokojnie.

Nie ruszaj się.

Coś wymyśli, ale musi zachować spokój. Oddychać. Po raz kolejny objęła wzrokiem pokój, poruszając tylko oczami.

Wtedy zgasło światło.

Bardzo dużo ją kosztowało, by nie zacząć krzyczeć. Kiedy poczuła futro ocierające się o jej twarz, automatycznie się odsunęła. Wstrzymała oddech, nim znowu znieruchomiała.

Spokój. Musi zachować spokój. Nie okazywać strachu.

Była mokra od potu, przerażona. Czy one tego nie czują? Ale coś jej mówiło, że nie zaatakują, dopóki nic im nie zagrozi. Wtedy poczuła coś na policzku. Tym razem to nie było futro, lecz pazury.

ROZDZIAŁ 81

Uniwersytet stanu Wirginia

Tully tylko raz był w gabinecie Sloane’a, ale bez trudu zapamiętał, gdzie to było. Sloane przechwalał się, że ma biuro w piwnicach starego budynku szkoły medycznej, gdzie nikt mu nie zawraca głowy. Tylko Sloane mógł twierdzić, że gabinet w piwnicy to wielki przywilej.

Przed budynkiem zauważył miejsce parkingowe George’a Sloane’a, taką specjalną tabliczkę, którymi uniwersytet nagradza profesorów po wielu latach pracy. Stał tam zaparkowany SUV z rządową tablicą rejestracyjną.

Tully potrząsnął głową. Facet ma swoje miejsce parkingowe i fundowany przez państwo samochód. Ma etat na szanowanym uniwersytecie, i jeszcze nie jest zadowolony.

Tully nie czekał na windę i zbiegł schodami.

Gabinet Sloane’a był zamknięty, mimo to Tully zaczął walić w drzwi. Wyciągnął glocka i zaczął sprawdzać drzwi na lewo i na prawo, niezależnie od tego, że miały zamki na karty magnetyczne. Cały czas w drugim końcu korytarza wrzeszczały małpy.

Zatrzymał się przed drzwiami, za którymi też darły się małpy, z nadzieją, że się myli, zgadując, na kogo tak wrzeszczą.

– Zajęło ci to sporo czasu – rzekł George Sloane zza jego pleców.

Tully odwracał się powoli. Sloane stał w korytarzu i trzymał w dłoni kilka strzykawek.

– Zaoszczędziłem dla ciebie trochę wirusa. – Uniósł jedną ze strzykawek, wsuwając pozostałe do kieszeni marynarki.

– Gdzie agentka O'Dell?

– Jest bardziej przebiegła niż ty. – Sloane uśmiechnął się. – Dotarła do wszystkich moich inspiracji. A ty niczego się nie domyśliłeś, co?

– Jakie to ma znaczenie? A może wciąż chcesz ze mną współzawodniczyć? – Jedyny sposób, by Sloane zaczął mówić, to zaleźć mu za skórę. Ale czy Tully naprawdę chciał, by George Sloane zaczął mówić?

– Nigdy nie stanowiłeś dla mnie konkurencji. Razzy to co innego. Rozumiałem, kiedy Caroline się z nim przespała. Ale wiedziałem, że ona nigdy za niego nie wyjdzie.

Tully trzymał palce na spuście. Za jego plecami wrzeszczały małpy. Na Sloanie nie robiło to wrażenia.

– Całymi latami to planowałem, miesiącami zbierałem materiały i wyszukiwałem idealne kozły ofiarne. Każdy krok był przemyślany, taki misterny fragment układanki. Wszystkich przechytrzyłem, jak dwadzieścia pięć lat temu.

– Zabójstwa tylenolem. To twoja sprawka?

– Musiałem się pozbyć mojej upierdliwej rodzinki. Przeszkadzali mi, wciąż mnie zadręczali, żebym wrócił do domu i zajął się ich firmą. Prześladowali mnie. Nigdy nie rozumieli, że chcę zostać agentem FBI. Caroline była

najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła. Oczyszczałem pole, żeby móc z nią być, a ona pieprzyła się z tobą w Cleveland. – Jego twarz poczerwieniała.

– A mimo to wciąż jej pragnąłeś?

Sloane popatrzył na Tully'ego zdziwiony.

– Nadal jej pragnąłeś i znowu ją straciłeś – ciągnął Tully. – Ale nie wybrała Razzy'ego ani mnie. Po tylu latach miała okazję wybrać ciebie, a wybrała kogoś innego.

Sloane wzruszył ramionami, udając, że nic się nie stało, lecz nerwowo kręcił głową. Przenosił wzrok z miejsca na miejsce, jakby chciał otrząsnąć się ze wspomnień. Kiedy w końcu spojrzał na Tully'ego, był znowu George'em Sloane'em, a nie młodym Indym, idealistą i marzycielem.

– Wygląda na to, że teraz ty masz wybór – rzekł z krzywym uśmiechem i wskazał na drzwi za plecami Tully'ego. Drzwi, za którymi wrzeszczały małpy, a teraz na dodatek w coś waliły. – Możesz uratować agentkę O'Dell albo mnie załatwić.

Tully'ego ogarnęła panika. Więc jednak miał rację. Maggie siedzi w pułapce za tymi drzwiami.

– Nie zastrzelisz mnie – powiedział Sloane, wymachując rękami, jakby się poddawał. – Nie starczy ci jaj.

Tully uniósł broń.

– Zapomniałeś, że zawsze strzelałem lepiej od ciebie.

– Tak – odrzekł Sloane, trzymając strzykawkę w jednej ręce, a drugą sięgając do wyłącznika na ścianie.

Tully tego nie zauważył. Zapadła kompletna ciemność.

– W ciemności też tak dobrze strzelasz?

Tully wymacał ściany po obu stronach. Nie znalazł żadnych wyłączników. Nic nie widział. Korytarz w piwnicy był pogrążony w gęstym mroku. Nie paliły się nawet czerwone lampki detektorów dymu. Nie dostrzegł znaku „Wyjście”. Nawet smuga światła nie sączyła się spod żadnych drzwi. Drzwi, które, jak już wiedział, otwierały się wyłącznie przy pomocy karty magnetycznej.

Starał się zachować spokój. Starał się skoncentrować, oddychać powoli, żeby serce tak nie waliło. Musi tylko zamienić się w słuch. Ale jak w tym małpim wrzasku można coś usłyszeć?

Zdawało mu się, że tuż przed nim zaskrzypiała podłoga. Czy to możliwe? Jak daleko to było? Trzydzieści centymetrów od niego? A może pół metra?

Wciągnął głęboko powietrze. Czy Sloane nie używa płynu po goleniu? A może to, co czuje, to smród małpiego moczu?

Tully oparł się o ścianę i znieruchomiał. Sloane oczekuje pewnie, że będzie się cofał. Czekał, aż wzrok mu przywyknie do ciemności. Zamknął oczy i znowu je otworzył, lecz poza atramentową czernią nadal nic nie widział.

Jednego był pewny. Sloane się do niego zbliża.

Na pewno zna to miejsce na pamięć, wie, ile kroków trzeba zrobić. Może nawet to on wyłączył wcześniej podświetlone znaki. Powiedział przecież, że wszystko przećwiczył. Czy zdążył i to wypróbować? Jeśli tak, wbije igłę w Tully’ego, zanim ten zdąży uskoczyć.

Podczas szkolenia mówiono im, że trzeba celować bronią w serce przeciwnika. Sloane z pewnością to pamięta. Prawdę mówiąc, Tully na to liczył. Nie wolno mu się wahać. Musi działać szybko.

Zsunął się po ścianie, aż przykucnął. Uniósł glocka i zaczął strzelać. Strzelał nisko, raz za razem, na lewo i na prawo. Strumień kul. Wydawało mu się, że usłyszał krzyk, a potem jakiś stukot. Przestał strzelać.

Cisza.

Nawet małpy umilkły.

Tully podniósł się, położył dłoń na ścianie i posuwał się wzdłuż niej, aż trafił na kontakt.

Miał rację.

George Sloane szedł ku niemu na czworakach. Bo jak inaczej wyjaśnić strzał w głowę, który powalił jego starego przyjaciela na środku korytarza?

Odwrócił się w stronę drzwi. Małpy znowu się darły i miotały. Drzwi były zamknięte. Można je otworzyć tylko kartą magnetyczną. Ale wystarczy glock, jeszcze ten jeden raz. Małpy zamilkły po raz drugi.

Kiedy Tully stanął na progu, zapadła kompletna cisza. Potem z ciemnego kąta dobiegł go głos Maggie, która powtórzyła powitanie Sloane’a:

– Zajęło ci to sporo czasu.

ROZDZIAŁ 82

Środa, 10 października 2007
Newburgh Heights, Wirginia

To był zbyt piękny dzień na pogrzeb.

Maggie siedziała na patiu i obserwowała Benjamina Platta, który rzucał frisbee Harveyowi. Zdjął czapkę i kurtkę od munduru i podwinął rękawy białej koszuli. Mimo to wciąż wyglądał bardzo oficjalnie w lśniących czarnych butach i krawacie.

Zsunęła ze stóp skórzane pantofle i usiadła wygodniej w swoim ulubionym wiklinowym fotelu. Zamknęła oczy. Chciała wyciszyć emocje, które wciąż w niej wrzały. Cały czas, gdy trumna odbywała drogę z kościoła na miejsce pochówku w Arlington, słyszała głos z tyłu głowy, który mówił: „Nie wierzę, że go już nie ma”.

Gdy znowu otworzyła oczy, Platt i Harvey stali obok niej. Platt usiadł w fotelu, a Harvey rozłożył się u jej stóp.

– Wszystko w porządku? – spytał Platt. – Głowa nie boli? Z nosa nie krwawi?

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Zabawne, co może zdziałać stres.

– Sporo przeszłaś. Ale w twojej krwi nadal nic nie ma. – Platt wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, lekko muskając

palcami bliznę, która prawie się zagoiła. – Masz wielkie szczęście, że ta małpa nie była zarażona.

Maggie pogłaskała Harveya, odsuwając się od Platta, choć tak naprawdę miała ochotę odwzajemnić jego gest. Za szybko. Za wcześnie. Co się z nią dzieje? Za szybko może bardzo łatwo zamienić się w za późno.

– Otworzyli z powrotem szpital Świętego Franciszka w Chicago – oznajmił Platt. – Dzisiaj rano rozmawiałem z doktor Claire Antonelli. Opiekowała się Markusem Schroderem. To zdumiewające, że się od niego nie zaraziła.

– Ale mieli trzy przypadki eboli.

Skinął głową.

– Szef chirurgii, który operował Schrodera. Miał pękniętą rękawiczkę. I dwie pielęgniarki. Wszyscy dobrze reagują na szczepionkę. Mogło być dużo gorzej. Mogły być setki ofiar.

Zerknęła na niego z uśmiechem.

– Co? – spytał.

– Tak mówi nowy szef USAMRIID-u.

– To jeszcze nieoficjalne.

Nie ciągnęła tego tematu. Już jej powiedział, że nie wie, czy przyjmie tę nominację. Bardzo lubił swoją pracę. Ale chociaż chyba cieszył się z rezygnacji Janklowa, oświadczył jej, że nie ma ochoty go zastąpić.

– Jestem lekarzem i żołnierzem, a nie politykiem.

Świetnie go rozumiała. Ona też bardzo lubiła swoją pracę. Kontakt z wirusem i zamknięcie w pomieszczeniu z małpami nie zniechęciły jej do bycia agentką FBI. Ryzyko jest wpisane w tę robotę. To właśnie usiłowała powiedzieć

R.J. Tully’ emu. W tamtym ciemnym korytarzu znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Działał w obronie własnej, i potwierdzi to komisja rewizyjna. Takie przypadki, osobiste przypadki, pozostawiają blizny. Niestety, Tully tego doświadczył.

Ryzyko to część ich pracy, powtarzała sobie Maggie, wiedząc gdzieś w głębi duszy, że tak samo powiedziałby Cunningham. Boże, nie mogła uwierzyć, że on umarł. A wszystko z powodu małostkowej zemsty jednego człowieka.

George Sloane wykorzystał swoje doświadczenie i wiedzę, by zemścić się na trzech osobach, przez które jego zdaniem stracił miłość swojego życia: R.J. Tullym, Conradzie Kovaku i Victorze Ragazzim. A przy okazji omal nie zabił swojej ukochanej siostry, która dwadzieścia pięć lat wcześniej przeżyła jego pierwszą próbę pozbycia się rodziny.

A ponieważ Sloane nauczył się, wykonując swój zawód, że ofiara zbrodni często wskazuje na tożsamość mordercy, to wybierał też ofiary przypadkowe, mylące trop. Przez jego niecne plany Mary Louise Kellerman została bez matki, a Rick Ragazzi i Patsy Kowak wciąż walczyli o życie.

Cóż za zmarnowany talent z tego George’a Sloane’a!

– Musisz wracać do USAMRIID-u? – zapytała Maggie.

Nie chciała, by to zabrzmiało to tak, jakby jej zależało, żeby został, ale zaraz potem pomyślała: a dlaczego nie miałby o tym wiedzieć? Chciała, żeby został. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Prawdę mówiąc, czekała na spotkanie z nim, przyłapała się nawet na tym, że zapisuje

sobie w pamięci, co ma mu powiedzieć, czym chciałaby się z nim podzielić.

– Chyba ostatnio dość się napracowałem i zasłużyłem na jeden wolny dzień. A o czym myślałaś?

– Czy kolacje wychodzą ci tak dobrze jak śniadania?

– Coś tam bym upichcił.

– To może wypijemy piwo, zanim weźmiesz się do pracy?

– Niezły pomysł.

Maggie zostawiła go z Harveyem i podreptała na bosaka do domu. Miała dwie butelki samuela adamsa. Trzymała je za szyjkę w jednej ręce, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Zaprosiła Tully'ego, Emmę i Gwen, żeby do niej wpadli, więc nawet nie spojrzała przez judasza.

Za drzwiami stał młody mężczyzna z pizzą w pudełku.

– To pewnie dla sąsiadów – powiedziała Maggie. – Nie zamawiałam pizzy.

Mężczyzna zerknął na nazwisko i adres na rachunku przyklejonym na wierzchu pudełka.

– Maggie O'Dell?

– Tak.

– Włoskie kiełbaski i ser romano. Już zapłacone, proszę pani. – Podał jej pudełko i odszedł.

Maggie zamknęła drzwi i zerknęła na kartkę nalepioną na pudełku. Obok „Zamówione przez" widniało nazwisko Nicka.

Włoskie kiełbaski i ser romano. Uśmiechnęła się. Może jednak Nick Morrelli ją dobrze zna. I z pewnością łatwo się nie poddaje.

ROZDZIAŁ 83

Szkoła im. Benjamina Taskera
Bowie, Maryland

Ursella Bowman bez większego sprzeciwu wróciła z wakacji w samym środku tygodnia. Znaczyło to, że ma dwa dni na sprzątnięcie bałaganu, jaki zostawiła jej zastępczyni, i znowu podczas weekendu będzie mogła odpocząć.

Weszła do kancelarii i natychmiast pożałowała, że weekend nie zacznie się wcześniej. Pojemniki do przechowywania poczty leżały jeden na drugim, a kalkulator walał się na podłodze. Czy ta kobieta niczego nie szanuje?

Ursella zaczęła porządkować puste pudełka i układać przesyłki do zwrotu. Odsunęła na bok wózek i zauważyła grubą szarą kopertę, która utknęła między wózkiem i ścianą.

Na kopercie znajdował się adres szkoły im. Benjamina Taskera napisany drukowanymi literami, jakby przez jakieś dziecko.

Ursella pokręciła głową i wsunęła kopertę do przegródki dyrektorki szkoły. Miała nadzieję, że to nic ważnego.

PRAWDA CZY FIKCJA

Uwagi Alex Kavy

Kiedy pracowałam nad powieścią „Zabójczy wirus”, w Demokratycznej Republice Konga wybuchła epidemia eboli. Światowa Organizacja Zdrowia doliczyła się w tym regionie ponad 400 przypadków podejrzanych o zakażenie wirusem, ale w tamtej chwili nie minęło jeszcze dwadzieścia jeden dni od zarażenia – tyle trwa okres inkubacji eboli – więc nie znano całkowitej liczby chorych i ofiar śmiertelnych.

Czy podobna epidemia mogłaby zdarzyć się w Ameryce Północnej lub w Europie? Niektórzy eksperci twierdzą, że to tylko kwestia czasu. Wystarczy, by jedna zakażona osoba wsiadła na pokład samolotu. 24 maja 2007 roku te spekulacje znalazły potwierdzenie. Mężczyzna zarażony gruźlicą wsiadł wówczas do samolotu w Atlancie i poleciał do Paryża. Stamtąd udał się do Pragi, i dalej do Montrealu, po czym wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie trafił do CDC. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby był zarażony wirusem ebola.

Jako autorka wciąż zadaję sobie podobne pytania. Zbieram materiały, poszukuję odpowiedzi i naprzykrzam się ludziom, którzy posiadają potrzebną mi wiedzę. Czasami trudno jest określić, gdzie kończą się fakty, a zaczyna fikcja.

Jeśli czytelnik nie potrafi tego powiedzieć, to znaczy, że dobrze wykonałam swoją pracę.

We wszystkich swoich powieściach wykorzystuję fakty, ale tym razem chciałabym zapoznać moich czytelników z kilkoma z nich bardziej szczegółowo.

Sprawa śmiertelnych zatruć tylenolem w Chicago między 29 września i 1 października 1982 roku do dzisiaj nie została rozwikłana. Znamy nazwiska siedmiu ofiar. Jedną z nich była dwunastoletnia dziewczynka Mary Kellerman z Elk Grove Village w stanie Illinois. O ile się orientuję, nie było żadnych ofiar w Terre Haute, w stanie Indiana.

Naukowiec i ekspert od broni biologicznej doktor Steven Hatfill, który przez pewien czas pracował w USAMRIID-zie, w trakcie śledztwa prowadzonego w 2001 roku przez Departament Sprawiedliwości USA w sprawie wąglika był nazywany „osobą będącą przedmiotem zainteresowania". Nigdy jednak nie został postawiony w stan oskarżenia [2].

Szczepionka przeciwko eboli istnieje naprawdę. Jak wspominam w powieści, została wynaleziona przez zespół badaczy z kanadyjskiego Państwowego Laboratorium Mikrobiologicznego w Winnipeg i USAMRIID w Fort Detrick. Po raz pierwszy wzmiankowano o niej w „Journal Public Library of Science Pathogens" w styczniu 2007 roku. Do chwili ukończenia przeze mnie tej powieści nie została zaakceptowana przez FDA.

USAMRIID, czyli Wojskowy Instytut Badań Chorób Zakaźnych w Fort Detrick, w stanie Maryland, posiada zamrożone próbki wszystkich biologicznych czynników

najwyższego czwartego stopnia zagrożenia. Proszę o wybaczenie, że pozwoliłam sobie wykorzystać Instytut jako miejsce akcji mojej powieści. Sugestie i twierdzenia, które pojawiają się w powieści, są wyłącznie moje własne, nie pochodzą od pracowników USAMRIID-u ani nikogo związanego z Instytutem. Darzę najwyższym szacunkiem zarówno samą instytucję, jak i badaczy i lekarzy, którzy dokonują tam prawdziwych cudów.

To samo dotyczy Uniwersytetu stanu Wirginia. O ile wiem, w podziemiach starego budynku szkoły medycznej nie przetrzymuje się żadnych małp makaków.

W powieści pojawia się wiele innych faktów, w tym dotyczących kilku śledztw. Słowa z listu znalezionego w pudełku z pączkami to autentyczne frazy użyte przez snajperów z Beltway. Słowa odciśnięte na kopercie: „

Zadzwonił do Nathana” odkryto na liście Unabombera. Wielokrotny morderca Ted Bundy został aresztowany w Pensacoli na Florydzie, na Davis Highway, w skradzionym volkswagenie. Wszystkich, których te fakty zafascynują tak jak mnie, odsyłam do niektórych materiałów źródłowych, z których korzystałam.

KSIĄŻKI:

Angie Cannon and staff of US News & World Report: 23 Days of Terror, Pocket Books, 2003

Robert Graysmith: Amerithrax: The Hunt for the Anthrax Killer, Jove, 2003

Richard Preston: Strefa skażenia, Świat Książki, 1996

Elsa F.Ronningstam: Identifying and Understanding the Narcissistic Personality, Oxford University Press, 2005

Stanton E. Samenow, Ph.D.: Inside the Criminal Mind, Crown Publishers, 1984, Revised Edition 2004

Henry C. Lee Ph.D. and Howard A. Harris, Ph.D.: Physical Evidence in Forensic Science, Lawyers & Judges Publishing Company, Inc., 2000

John H. Campbell and Don DeNevi: Profilers: Leading Investigators Take You Inside the Criminal Mind, Prometheus Books, 2004

Sari Horwitz and Michael E. Ruane: Sniper: Inside the Hunt for the Killers Who Terrorized the Nation, Ballantine Books, 2004

Robert Graysmith: Unabomber: A Desire to Kill, Berkley, 1998

C.J. Peters and Mark Olshaker: Virus Hunter: Thirty Years of Battling Hot Viruses Around the World, Anchor, 1998

CZASOPISMA:

Anthrax Q&A, Signs and Symptoms, CDC, June 2, 2003

Ebola Vaccine Shows Promise as Treatment, Toronto Star, January 21, 2007

God at Work Among Ugandan Refugees on Isolated Lake Victoria Island, Sue Sprenkle, Baptist Press, June 25, 2001

Interim Guide for Managing Patients With Suspected Viral Hemorrhagic Fever, CDC, May 19, 2005

Portrait of a Poisoner, Time, October 18, 1982

Renovated High-containment Lab Offers More Effective Research Space, Karen Fleming-Michael, U.S. Army Medical Research and Materiel Command, February 1, 2007

Why They Kill: The World of the Mass Killer, Jeffrey Kluger, Time, April 30, 2007

- **[1]** Dennis Rader, wielokrotny zabójca z Wichity w stanie Kansas, nazwał tak sam siebie od pierwszych liter angielskich słów określających stosowane przez niego metody: Bind, torture, kill – związać, torturować, zabić (przyp. red.).
- **[2]** W czerwcu 2008 r. Steven Hatfill został zrehabilitowany, a władze tytułem odszkodowania wypłaciły mu 5,72 mln dolarów. FBI natomiast zebrało dowody, z ˙ e za terrorem wąglikowym stał inny bakteriolog z Fort Detrick, 62-letni Bruce Ivins. Zanim jednak oficjalnie postawiono mu zarzuty, w lipcu b.r. Ivins popełnił samobójstwo (przyp. red.)

Tytuł oryginału:
Exposed

Pierwsze wydanie:
Mira Books 2008

Redaktor prowadzący:
Ewa Godycka

Korekta:
Urszula Gołębiewska

© 2008 by S. M. Kava
©for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2008

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 9788323896777

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.